

Jak się zakochać w facecie, który mieszka w krzakach



EMMY ABRAHAMSON



REBIS

EMMY ABRAHAMSON

Jak się zakochać
w facecie,
który mieszka
w krzakach

Przełożyła
Bratumiła Pawłowska-Pettersson



Dom Wydawniczy REBIS

1

Uwielbiam fiuta.

Zaglądam do swoich papierów, bazgrzę coś, odkładam długopis i chrząkam.

– Chciałaś chyba powiedzieć... tak sądzę... czy raczej mam taką nadzieję... choć oczywiście to wspaniale, jeśli faktycznie tak czujesz... że uwielbiasz gotować. *Cooking*. A nie... *cock*.

Dziś to już moja jedenasta lekcja. Jestem tak wykończona, że zaczynam gadać od rzeczy. Poza tym nieustannie muszę zerkać na miętowozieloną ankietę personalną, żeby sobie przypomnieć imię uczennicy. *Petra Petra Petra*. Niepokojący jest również fakt, że – jak zauważam – miałam z nią zajęcia już co najmniej trzy razy. Niestety, w ogóle jej sobie nie przypominam. Tak jakby wszyscy moi uczniowie zlali się w jedną wielką, pozbawioną twarzy masę, która nie potrafi odróżnić *Tuesday* od *Thursday* i uparcie nie używa czasu przeszłego niedokonanego. Masa, która nie potrafi oduczyć się mówić *please* w odpowiedzi na „dziękuję”, chociaż z tysiąc razy powtarzałam im, że należy odpowiadać *You're welcome*. Masa, która sądzi, że język można opanować poprzez samo przebywanie w jednym pomieszczeniu z nauczycielem. Zerkam na zegar – do końca lekcji pozostało dwadzieścia minut. Dwadzieścia minut nieskończoności.

– A... co lubisz gotować, Petro? – pytam.

Nigdy nie marzyłam ani nie planowałam, że zostanę nauczycielką angielskiego w Austrii. Ale po czterech miesiącach na bezrobociu ogłoszenie firmy Berlitz poszukującej nauczycieli wydało mi się zbyt piękne, żeby było prawdziwe. Szkolenie trwało zaledwie dwa tygodnie i zaraz po jego ukończeniu mogliśmy zacząć uczyć. Mimo to początkowo wciąż nieustannie popatrywałam na drzwi, spodziewając się, że facet ze związanymi w koński ogon włosami, który prowadził kurs, nagle wparuje i wysapie: „To był tylko

żart. Przecież tobie nie wolno uczyć. Dałaś się nabrać”, po czym ja wyląduję na ulicy, a uczniowie zostaną przewiezieni w jakieś bezpieczne miejsce. Wtedy jeszcze przesiadywałam wieczorami i planowałam swoje lekcje. Opracowywałam drobiazgowy program nauczania i starałam się, aby każde zajęcia były urozmaicone i ciekawe. Kserowałam ciekawe artykuły, przygotowywałam pytania, wymyślałam dyskusje z podziałem na role i laminowałam zdjęcia, które miały być punktem wyjścia do ważkich dyskusji. Wszystko po to, aby moi uczniowie jak najwięcej mówili po angielsku. Teraz mają szczęście, jeśli przed zajęciami w ogóle rzucę okiem na ich ankiety personalne. Taka krnąbrna zaczęłam być w dniu, w którym zdałam sobie sprawę z tego, że uczę już o wiele dłużej niż planowane sześć miesięcy i – co gorsza – jestem w tym dobra. Mam cierpliwość (kto by pomyślał, że to główny warunek bycia dobrym nauczycielem języka?) i potrafię skłonić uczniów do mówienia po angielsku. A od kiedy przestałam planować lekcje i stały się one zagadką zarówno dla mnie, jak i dla uczniów, moje życie stało się nieco bardziej emocjonujące.

– No, różne rzeczy. Szynclle, kiełbaski... – zaczyna Petra.

– Całym zdaniem – upominam ją.

– Lubię gotować szynclle i kiełbaski – posłusznie odpowiada Petra.

Metoda Berlitzza zakłada, że języka najlepiej uczyć się poprzez codzienną konwersację. Dlatego jestem w stanie ciągnąć lekcję tak długo, jak długo przychodzą mi do głowy tematy do rozmów z uczniami. Trzy lata pracy w charakterze nauczycielki języka angielskiego zrobiły ze mnie ekspertkę od gadki szmatki. Kiedyś skłoniłam ucznia do tego, żeby przez piętnaście minut opowiadał o wymianie zamka w drzwiach do garażu; chciałam po prostu sprawdzić, czy mi się to uda.

– A jaki jest twój ulubiony napój? – pytam.

Petra się zastanawia.

– Kranówka.

– Całym zdaniem – powtarzam i zmuszam się do uśmiechu.

– Najbardziej lubię pić kranówkę – odpowiada Petra.

Wciąż uśmiecham się do Petry, bo tak naprawdę nie mam pojęcia, co by tu powiedzieć osobie, której ulubionym napojem jest woda z kranu.

Przez ostatnie piętnaście minut rozwiązujemy krzyżówkę kulinarną. Gdy rozlega się dźwięk dzwonka, wzdycham teatralnie i opuszczam kąciki ust, aby pokazać, jak mi przykro, że lekcja dobiegła końca. Podajemy sobie ręce, rzecz

jasna, i Petra idzie do domu. Zapewne skonsumuje kolację składającą się ze sznycla, kiełbasek i szklanki wody z kranu.

W maleńkim pokoju nauczycielskim panuje tłok. Podczas pięciominutowej przerwy nikt nie chce mieć przecież żadnego kontaktu z uczniami. Ściany obwieszane są plakatami Berlitz z zdjęciami ludzi z różnych stron świata, opatrzonymi hasłami z wykrzyknikami. Trzy regały wypełniają gazetki Berlitz „Passport” i wyglądające na nieużywane książki do nauki hiszpańskiego, rosyjskiego i francuskiego. Za to podręczniki do angielskiego są mocno sfatygowane – większości z nich brakuje okładek, niektóre posklejano taśmą.

Właściwie nikt w Berlitzu nie jest nauczycielem z prawdziwego zdarzenia. Mike to bezrobotny aktor, Jason kończy doktorat poświęcony Schönbergowi, Claire pracowała wcześniej w marketingu, Rendall jest grafikiem, Sarah inżynierką, Rebecca lutniczką, Karen ma licencjat z medjoznawstwa, ja zaś marzę o tym, że któregoś dnia zostanę pisarką. Jedyne nauczyciel z wykształceniem kierunkowym to Ken. Dlatego wszyscy go nienawidzą, prawie tak jak Dagmar, która w oddziale Berlitz na Mariahilferstrasse odpowiada za administrację.

Do pokoju wmaszerowuje Ken.

– Ojej, zajęte, zajęte – mruczy wesolutko i z otwartym podręcznikiem do gramatyki w dłoni usiłuje się precyzyjnie przycisnąć w stronę kserokopiarki.

Wszyscy go ignorują. Przy oknie Mike z Claire próbują kopcić papierosy, wydychając dym przez centymetrową szparę.

– Mam teraz cztery lekcje z rzędu z jedną grupą – wzdycha Claire i wsuwa zapalniczkę do paczki fajek. – Kończę dopiero o ósmej.

– Jeszcze trochę i już nigdy nie będziesz musiała tego robić – pociesza ją Randall. Claire niedługo wraca do Londynu, by napisać magisterkę.

– Zaraz mam dwunastą lekcję – mówię, a przez pokój przechodzi pełny podziwu pomruk.

W pokoju nauczycielskim królują trzy tematy: ile mamy lekcji w ciągu dnia, jak upierdliwi są nasi uczniowie i jak bardzo nienawidzimy Dagmar.

– Właśnie miałem zajęcia z grupą AMS – mówi z kolei Mike.

Wszyscy wzdychają ze współczuciem. AMS to austriackie biuro pośrednictwa pracy. Kilka lat temu Berlitz podpisał z rządem lukratywny kontrakt na kursy angielskiego dla bezrobotnych. Nie ma nic bardziej przygnębiającego od zajęć z grupą AMS.

Ostatni tego dnia uczeń to ktoś nowy. Czeka już na mnie w klasie. Stoi i patrzy przez brudne okna na Mariahilferstrasse. Z ulgą wyczytuję w ankiecie, że zna angielski na poziomie piątym, czyli „zaawansowanym”. Im wyższy poziom, tym mniej muszę się wysilać.

– Cześć, mam na imię Julia – mówię i wyciągam rękę.

Chuda kobieta podaje mi nadspodziewanie ciepłą dłoń. W ciągu piętnastu minut dowiaduję się, że ma na imię Vera, pochodzi z Grazu, jest PR-owcem Austriackiej Partii Ludowej i samotnie wychowuje ośmioletnią córkę. Niestety, Vera zaczyna zadawać pytania mnie.

– Skąd pochodzisz?

– Ze Szwecji – odpowiadam spontanicznie.

Kiedy na czole Very pojawia się zmarszczka, dociera do mnie, że popełniłam błąd. Bo chociaż mówię bezbłędnie i bez akcentu, żaden z moich uczniów nie chce słyszeć, że przyjechałam z kraju nieanglojęzycznego. Dagmar z administracji dyskretnie poprosiła mnie nawet, abym nie wspominała uczniom, skąd pochodzę. Rebecca opowiadała, jak dorabiała kiedyś jako kelnerka w restauracji w Cairns. Mimo że ma dobrą pamięć, udawała, że zapisuje zamówienia w notatniku, bo gdy tego nie robiła, wzbudzała w klientach niepokój. Czuję się podobnie, kiedy muszę kłamać na temat swojego pochodzenia.

– Swindon – poprawiam się. – W Anglii. W północnej Anglii.

Vera bacznie mi się przygląda.

– Czy Swindon nie leży przypadkiem w południowej Anglii? – pyta. – Niedaleko Bristolu? Byłam tam kiedyś na kursie.

Czuję, jak płoną mi policzki i szyja.

– To inne Swindon – mówię szybko. – Mniejsze Swindon. Nazywamy je... małe Swindon. No, ale Vero, opowiedz mi, jak spędzasz weekendy. Co najbardziej lubisz robić?

Vera łypie na mnie podejrzliwie. Zaczynam myśleć, że powinnam posłuchać Rebekki i ograniczyć liczbę lekcji.

Niestety, angielski Very jest niemal perfekcyjny. Ale pod koniec lekcji mówi *in the end of the month* zamiast *at the end of the month*¹. Wreszcie mogę ją poprawić i przestać czuć się jak bezużyteczny rekwizyt.

Gdy wracam do domu, przychodzi mi do głowy pomysł na powieść. Jest tak

wstrząsający i przerażający, że aż muszę się zatrzymać. Włoski na rękach stają mi dęba. Otóż nieodnoszący sukcesów pisarz dostaje pracę w ustronnym hotelu w charakterze stróża. Musi tam spędzić zimę wraz z żoną i małym dzieckiem. Niech to będzie chłopczyk. Albo dziewczynka. Albo nie, chłopiec. Z biegiem czasu pisarzowi coraz bardziej odbija z powodu izolacji i nawiedzających hotel złych duchów. Na końcu jest tylko krew, chaos i śmierć. Widzę to wszystko tak wyraźnie, aż ogarnia mnie przerażenie. Śnieżną zamieć wokół hotelu, puste korytarze, pokoje, w których wszystko zamarło, oraz siedzącego przy maszynie do pisania bohatera. Cóż to będzie za porywająca i straszna książka! Prawie biegnę, żeby rzucić się do komputera. Jak to możliwe, że nikt przede mną na to nie wpadł – chichoczę.

1. Ang. „pod koniec miesiąca” (wszystkie przypisy pochodzą od Tłumaczki). [\[wróć\]](#)

2

Wieczorem w barze w szóstej dzielnicy spotykam się z Leonore.

Nie znoszę Leonore. Na swoją obronę mam to, że ona też za mną nie przepada. Obie mamy jednak świadomość symbiotycznych korzyści, jakie wnosimy z naszej znajomości. Inne moje kumpele są w związkach i gdy tylko zegar wybija dwunastą, zamieniają się w dynie, więc mam tylko ją. Ona zaś może zgrywać młodą singielkę, mimo że jest podstarzałą żonką Gerharda, czy też beżowego, jak go nazywam (nigdy w obecności Leonore).

Leonore pochodzi z Anglii i ma synka w wieku przedszkolnym, który z jakiejś przyczyny zawsze nosi na oku przepaskę. Beżowy jest szefem działu finansowego w Red Bullu, co oznacza, że Leonore nie musi już pracować. Zamiast tego może się całkowicie poświęcić produkcji, reżyserii i promocji sztuk, w których gra główne role. W lutym ubiegłego roku w ramach sponsorowanego przez Ambasadę Stanów Zjednoczonych Black History Month grała Malcolm X. Leonore nie jest jednak czarnoskóra.

– Czy Mike nadal pracuje w Berlitzu? – pyta Leonore.

Potwierdzam skinieniem głowy i upijam łyk wódki z tonikiem. Cholerny Stephen King.

– Zastanawiam się, czyby mu nie powierzyć roli w mojej kolejnej sztuce – ciągnie Leonore. – Zamierzam wystawić *Bliżej* Patricka Marbera. Mógłby zagrać rolę, którą w filmie odtwarzał Clive Owen.

Wodzę plastikowym patyczkiem między kostkami lodu. Nadal jestem rozgoryczona faktem, że prawie czterdzieści lat temu Stephen King napisał *Lśnienie*. Mały szczegół, o którym sobie przypomniałam, kiedy już usiadłam do pisania.

– Widziałam się dziś z Mikiem i jestem przekonana, że ma dość bycia nauczycielem angielskiego – mówię. – Na pewno ucieszyłby się z roli w *Bliżej*. Ile razy można komuś opisywać różnicę między czasem

teraźniejszym prostym a teraźniejszym ciągłym? Mówię ci. Jeśli jeszcze raz będę zmuszona wyjaśniać, dlaczego slogan McDonald's *I'm loving it* jest niedopuszczalny, zacznę walić głową w ścianę. Boże, ilekroć o tym pomyślę, wściekam się na McDonald's. A zatem, tak, zdecydowanie powinnaś dać tę rolę Mike'owi.

Gdyby jej czoło nie było tak wypełnione botoksem – w końcu dzieli nas jedenaście lat – Leonore teraz by je zmarszczyła, żeby dać mi do zrozumienia, jak bardzo ją nudzę.

– Nie wiem, czy jest między nami chemia – stwierdza Leonore.

Trudno powiedzieć, czy wciąż jeszcze rozmawiamy o Mike'u.

– Raczej nie – mruczę w odpowiedzi i upijam łyk drinka.

Z baru idziemy do klubu Passage. W środku panuje tłok. Żeby oddać płaszcz do szatni, musimy się ustawić w kolejce za trzema ciemnowłosymi dziewczynami w minimalistycznych spódniczkach i białych butach na wysokim obcasie.

– Sądysz, że wszystkie laski tutaj to luksusowe prostytutki z Bałkanów? – przekrzykuję muzykę.

– Mam nadzieję, że nas też masz na myśli! – krzyczy Leonore w odpowiedzi.

Nim zdążam jej odpowiedzieć, zaciąga mnie do baru. Zamawiamy drinki i udajemy, że ze sobą gawędzimy, taksując wzrokiem facetów. Właściwie nie wiem, dlaczego za każdym razem lądujemy w klubie Passage. Tutejszy DJ gra męczącą muzykę, drinki są rozcieńczane wodą, toalety brudne, nie ma gdzie usiąść, a kolesie pochodzą z Niemiec i mają dziewczyny. Po półgodzinie gawędzimy z dwoma facetami. Mój ma plamy potu pod pachami i zrośnięte brwi, ale nie jest zupełnie nieatrakcyjny.

– Skąd jesteś? – pyta po niemiecku.

– Ze Szwecji – odpowiadam po angielsku.

Właściwie to znam niemiecki, nawet jeśli gramatyki używam według własnego widzimisie, ale decyduję się mówić po angielsku, żeby mieć przewagę. Chłopak wytrzeszcza oczy i się uśmiecha.

– Byłeś kiedyś w Szwecji? – pytam.

– Nie. Ale po przeczytaniu tych wszystkich szwedzkich kryminałów mam wrażenie, że tak. Szwecja to Wallanderland.

– Brzmi jak park rozrywki – mówię. – W którym wszyscy giną.

Zauważam, że Leonore próbuje złapać ze mną kontakt wzrokowy; koleś, który się do niej przykleił, jest od niej o głowę niższy i ma na sobie wisior z logo Mercedesa. Wyjście do nocnego klubu w Austrii to jak powrót do czasów, kiedy ozdób z lat osiemdziesiątych nie nosiło się dla żartu, a zespół Ace of Base wciąż był na topie. Ignoruję Leonore i odwracam wzrok do mojego rozmówcy.

– Jakiś Szwed mówił mi, że w Ystad prawie nie ma przestępców – rzuca.

– To dlatego, że wszystkich wyłapał już Kurt Wallander – odpowiadam.

Chłopak wybucha śmiechem i w tej chwili mam nadzieję, że jednak coś między nami zaiskrzy.

– A ty skąd jesteś? – pytam.

– Z Monachium – odpowiada. Odhaczam pierwszy punkt.

– Masz dziewczynę? – ciągnę.

Najpierw jest zaskoczony, a po chwili uśmiecha się jak mały chłopiec.

– Tak – odpowiada. A po kilku sekundach dodaje: – Przepraszam.

Odhaczam punkt drugi. Mimo to daję mu numer telefonu.

Kiedy wracam do domu, oglądam na RedTube pornosa i doprowadzam się do orgazmu, żeby móc szybciej zasnąć. Niestety, to nie pomaga. Leżę na boku i gapię się w ciemną ścianę. Postanawiam, że w przyszły weekend poukładam książki według kolorów.

3

Pierwszą poniedziałkową lekcję mam z grupą AMS. Kiedy wchodzę do sali, uczniowie siedzą tam już niczym trzy woskowe figury. Jedna z kursantek ma podwójny podbródek, a w jej nabrzmiałe paluchy wrzynają się złote pierścionki, druga, młoda dziewczyna o tlenionych włosach i ciemnych odrostach, obgryza sobie skórki przy paznokciach, trzecim uczniem jest wąsacz w kraciastej koszuli z nieobecnym upiornym wzrokiem. On jednak przynajmniej trzyma w pogotowiu ołówki.

– Witajcie – mówię. – Mam na imię Julia i poprowadzę dzisiejsze zajęcia.

Nikt nie odpowiada na moje powitanie.

Kiedyś robiłam to, co uwielbiałam. Niedługo po tym, jak przeprowadziliśmy się z Matthiasem do Wiednia, znalazłam pracę jako dziennikarka. Gazeta nazywała się „Vienna frOnT”, a wielkie litery w tytule miały symbolizować pogardę redakcji dla wszelkich norm i tradycji. Zajmowaliśmy minimalistyczne biuro w piętnastej dzielnicy, a naszą siłą napędową były almdudler, kanapki z leberkäse oraz ironia. Publikowałam informacje z kraju, pisałam także felietony na temat szczególnego upodobania prawicowych polityków do wiązanych wokół ramion kaftanów i analizowałam skomplikowany stosunek niemieckojęzycznych krajów do jogurtów pitnych. „Vienna frOnT” miało być lustrem dla świata i wprawiać ten świat w osłupienie. Pismo istniało przez pięć miesięcy, po upływie których byliśmy zmuszeni ogłosić bankructwo.

– Cześć, jak masz na imię? – mówię do kobiety o palcach jak serdelki.

– Bettina – odpowiada.

– Mam na imię... – poprawiam ją uprzejmie.

– Mam na imię Bettina.

Tania różowa bluzka z wiskozy z aplikacjami motyli opina wałeczki tłuszczu na brzuchu Bettiny, a jej desperacki wzrok mówi: nie nienawidź mnie.

Ponieważ grupa jest dopiero na poziomie drugim, trudno z niej cokolwiek wyciągnąć. Kiedyś jedna uczestniczka kursu AMS rozplakała się, gdy zapytałam, gdzie ostatnio pracowała. Od tamtej pory nie zadaję im pytań o karierę zawodową, co niestety o połowę redukuje liczbę potencjalnych tematów. Jednak po trzech lekcjach wiem już, że Bettina wstaje o czwartej nad ranem, aby pobyć trochę sama, zanim obudzi się trójka jej dzieci, Steffi ma bichona frise, który wabi się Toto (na cześć zespołu muzycznego, nie psa z *Czarnoksiężnika z krainy Oz*), a Hans lubi prace w ogrodzie. Przećwiczyliśmy także popularne pytania i zwroty powitalne. Przez cały czas staram się uśmiechać i okazywać entuzjazm. Nauka obcego języka = NOWE MOŻLIWOŚCI! Wszystko po to, aby nie pogrzebać iluzji, że te lekcje pomogą w poszukiwaniu pracy.

W czasie przerwy rozpromieniam się, kiedy w pokoju nauczycielskim dostrzegam Rebecę. Podchodzi do mnie z szeroko otwartymi oczami.

– Jeden z uczniów w grupie AMS jest chyba pijany – szepcze i chwyta mnie za rękę.

– Jedna z moich uczennic w grupie AMS codziennie wstaje o *czwartej*, żeby w spokoju pobyć sama – odszeptuję. – Dlaczego po prostu nie śpi? Przecież wtedy też miałaby święty spokój.

– O czwartej? – szepcze Rebecca.

Kiwam głową.

– Co w ogóle można robić o czwartej nad ranem? – zastanawia się Rebecca, mówiąc już normalnym głosem.

– Czyta pewnie jakieś gazetki i rozwiązuje sudoku – odpowiadam, również normalnym tonem.

Przebywanie z Rebecą wprawia mnie w dobry nastrój. Jest moją Dobrą Czarownicą z Północy, w przeciwieństwie do Leonore. Gdybym ja była Dorotką, ona otrzymałaby rolę Złej Czarownicy z Zachodu. Z Rebecą poznałyśmy się podczas kursu wstępnego Berlitz. Postanowiłam, że się zaprzyjaźnimy, jak tylko usłyszałam, że jest lutniczką. Ktoś, kto tworzy skrzypce, musi być dobrym i mądrym człowiekiem, podobnie jak ci, co opiekują się trędowatymi. Niestety, na konstruowaniu skrzypiec zarobić się nie da, dlatego Rebecca uczy angielskiego. Mieć znajomą lutniczkę to naprawdę coś! Liczę, że do kręgu moich znajomych dołączą także: lesbijka, komputerowiec i ktoś z Brooklynu. Oraz, oczywiście, Elfriede.

– Ile masz dziś lekcji? – pytam.

– Tylko trzy – mówi Rebecca. – Wszystkie z tą samą grupą. A ty?

– Dziesięć – odpowiadam.

Rebecca mruży oczy.

– Nie możesz się zgadzać na tyle godzin! – stwierdza. – Powinnaś zająć się pisaniem książek albo artykułów, robić wywiady, zatrudniać się w różnych miejscach pod fałszywym nazwiskiem, udawać kogoś innego i pisać reportaże. Czy coś w tym stylu.

– Ależ dokładnie to robię w Berlitzu – bronię się. – Udaję nauczycielkę angielskiego.

Rozlega się dzwonek i muszę wracać na ostatnią lekcję z Bettiną, Steffi i Hansem.

Z dwoma siatkami jedzenia wdrapuję się po schodach secesyjnej kamienicy w siódmej dzielnicy, w której mieszkam. Przystaję na drugim piętrze i jak zwykle zerkam w stronę drzwi prowadzących do mieszkania po lewej stronie. Tego, którego okna wychodzą na ulicę, a nie na podwórze, tak jak moje na czwartym piętrze. Zazwyczaj zalatuje stamtąd papierosami i kawą. Kiedyś za oszklonymi drzwiami przemknęła jakaś postać. Przy dzwonku widoczna jest mała tabliczka z wypisanym zawijasami nazwiskiem *E. Jelinek*. Dopiero po kilku miesiącach połąpałam się, kto tam faktycznie mieszka. Wtedy zapytałam pochodzącego z Serbii dozorca, czy mieszkanie na drugim piętrze faktycznie należy do osoby, o której myślę.

– Tak, tak – przytaknął gorliwie. – Wielka dama. Ale bardzo nieśmiała. Rzadko wychodzi. Niezwykła pani.

Od tamtej pory desperacko, acz bezskutecznie próbowałam doprowadzić do przypadkowego spotkania z moją słynną sąsiadką. Z ulicy można dostrzec, że okna w jej mieszkaniu są brudne, chociaż stoją w nich wspaniałe kwiaty. Z jakiegoś powodu nie potrafię sobie wyobrazić, jak Elfriede Jelinek z troską pielęgnuje swoje azalie. Tak jakby moja podświadomość podsuwała mi obrazy kobiety zbyt obficie podlewającej kaktusy i karmiącej muchami mięsożerne rośliny.

Czasami winą za to, że jeszcze nie zostałam pisarką, obarczam Elfriede (w furii mówię o niej po imieniu). Że to przez nią wyczerpał się literacki limit dla naszej kamienicy i dla mnie nic nie pozostało. Gdyby nie Elfriede, napisałabym już pewnie co najmniej trzy powieści. W lepszych momentach wyobrażam sobie, że zostajemy przyjaciółkami. Przed oczami mam Elfriede,

jak dzwoni do moich drzwi, aby pożyczyć trochę octu winnego.

– Ja też jestem pisarką! – wykrzyknęłabym, a zaskoczona Elfriede uniosłaby brwi na wieść o tym, że w jej kamienicy mieszka koleżanka po fachu, być może przysłała pokrewna dusza. Następnie znów by spoważniała.

– Obserwować to przywilej mężczyzn – powiedziała by ona.

– Hmm – odpowiedziałabym ja, nieśpiesznie kiwając głową.

– Moje pisarstwo polemizuje z tyranią rzeczywistości.

– A byłaś może na Praterze? Czasami jest tam naprawdę fajnie, Elfie – powiedziałabym, żeby jak najprędzej móc użyć zdrobnienia jej imienia...

– Podążaj za moimi łzami, a pochłonie cię morze – odparłaby Elfriede.

– Chyba nie do końca kumam, co masz na myśli, ale wchodź, Fifi – odpowiedziałabym, używając innej pieszczotliwej wersji jej imienia, w razie gdyby nie spodobała jej się poprzednia.

Potem nad rozlicznymi szklankami herbaty, a może nawet i whisky, dywagowałybyśmy nad tym, jak ciężki jest los pisarki.

Wzdychając lekko, chwytam inaczej siatki i dalej wspinam się po schodach, które pachną środkiem czyszczącym i zimnym kamieniem.

4

Przez resztę tygodnia mam nadzieję, że zadzwoni do mnie facet poznany w Passage'u. Ale nic z tego. Udaję, że mnie to nie obchodzi, i wypełniam dni lekcjami, wizytami na siłowni, mdłymi kolacjami i seansami *Simpsonów* oraz *Chirurgów* z niemieckim dubbingiem. *Verdammt noch mal, Meredith, hör auf mich!*¹ Robię wypad na przedmieścia i adoptuję wykastrowanego kota o imieniu Optimus. Od teraz wspólnie spożywamy mdłe kolacje i obserwujemy, jak atrakcyjni lekarze z Seattle próbują ratować życie, zdobywając przy okazji życiową mądrość.

Niekiedy ogarnia mnie niepokój, że życie serialowe jest mi bliższe niż moje własne, podobnie jak problemy sercowe, rodzina i kariera Meredith z *Chirurgów*. Czasem nawet wydaje mi się, że *jestem* Meredith Grey. Czy zamiast objaśniać uczniom różnicę między *some* i *any*, nie powinnam raczej operować zastawki dwudzielnej? Patrząc któregoś dnia na Rebeccę, zdziwiłam się, dlaczego to nie doktor Cristina Yang. Czasami ogarnia mnie rozpacz na myśl, że George O'Malley, Lexie Grey i Derek Shepherd nie żyją. Żadne trzęsienie ziemi w Turcji ani zavalona fabryka w Bangladeszu nie poruszą mnie tak jak fakt, że Denny Duquette zmarł, gdy nie było przy nim Izzie. Zmarł, gdy nie było przy nim Izzie. Zmarł. Pod nieobecność Izzie.

Któregoś wieczoru siedziałam przed komputerem i w pewnej chwili postanowiłam zamówić szpitalny uniform z *Chirurgów*. Wtedy dotarło do mnie, kim się powoli staję. Natychmiast zamknęłam laptopa i zadzwoniłam do Leonore, by wyciągnąć ją na miasto. Wciąż jednak marzy mi się czasem ów zakup. Zwłaszcza tej jasnoniebieskiej bluzy lekarskiej z dwoma przednimi kieszeniami i ukrytą kieszonką na ołówek.

Dziś wieczorem Rebecca urządza przyjęcie urodzinowe w pubie O'Malley's nieopodal stacji metra Schottentor. Kiedy docieram na miejsce, lokal jest już

pełen ludzi. Na ciemnozielonych ścianach wiszą reklamy Guinnessa. Odnajduję Rebecę w klaustrofobicznej piwnicy i siadam obok jej narzeczonego Jakoba. Jakob tak jak ona jest lutnikiem i z wyglądu przypomina Jezusa. Jego brat też jest lutnikiem. On także wygląda jak postać z Biblii.

– Muszę ci coś powiedzieć. – Rebecca przechyla się ku mnie ponad Jakobem. – Na Kaiserstrasse widziałam Matthiasa.

Zatyka mnie. Jezus-Jakob wciąż gapi się przed siebie.

– I co zrobił, kiedy cię zobaczył? – wyduszam wreszcie.

– Po prostu poszedł dalej – odpowiada Rebecca.

– Co? – mówię cicho. – Tak po prostu?

– No właśnie. Jak on śmie?

Przerywa nam znajoma Rebekki. Siedzę obok Jezusa-Jakoba i rozmyślam o Matthiasie.

Byliśmy parą przez cztery lata. Początkowo wszystko układało się dobrze, potem źle. Kłóciliśmy się o to, że palił za dużo trawki i nigdy nie pomagał w sprzątaniu. Po każdej awanturze kupował mi w ramach przeprosin cukierki z lukrecji. Wiedział, że bardzo je lubię. Jakbym miała sześć lat. W ramach programu ratowania naszego związku przeprowadziliśmy się do Wiednia – jego rodzinnego miasta. Między nami znów zaczęło być dobrze. Nauczyłam się mówić *Grüss Gott*, na nowo odkryłam, czym jest niedziela, i robiłam wszystko, co w mojej mocy, aby nie potrącił mnie tramwaj. Matthias rozpoczął naukę w szkole fotografii, a ponieważ studentom starano się wpoić zrozumienie i szacunek dla podstaw fotografii, Matthias przerobił naszą nową łazienkę na ciemnię. Okno zakleił czarnymi workami do śmieci, a obok moich kosmetyków poustawiał butelki z odczynnikami. Nie zliczę, ile razy rąbnęłam głową o wielgachny powiększalnik umieszczony między prysznicem a sedesem. Ale dla Matthiasa to nie miało żadnego znaczenia. Bo Matthias znalazł cel w życiu. Lwią część naszego i tak niewielkiego comiesięcznego budżetu przeznaczał na książki poświęcone Mapplethorpe’owi, LaChapelle’owi i Corbijnowi. Podczas pierwszego roku jego studiów chętnie pozowałam mu do prac, w których eksperymentował z kontrastem i kompozycją. Przestał codziennie popalać, jego wzrok nie był już mętny. Wszystko wydawało się w najlepszym porządku. Nawet po ogłoszeniu przez „Vienna frOnT” bankructwa. Szczęście Matthiasa było przecież na pierwszym miejscu. Wtedy wciąż jeszcze sądziłam, że prawdziwa miłość polega na

zapomnieniu o samej sobie i przyzwoleniu, aby mój księżyc krążył wokół jego planety. Uznałam, że moją misją jest ratować Matthiasa, dopomóc mu w pełnym wykorzystaniu jego potencjału, którego jakoś żaden z moich znajomych nie potrafił dostrzec.

Pierwszy raz zdałam sobie sprawę, że coś jest nie tak, w trakcie drugiego roku studiów Matthiasa. Jedna z jego płyt winylowych leżała na wierzchu, chociaż nie było jej tam, kiedy rano wychodziliśmy razem z domu. Zdmuchnęłam z okładki winyla listki tytoniu, odstawiłam go na półkę i o wszystkim zapomniałam.

Przy innej okazji zauważyłam, że zamek był przekręcony tylko raz, a przecież zawsze robiłam to dwukrotnie. Znów żyliśmy jak pies z kotem, a półka w kuchni uginała się od opakowań z lukrecjowymi cukierkami. Aż w końcu odbyła się tanta rozmowa. Leżałam w domu z powiększonymi migdałkami i właśnie zamierałam uciąć sobie drzemkę. Wtedy zadzwonił telefon. Jakaś kobieta miłym głosem poprosiła, aby Matthias odebrał swoje portfolio.

– Skoro i tak nie jest już naszym studentem – dodała.

W ten sposób dowiedziałam się, że już w październiku Matthias przestał uczęszczać na uczelnię, ale dopiero przed miesiącem został skreślony z listy studentów. Był marzec. Przez pół roku udawał więc, że chodzi na zajęcia, opowiadał historyjki o tym, co się wydarzyło w szkole. Przez pół roku mówił, jak bardzo mu się tam podoba i jak nie może się doczekać chwili, gdy już zostanie zawodowym fotografem. Prawie się porzygałam, wciąż ze słuchawką w dłoni. Natychmiast przeczesałam mieszkanie i w woreczku pod poluzowanym panelem obok komputera Matthiasa odkryłam setki petów po jointach. Woreczek był dokładnie zabezpieczony kilkoma gumkami recepturkami. Zagadką pozostało dla mnie, dlaczego ich po prostu nie wyrzucił. Zauważyłam też, że jego podręczniki stały dokładnie tak jak na początku roku akademickiego, a kuwety w łazience pokrywała gruba warstwa kurzu.

Kiedy piętnaście po szóstej Matthias – po „całym dniu na uczelni” – wrócił do domu, skonfrontowałam go z tymi rewelacjami. Nie zaprzeczył.

– Ale *dlaczego?* – zapytałam.

– Wiedziałem, że się wkurzysz – odparł, z miejsca obarczając mnie winą.

Przez ostatnie sześć miesięcy przesiadywał w kawiarni w szesnastej

dzielnicy. Właściciel pozwalał klientom jarać, pod warunkiem że zamawiali coś do picia. Jeśli knajpa była akurat zamknięta, wracał do mieszkania zaraz po moim wyjściu do pracy i ulatniał się tuż przed moim powrotem. Co ciekawe, okazało się, że Matthias świetnie sobie radzi ze sprzątaniami. Przynajmniej jeśli chodziło o zacieranie śladów własnej obecności w mieszkaniu.

Potem za każdym razem, kiedy opowiadałam komuś o powodach naszego rozstania, starałam się przekuć tę historię w zabawną anegdotkę. *Cieszę się, że nie nosił mojej bielizny i nie przyjął imienia SaMANtha*. Jednak w końcu dałam sobie z tym spokój, bo nikogo to nie bawiło. W naszej historii nie ma nic śmiesznego.

Po dwóch godzinach w pubie stwierdzam, że czas na mnie.

– To dlatego, że wspomniałam o Matthiasie? – niepokoje się Rebecca.

– Nie, no co ty – odpowiadam.

W domu wypłakuję się w futro Optimusa, aż ucieka i chowa się za kanapą.

1. Niem. „A niech to szlag, Meredith, wkurzasz mnie!”. [\[wróć\]](#)

Biorę prysznic w kuchni. Nie dlatego, że chcę, tylko z tej prostej przyczyny, iż jest on umiejscowiony za niską ścianką właśnie w kuchni. Tak to wygląda w większości starych wiedeńskich mieszkań typu *Altbau*. Kuchnię, łazienkę i ubikację można znaleźć w najbardziej zaskakujących miejscach. W szesnastej dzielnicy Claire z Berlitzta musi dzielić z sąsiadami nieogrzewaną ubikację.

A więc wzięłam prysznic, ubrałam się i jestem w drodze do Berlitzta na Mariahilferstrasse, mimo że to weekend. Należę do tych niewielu nauczycieli, którzy zawsze godzą się na sobotnie zajęcia. I tak nie mam nic lepszego do roboty. Dzisiaj będę miała lekcję z dziesięciolatkami, które na swoje nieszczęście są dziećmi ambitnych rodziców.

– Sobota to dzień muszelkowy – tajemniczo obwieszcza mała dziewczynka i zaczyna wyciągać z teczki muszle.

Nigdy wcześniej nie prowadziłam zajęć z tą grupą i nie mam pojęcia, dlaczego „sobota to dzień muszelkowy”. Do końca lekcji muszelki leżą na ławce niczym niepokojące przypomnienie, że powinnam była się trochę bardziej wysilić i zapoznać z materiałem, jaki realizował poprzedni nauczyciel. Pomijając jednak muszelki, zajęcia z tą czwórką dzieciaków to czysta przyjemność. W przeciwieństwie do moich dorosłych uczniów raz poprawieni, nigdy nie powtarzają tego samego błędu, nieważne, czy chodzi o słownictwo, gramatykę czy o składnię. Gramy w Memory, czytamy historie o pożerających ludzi rekinach i wymyślamy własne wersje *Koła autobusu kręcą się*.

– Co robią wasi rodzice? – pytam ich.

Dzieci gapią się na mnie zdziwione.

– Gdzie *pracują*? – uściślam.

Chyba czują ulgę i dalej kolorują dinozaury przyniesionymi przeze mnie mazakami.

– Moja mama jest lekarzem – mówi jeden z chłopców.

– A mój tata jest profesorem – mówi ta od muszelek. – W uniwersytecie.

– No proszę – komentuję i niby mimochodem dorzucam drobne sprostowanie: – Na uniwersytecie. Ciekawe.

– Na uniwersytecie – poprawia się dziewczynka i dalej koloruje triceratopsa na ciemnofioletowo.

– Mój tata dużo podróżuje. Do Japonii. Do Singapuru. I do Hongkongu. Przywozi mi wtedy prezenty. A moja mama siedzi w domu – mówi drugi chłopczyk.

Wiadomo, na prywatne lekcje w Berlitzu mogą sobie pozwolić tylko biznesmeni, lekarze i inne wykształciuchy. Zwracam się do ostatniego chłopca.

– A czym zajmują się twoi rodzice?

Malec patrzy na mnie lękliwie.

– Piszą książki – wyznaje w końcu.

– O czym? – pytam.

Chłopiec zakrywa buzię dłońmi, aż wreszcie wyrzuca z siebie:

– O *miłości*!

Usiłuję ukryć uśmiech i zmieniam temat, żeby chłopak mógł ochłonać. Szczerą ciekawość dzieci, ich naturalność i radość sprawiają, że nie liczę minut do dzwonka, a kiedy lekcja dobiega końca, wszystkim nam jest smutno. Wybiegają z sali, a ja wiem, że zaraz o mnie zapomną.

Rebecca jest przez cały weekend u rodziców Jakoba, a Leonore ma próby. Muszę więc jakoś wypełnić sobie pół soboty i niedzielę. Z tej okazji zaplanowałam różne drobne atrakcje. Po zajęciach nieśpiesznym krokiem kieruję się w stronę pierwszej dzielnicy. Patrzą na witryny luksusowych butików. Liczę, ile kobiet na Kohlmarkt ma na sobie białe futro (cztery) i ile ciemnoskórych osób jestem w stanie zobaczyć w czasie jednej minuty (jedną – sprzedawcę „Die Presse”). Na szerokim deptaku Graben trzy dziewczyny przeprowadzają ankietę dla firmy Samsonite. Zwalniam i patrzą na witrynę sklepu z perskimi dywanami. Kiedy jedna z ankieterek pyta, czy zechciałabym odpowiedzieć na kilka pytań, udaję zaskoczoną i z uśmiechem kiwam głową.

– Czy jest pani właścicielką torby na kółkach? – pyta jedna z nich po niemiecku.

– Tak – odpowiadam.

Dziewczyna stawia krzyżyk na arkuszu.

– Czy jest pani właścicielką więcej niż jednej torby na kółkach?

– Nie.

– Czy wie pani, jakiej marki jest torba, którą pani posiada? – pada kolejne pytanie.

– Niestety nie – odpowiadam i uśmiecham się szeroko.

Uwielbiam brać udział w badaniach rynku. Oraz wypełniać ankiety. Świadomość, że moje życie da się uszeregować w kategorii według tego, ile zarabiam, jak mieszkam i jak często spędzam wakacje za granicą, daje mi poczucie bezpieczeństwa i satysfakcji. Takie arkusze stanowią dowód na to, że nie istnieją odcienie szarości, a wszystko można sprowadzić wyłącznie do czerni i bieli. Kiedyś po zajęciach z wyjątkowo uciążliwym uczniem poszłam do pobliskiego banku i wypełniłam blankiet wypłaty, by się uspokoić.

– Dziękuję bardzo – mówi dziewczyna. – Miłego dnia.

– To wszystko? – dziwię się i usiłuję ukryć ogromny żal.

Ale dziewczyna jest już przy jakiejś parze. Wchodzę do jednego z nielicznych wiedeńskich kin, gdzie pokazują filmy w oryginale. Seans rozpoczyna się dopiero za półtorej godziny, więc siedzę w foyer i czytam *Ruchome święto* Hemingwaya. Dochodzę do wniosku, że do życia wybrałam niewłaściwe europejskie miasto. Chcąc zostać pisarką, powinnam niezwłocznie przenieść się do Paryża, pić tanie czerwone wino, wałęsać się po mieście i niedojadać. Po filmie wypożyczam DVD i robię zakupy.

W niedzielę próbuję dłużej pospać, ale bezskutecznie. Leżymy z Optimusem w łóżku, gapiąc się na siebie. Idę obejrzeć wystawę prac Kokoschki, a potem do kina na kolejny film. Kolację zjadam w McDonalddie, licząc, że nie zobaczy mnie tu żaden z moich uczniów. Staram się nie sprawdzać na zegarku, ile jeszcze godzin muszę przetrwać, nim w końcu będę mogła się położyć, a następnie rozpocząć kolejny tydzień.

Przy Bic Macu postanawiam, że napiszę powieść historyczną, której akcja rozgrywa się w Szwecji. Będzie ona traktowała o parze wieśniaków, którzy, uciekając przed biedą, emigrują do Ameryki. Wyobrażam sobie śmierć jednego z ich dzieci (ulubionego!), długi rejs statkiem przez Atlantyk i tęsknotę żony za Szwecją, gdy już docierają do Ameryki Północnej. Mam łzy w oczach. Na samą myśl, jak niezwykła to będzie opowieść, włoski na rękach stają mi dęba.

6

Cholerny Vilhelm Moberg.

Trochę zbyt energicznie wsypuję cukier do kawy i odrobina ląduje na stole.

– Ups – mówi Stephan z uśmiechem.

Strzepuję cukier z metalowego blatu i odwzajemniam jego uśmiech. Na randce należy się uśmiechać. Należy być ponętą. I zabawną. Próbuję rzucić jakiś śmieszny i seksowny komentarz na temat cukru, ale w głowie mam pustkę. *Brązowy cukier – niczym drobne, zmysłowe ziarenka piasku pieszczone słońcem – hahaha!* To moja pierwsza randka od roku. Ostatnią odbyłam z lekarzem, który nigdy potem się do mnie nie odezwał.

– Mam serdecznie dość tego upału – mówi Stephan i kiwa głową w stronę błękitnego nieba. Mówi po angielsku z silnym akcentem.

Kawiarnia mieści się w sali muzealnej, gdzie panuje przyjemny chłodek. Wokół nas słychać przytłumione głosy innych gości. Na zewnątrz jest tak gorąco, że mięknie asfalt, a powietrze drga. W ubiegłym tygodniu z powodu wysokich temperatur dwa konie i jeden dorożkarz spod Hofburga stracili przytomność, po czym jeden z koni padł.

– Ja też – odpowiadam. Na randce wypada się zgadzać z rozmówcą, a jeśli już ma się inne zdanie, należy z wdziękiem wysunąć kontrargumenty. Dobrze, jeśli zrobi się wrażenie niezależnej, niedobrze, jeżeli wyjdzie się na przekorną.

– W taką pogodę Wiedeń jest bardzo duszny i zakurzony – ciągnie Stephan.

– Nie ma czym oddychać.

– Jest trochę jak... w komorze gazowej – mruczę, bo w pół zdania uświadamiam sobie swoje kulturowe *faux pas*. Austriaków od tamtych dość potwornych wydarzeń dzieli w końcu zaledwie dwa pokolenia.

Siedzący naprzeciwko mnie mężczyzna to książę. Nie w znaczeniu

przenośnym, a już na pewno nie pod względem wyglądu; Stephan to prawdziwy książę. Tytuły arystokratyczne zniesiono tu wprawdzie po pierwszej wojnie światowej, jednak Austriacy z nich nie zrezygnowali, tak jakby chcieli pokazać innym, gdzie mają ich poglądy. Stephan wywodzi się z rodu Deyn-Hofmannsteinów, a jego rodzina posiada zamek w Steiermarku. Wdałam się z nim w rozmowę, gdy w poprzedni weekend odwiedziłyśmy z Leonore Loos Bar. Zadzwoiłam już po trzech dniach, mimo że ledwo go po pijaku zapamiętałam. Ale ponieważ jego numer opatrzyłam dopiskiem *Książę Stefam! Książę!!!*, potraktowałam to jako znak, że czas najwyższy popracować nad swoim życiem uczuciowym.

To ja zaproponowałam, abyśmy spotkali się o jedenastej przed południem w Muzeum Historii Naturalnej, a nie w jakimś barze. Chciałam sprawić wrażenie osoby oryginalnej i spontanicznej. Teraz jednak żałuję tej decyzji. Wolałabym, żeby zamiast kawy podali mi coś mocniejszego i żeby zamiast południa była północ. Dotąd nasza randka wcale nie jest ani oryginalna, ani spontaniczna – raczej niemrawa i krępująca. Muzeum Historii Naturalnej to jedno z moich ulubionych miejsc w mieście. Ale ze Stephanem u boku wszystko tutaj wydaje mi się staromodne i infantylne. Jego najbardziej zainteresowała sala z meteorytami, ja zaś wolałam pooglądać ogromną rybę celakantokształtną i krokodyla na drugim piętrze.

Teraz siedzimy w kawiarni i próbujemy nie trącać się nogami pod stołem. Stephan jest wprawdzie wysokim blondynem, ale ma zbyt dużą, jajowatą głowę. Przypomina mi kamienne posągi z Wyspy Wielkanocnej. Ma na sobie niebieskie dzinsy, różową tyrolską koszulę i potraktowanego zbyt dosłownie jankera, kurtkę noszoną do skórzanych spodni.

– Czym się zajmujesz? – pytam.

Chcę być cool i nie zamierzam napomykać o jego tytule.

– Administruję naszą posiadłością w Steiermarku – wyjaśnia Stephan. – Ale jak najczęściej staram się przyjeżdżać do Wiednia.

– Każdy może was odwiedzić?

– To obecnie nasze główne źródło dochodów. Organizujemy konferencje, wesela i inne imprezy. Sporo tego. A ty co robisz na co dzień?

Jak dotąd nasza rozmowa przypomina te, które prowadzę z uczniami na pierwszej lekcji. Pytanie, odpowiedź, pytanie, odpowiedź. Chociaż Stephan przez cały czas okazuje uprzejme zainteresowanie, ma się wrażenie, jakby dzieliła nas szyba.

– Uczę angielskiego w Berlitzu – odpowiadam. – Chociaż teraz mam dużo lekcji *out of house*.

– A co to takiego? – pyta Stephan.

– Jeżdżę do różnych firm i tam prowadzę zajęcia.

– To chyba ciekawe.

– Ee, niezbyt. Czasami czuję się jak jakaś *call girl*. Tyle że zamiast seksu sprzedaję angielski.

– W prostytutce nie ma nic złego – mówi na to Stephan. – Sam często bywałem w burdelach.

Ponieważ jestem taka oryginalna i spontaniczna – *Muzeum Historii Naturalnej! Ale krejzolka, co nie?* – udaję, że mnie to nie szokuje.

– No proszę – mówię. – A dużo jest burdeli w Wiedniu?

Stephan kiwa głową.

– Co najmniej dwadzieścia. Ale ja nigdy nie odwiedzam tych samych co *Tschuschen* albo Turcy. Interesują mnie tylko te z najwyższej półki.

Tschusch to w Austrii slangowe określenie na imigrantów z Bałkanów. Kiedyś pewien uczeń o niepokojąco rasistowskich poglądach z grupy AMS zapytał mnie, czy wiem, co to jest torebka *Tschuschen*. Kiedy pokręciłam głową – nieco spanikowana, jak będzie brzmiała odpowiedź – on zarechotał, że to reklamówka z supermarketu Hofer. Ten sam uczeń w czasie innej lekcji utyskiwał, że w Austrii jest *too many turkeys* ¹.

– Aha.

Wpatruję się w Stephana. Z jakiegoś perwersyjnego powodu fakt, że chodzi do burdelu, wydaje mi się ekscytujący. Zastanawiam się, czy nie powinnam się z nim przespać tylko po to, żeby sprawdzić, jak to jest uprawiać seks z kimś, kto chadza do domów publicznych. Ale widok księcia Stephana działa na mnie równie podniecająco jak kawałek papieru ściernego. Wiem już, że się więcej nie spotkamy.

– Jeden odwiedzam regularnie – ciągnie. – I mam tam rabat.

Stephan popija kawkę z beztroską miną, jakbyśmy nadal rozmawiali o pogodzie.

– A jak w burdelu wyglądają rabaty? – pytam. – Dwie w cenie jednej?

Stephan kiwa głową.

– Coś w tym rodzaju – wyjaśnia. – Pewna dziewczyna potrafi obciągać przez czterdzieści pięć minut bez przerwy. Często do niej chodzę.

– Wow – mówię. – Czterdzieści pięć minut? To... wow... naprawdę nieźle. Nie miałam pojęcia, że można komuś tak długo robić laskę. Że też nigdy nie dostaje skurczu.

Dokładnie tyle trwa jedna lekcja w Berlitzu, a i tak czasem nie jestem w stanie wytrzymać nawet tych czterdziestu pięciu minut. Stephan upija kolejny łyk kawy.

– Czy chadzasz do burdeli i wtedy, kiedy jesteś w stałym związku? – pytam.

– Zdarza się. Ale teraz moja mama chce, żebym się ustatkował.

– A więc szukasz księżniczki do swojego królestwa? Czy dziewczęta muszą przejść jakąś próbę? Pocałować smoka? A może księżniczką zostanie ta, która najdłużej będzie potrafiła robić laskę?

Stephan patrzy na mnie w milczeniu. Ponieważ ta randka jest skazana na porażkę, nie muszę już udawać uroczej. Przesuwam ziarenka cukru między palcami i myślę sobie, że chciałabym być teraz w domu ze swoim kotem i swoimi książkami. Nie chce mi się zadawać z facetami pokroju księcia Stephana Deyn-Hofmannsteina. Właściwie to nie mam ochoty na randki. Nie chcę się już zgrywać. Dobrze mi samej. Lubię swoje życie. Swoje ciche mieszkanko, czystą kuchnię i zastawione książkami regały. Podoba mi się, że wszystkie rzeczy są tam, gdzie je zostawiłam przed wyjściem. Niczego więcej mi nie potrzeba i nie czuję się ani nieszczęśliwa, ani żałosna z powodu samotności.

Po kawie idziemy na parter obejrzeć wystawę czasową o Czarnobylu. Patrzymy na zdjęcia pozbawionych kończyn dzieci, odzianych w robione na drutach ubrania.

Potem stoimy na schodach przed muzeum i każde z nas chce jak najszybciej zakończyć tę randkę. Wygrywa Stephan.

– Niestety, jestem umówiony ze znajomym – mówi i wskazuje dłonią w stronę śródmieścia.

– Jasne. Nie ma problemu.

– Jakie masz plany na popołudnie? – mówiąc to, Stephan tęsknie spogląda w dal.

– A, to co zwykle – odpowiadam. – Będę się relaksować w domowym zaciszu i robić sobie dobrze przy Michaelu Bublé.

Stephan spogląda na mnie. W jego oczach widać popłoch.

– Żartuję – wyjaśniam pośpiesznie. – Nie znoszę Michaela Bublé.

On wciąż milczy.

– Ale moja koleżanka, która śpiewa w chórkach i kiedyś z nim współpracowała, twierdzi, że jest bardzo sympatyczny – ciągnę. – Nie gwiazdorzy, nie zadziera nosa. Chociaż sprawia wrażenie zakochanego w sobie.

Moja wiedza na temat Michaela Bublé nie trafia na podatny grunt. Cmokamy się z księciem w policzki i odchodzimy każde w swoją stronę, nie deklarując żadnej chęci podtrzymywania kontaktu.

Ponieważ muszę omijać pierwszą dzielnicę, żeby przypadkiem nie wpaść na Stephana, kieruję się w stronę anglojęzycznego kina Haydn w szóstej dzielnicy. Jest dopiero trzecia i sala świeci pustkami. Kiedy rozpoczynają się reklamy, udaję sama przed sobą, że odczuwam radość i ulgę, bo w końcu znów mogę pobyć sama. Gratuluję sobie, że uniknęłam losu księżniczki zmuszonej robić czterdziestopięciominutowe laski jakiemuś jajogłowcowi. W rzeczywistości jednak odczuwam jedynie zaprawioną niesmakiem pustkę. Dopiero w domu zauważam, że do włosów przykleił mi się popcorn.

1. Uczeń popełnia błąd językowy, mówiąc, że w Austrii jest za dużo indyków (*turkeys*), zamiast (Turks). [\[wróć\]](#)

Rzucam się w wir obowiązków. Moje życie ogranicza się obecnie do mieszkania, szkoły i firm, z którymi współpracuję, takich jak Eon, Strabag, Creditanstalt, Tele2mobil, Andritz, Wien Energie, BAWAG, Polytec Holding czy niewielka grupa pełnych zapachu kustoszy w swetrzyskach z muzeum sztuki nowoczesnej MUMOK. Rozkoszuję się zmęczeniem, które odczuwam pod koniec dnia, kiedy taskam po schodach swoją torbę wypełnioną kserokopiami z poradami, jak prawidłowo napisać maila po angielsku – firmy tylko to interesuje. Jeśli mam szczęście, uczniowie zamiast wydawać przerażającą wojskową komendę *You send now the invoice!*¹, zaczynają używać nieco mniej przerażających militarnych sformułowań. Duża część lekcji mija mi na wyjaśnianiu, jak ważna w języku angielskim jest mowa zależna. Na ogół kursanci patrzą na mnie z mieszaniną niezrozumienia i lekkiej odrazy. Przecież lepiej działać samodzielnie i niezależnie.

– Dzień dobry – mówię do wyglądającego na dwanaście lat recepcjonisty w mojej szkole na Mariahilferstrasse.

– Dzień dobry – odpowiada chłopaczek.

Znajduję teczkę ze swoim nazwiskiem, gdzie umieszczone są ankiety personalne kursantów na dany dzień. Przy dystrybutorze wody stoi już kilkoro uczniów, a z pokoju nauczycielskiego słychać salwy śmiechu. Przeglądam plan i z irytacją zauważam, że w środku dnia są w nim dwa okienka. Wolałabym pracować bez żadnej przerwy.

– Może macie dla mnie jakąś grupę o jedenastej? – pytam.

– Niestety nie. – Recepcjonista rzuca okiem na grafik i kręci głową.

Nagle przychodzi mi do głowy pomysł na spędzenie czasu w trakcie przerwy między zajęciami.

– W porządku. – Uśmiecham się.

O jedenastej pędzę do optyka w szóstej dzielnicy, obok którego

przechodziłam już kilka razy. Z ulgą odkrywam, że nadal wisi tam informacja o bezpłatnym badaniu słuchu. Gdy wchodzę do środka, rozbrzmiewa dzwoneczek przy drzwiach. Wszystko w sklepie jest białe, oprócz setek oprawek i okularów przeciwsłonecznych wiszących na okrągłych stojakach. Z zaplecza wychodzi dwudziestoparoletnia kobieta. Usta ma pociągnięte krwistoczerwoną szminką, a włosy ciasno zebrane w koczek. Ubrana jest, niczym lekarka, w biały fartuch.

– W czym mogę pani pomóc? – pyta po niemiecku.

– Czy można u państwa wykonać nieodpłatne badanie słuchu? – pytam.

– Oczywiście – odpowiada kobieta. – Mamy również w ofercie aparaty słuchowe.

– W takim razie chciałabym się poddać badaniu – mówię.

Kobieta (Frau Ruthofer – jak informuje jej plakietka) zamiera w bezruchu.

– Oczywiście – mówi w końcu. – Teraz czy bukujemy jakiś termin?

– Najlepiej teraz – mówię. – Jeżeli to możliwe?

Kobieta podchodzi do drzwi, a ja zerkam na okulary przeciwsłoneczne marki Bulgari za czterysta dwa euro. Szybko obliczam, że aby je kupić, musiałabym dać około trzydziestu lekcji.

– Moja koleżanka wyszła właśnie na lunch – wyjaśnia Frau Ruthofer, zamykając drzwi. – Zapraszam.

Po chwili siedzę przy stoliku w małym dźwiękoszczelnym pomieszczeniu z ciemnobrązowymi ścianami poszatkowanymi milionami maleńkich dziurek. Na podłodze leży gruby jasnobrązowy dywan, przede mną jest szklana ściana. Frau Ruthofer znajduje się po drugiej stronie szyby. Pochyliła się i mówi do mikrofonu.

– Audiometria tonalna obejmuje dziewięć sekwencji na każde ucho. Jest pani gotowa?

– Proszę?

– Audiometria tonalna obejmuje...

Potrząsam głową.

– Żartowałam – wyjaśniam. – Możemy zaczynać.

Przez dziesięć minut naciskam na guzik, gdy tylko w lewym albo w prawym uchu usłyszę jakiś dźwięk. Czuję łaskotanie w żołądku – dawno nie byłam w tak dobrym humorze. Nie muszę wypełniać żadnego formularza – tym razem to moje ciało zostanie przetestowane i skategoryzowane. Przez cały czas wydaje mi się jednak, że Frau Ruthofer dziwnie mi się przygląda, a minę ma

coraz bardziej marsową. Zaczynam się martwić, że badanie wykazało jakieś problemy ze słuchem.

– Gotowe – informuje Frau Ruthofer.

Wstaję zawiedziona i obie wychodzimy z gabinetu. Frau Ruthofer przynosi jakieś wydruki z pomieszczenia na zapleczu.

– Oto audiogram – mówi i zerka na kartkę. – Obrazuje, jakie dźwięki pani rozpoznała i w jakim natężeniu.

Z ciekawością czekam na ciąg dalszy. Frau Ruthofer patrzy na wydruk, po czym go odkłada. Chyba jest zła.

– Mogę panią o coś zapytać? – mówi niemal ostrym tonem.

– Jasne.

– Czy cierpi pani na szumy uszne?

Kręcę głową.

– Zapalenie ucha?

Znów kręcę przecząco głową.

– Zapalenie ucha środkowego? Urazy akustyczne? Otoskleroza? Choroba Ménière'a?

Po raz trzeci kręcę głową.

– Czy ktoś w pani rodzinie ma problemy ze słuchem i niepokoi się pani, że to może być dziedziczne?

– Nie – odpowiadam trochę słabszym głosem. – Wszyscy cieszą się doskonałym słuchem.

– A pani? – Frau Ruthofer prawie wrzeszczy.

– Ja też – bąkam niepewnie.

– To po co pani tu przyszła? – wybucha Frau Ruthofer. – Tym testom poddają się zazwyczaj starsze, dużo starsze, osoby.

Nie wiem, co odpowiedzieć.

– Test był bezpłatny... a ja nie miałam nic do roboty – przyznaję w końcu.

Kobieta przez chwilę milczy. Po czym podaje mi wyniki badania.

– Gratuluję – mówi. – Ma pani wyjątkowo dobry słuch. Zwłaszcza w lewym uchu.

– Naprawdę? – nie mogę się powstrzymać.

– Szczegóły znajdzie pani na wydruku.

Biorę dokument i próbuję rozszyfrować cyfry oraz niewielkie diagramy, a jednocześnie oswajam się z dopiero co odkrytym darem.

Słyszę pukanie do drzwi. Frau Ruthofer otwiera ponownie zakład

i wpuszcza starszą panią w białym fartuchu ukrytym pod płaszczem. Tamta ma ze sobą papierową torbę z baru kanapkowego Anker i sok jabłkowy marki Pago. Frau Ruthofer zaczyna gorączkowo opowiadać koleżance o tym, że właśnie poddałam się badaniu słuchu tylko dlatego, że nie miałam nic lepszego do roboty. Chociaż stoję tuż obok nich. I mam słuch absolutny.

Wychodząc, mówię do widzenia, ale nikt mi nie odpowiada. Jednak jako posiadaczka zdolności supermana nic sobie nie robię z ich złości.

1. Ang. „Wysyłaj teraz fakturę”. [\[wróć\]](#)

8

Berlitz powierzył mi prestiżowe zadanie. Mam uczyć dyrektora Banku Austria, największego banku w kraju. Ponieważ pan dyrektor jest niezwykle zajęтым człowiekiem, dysponuje czasem dopiero o siódmej wieczorem. Trzykrotnie powtarzano mi, że Herr Direktor Kolbinger jest „niezwykle zajęty”. Za trzecim razem miałam ochotę powiedzieć, że nie prosiłam się o to, by mu zawracać głowę.

Siedzę więc teraz na ławce na Karlsplatzu i czekam, aż wybije siódma. Za sobą mam zdobione marmurem wejście do Banku Austria. Wieczór jest ciepły, a po placu wałęsają się turyści. Przyglądają się gmachowi Opery albo przebranym za Mozarta sprzedawcom biletów w tanich perukach. Wielkie afisze informują, że dziś wystawiają *Czarodziejski flet*.

Ktoś siada obok mnie na ławce. Ja dalej obserwuję grupkę japońskich turystów, którzy zakrywając usta, chichoczą i uciekają przed witającym ich sprzedawcą biletów. Podwinięte nogawki jego ciemnoczerwonych aksamitnych spodni są spięte za pomocą agrafek.

– Która godzina? – pyta po angielsku jakiś głos obok.

Rzucam okiem na miejski zegar znajdujący się dokładnie naprzeciwko nas.

– Za dziesięć siódma – odpowiadam i kątem oka zerkam na mojego sąsiada.

Jest wielki. Wielkich rozmiarów są jego włosy, ubranie, broda, a przede wszystkim oczy. W życiu nie widziałam tak wielkich oczu. Mają ciemnobrązową barwę, podobnie pewnie jego włosy i broda, gdyby nie były takie zakurzone i przesuszone. Znów patrzę na zegar. Przeczuję, że mój sąsiad zaraz zada mi kolejne pytanie.

– Jak masz na imię? – pyta dokładnie po trzydziestu sekundach.

– Julia.

W rękach trzyma sfatygowaną torbę na laptopa. Paznokcie ma brudne,

a koniuszki palców poźółkłe.

– Jesteś stąd?

Znów spoglądam na tego wielkiego faceta – nie, wielkiego kloszarda – i zastanawiam się, czy teraz poprosi mnie o pieniądze.

– Nie, ze Szwecji – odpowiadam.

– Dzięki Bogu, a więc nie jesteś Austriaczką – mówi z ulgą.

Wybucham śmiechem. Na co on się szczyrzy i pochyła w moją stronę.

– Nie o to mi chodziło – tłumaczy się. – Austriacy są po prostu trochę dziwni.

– W jakim sensie? – pytam.

Kloszard drapie się po brodzie.

– Tacy nieprzyjemni. Albo jakby mieli wspólną tajemnicę. Wszyscy ją znają, ale nigdy o niej nie mówią.

– Może dotyczy kogoś, kogo przetrzymują w piwnicy – sugeruję.

Bezdomny energicznie kiwa głową.

– Dokładnie! Do tego sprawiają wrażenie, jakby przez cały czas byli w złym humorze. Z drugiej strony dali światu Arnolda Schwarzeneggera – dodaje. – Więc gotów jestem wiele im wybaczyć.

Zegar pokazuje za pięć siódmą. Czas iść do Herr Direktora Kolbingera.

– Aż tak bardzo uwielbiasz Schwarzeneggera? – pytam.

Bezdomny odwraca się w moją stronę i rzuca mi groźne spojrzenie.

– *You're a funny guy, Sully. I like you. That's why I'm going to kill you last* ¹ – odpowiada, doskonale imitując Schwarzeneggera.

Nie mogę powstrzymać uśmiechu, gdy wstaję z ławki.

Kloszard też wstaje. Ma chyba ze dwa metry wzrostu.

– Musisz już iść?

Kiwam głową i wiem, że powinnam kierować się w stronę banku, ale coś mnie powstrzymuje. Jest za trzy siódma. Teraz już na pewno spóźnię się na pierwszą lekcję z Herr Direktorem Kolbingerem.

– Do wi... – zaczynam.

Kloszard wskazuje na ławkę.

– Sobota, siódma, ta sama ławka – mówi.

Po czym odwraca się i znika w tłumie przechodniów.

1. Ang. „Zabawny z ciebie koleś, Sully. Lubię cię. Dlatego zabiję cię na końcu”. Cytat z filmu *Komando*. [\[wróć\]](#)

Włosy Herr Direktora Kolbingera mają najbielszy odcień bieli, jaki kiedykolwiek widziałam, i mocno pachną korzenną wodą kolońską. Poza tymi szczegółami niewiele zauważam – nie mogę przestać myśleć o krótkim spotkaniu z bezdomnym. Do tego lekcję nieustannie przerywają telefony do dyrektora. Po upływie czterdziestu pięciu minut Direktor Kolbinger informuje mnie, że kolejną lekcję umówi ze mną jego sekretarka. Podaje mi rękę i prawie wypycha z gabinetu.

Kiedy wychodzę na Karlsplatz, bezskutecznie wypatruję postawnego kłozarda. Zamiast jechać do domu tramwajem numer 1, a potem autobusem 48A, decyduję się pójść piechotą. Mijam Dom Motyli, Muzeum Historii Naturalnej i Volkstheater. W dzielnicy muzeów znów zaczęli serwować pieczone ćwiartki ziemniaków i kasztany, które zawsze pachną lepiej, niż smakują. Na drzewach część liści zmieniła kolor z zielonego na jasnobrązowy. Myślę o tym, co na koniec powiedział bezdomny, i czuję lekkie ukłucie irytacji, bo zabrzmiało to jak rozkaz.

Nazajutrz wieczorem widzę się z Leonore. Pozwalam jej się wygadać po kłótni z beżowym, który przyłapał ją na picciu coca-coli zamiast red bull coli. Jej tyrada trwa czterdzieści pięć minut. Przez cały ten czas zastanawiam się, czy powinnam jej powiedzieć o spotkaniu z bezdomnym. W końcu podejmuję decyzję.

– Wczoraj zagadał do mnie bezdomny. Kiedy siedziałam przed Operą.

Leonore krzywi się.

– Brr! Nie znoszę takich sytuacji.

– Ale on był inny. Zabawny. No i całkiem seksowny, na swój dziwaczny sposób.

– O czym rozmawialiście?

Momentalnie żałuję, że jej o nim wspomniałam.

– O Schwarzeneggerze.

Leonore rzuca mi takie spojrzenie, jakbym nagle puściła bąka podczas balu w Operze.

– Faceci są beznadziejni – mruczy pod nosem.

– Zapytał, czy moglibyśmy się znów spotkać – kłamię. – W sobotę.

– O rany, chyba się nie zgodziłaś? – wykrzykuje Leonore i po raz pierwszy mam wrażenie, że rzeczywiście na mnie patrzy.

Nie odpowiadam.

– No i jak długo gadaliście? – pyta Leonore.

– Dokładnie przez siedem minut – mówię.

Rebecca wykazuje więcej zainteresowania. Siedzimy w Café Central i czekamy na zamówione ciastka. Mamy plan, by odwiedzić wszystkie słynne kawiarnie wiedeńskie pod pretekstem badań kulturoznawczych. Ale to tylko wymówka, która pozwala nam na bezkarne opychanie się słodkościami.

– Jest Anglikiem? – pyta Rebecca.

– Nie – odpowiadam. – Brzmiał bardziej jak Amerykanin.

– Jak ma na imię?

– Nie pytałam.

Przyglądamy się zajmującej sąsiedni stół rodzinie z dwójką nastoletnich dzieci. Kelner we fraku podaje im oprawne w skórę menu.

– Ciekawe, jak to się stało, że został bezdomnym – zastanawia się Rebecca.

– Ciekawe, co robi w Wiedniu. To raczej mało przyjazne miejsce dla bezdomnych – stwierdzam.

Ostatnio policja w ciągu jednej nocy przegoniła ze Schwedenplatzu wszystkich włóczęgów. Krążyły plotki, że przetransportowano ich do jakiejś małej wioski przy węgierskiej granicy. Mówiono też o lobotomii, przymusowej sterylizacji i rzeźni.

Kelner przynosi nasze zamówienie. Przed Rebeccą stawia tort wiśniowy, a ja otrzymuję Himbeer Harmonie, półokrągłe ciastko z musem malinowym. Długo nie wypowiadamy ani słowa. Słyszczyć tylko skrobienie widelczykami po talerzykach.

– No i co, zamierzasz tam pójść? – pyta w końcu Rebecca. – W sobotę?

– Jeszcze nie wiem – kłamię.

Tak naprawdę już postanowiłam, że się z nim spotkam. Zresztą nie mam nic

lepszego do roboty.

10

W sobotę o siódmej zajmuję miejsce na tej samej ławce co ostatnio.

Kiedy jacyś starsi państwo siadają obok mnie, rzucam im poirytowane spojrzenie i niecierpliwie rozglądam się wokoło. Obok przechodzi gwarna grupa włoskich uczniów z identycznymi purpurowymi plecakami. Starsza pani w płaszczu z norek. Objęta para. Matka ze śpiącym w wózku synkiem. Trzej nieodzywający się do siebie biznesmeni. Dwie dziewczyny fotografują się przed Operą. Nastolatek biegnie w stronę stacji metra. Wysoka kobieta wkłada do ust kawałki bagietki. Chłopak niesie futerał na kontrabas, kolejne pary trzymające się za ręce. Ale bezdomnego ani widu, ani słyhu.

Mija dziesięć minut. Piętnaście. Nagle zdaję sobie sprawę z tego, jaka jestem żalosna. Jaka zdesperowana. Że naprawdę cieszyłam się na randkę – czy co to właściwie miało być – z bezdomnym. Że bardzo nisko upadłam i jak idiotka liczyłam na to, że się pojawi. Próbuję przełknąć gulę w gardle i wydaję telefon, aby zadzwonić do Rebekki. Ona nie będzie mnie oceniać i powie tylko to, co należy. Że ten facet to debil. Że nie wie, co traci. Że tego kwiatu jest pół świata. I że zasługuję na kogoś o wiele, wiele lepszego (co jest oczywiście prawdą). Ale nawet przed Rebeccą wstyd mi się do tego przyznać. Minęło już dwadzieścia minut.

Wtedy go widzę. Jedzie w tłumie ludzi na małym dziecięcym rowerku. Kiedy mnie dostrzega, rozpromienia się. Niektórzy odwracają się i gapią na pedałuującego wielkoluda. Zatrzymuje się przede mną i ostrożnie opiera rower o śmietnik przy ławce.

– Spóźniłeś się – mówię.

– Nie sądziłem, że przyjdiesz – mówi. – Ale Kobra powiedział, że może powinienem jednak sprawdzić. No i proszę, oto jesteś! Wow!

Patrzę na rowerek.

– Twój?

– No, dałem za niego całe pięć euro.

– Kupiłeś go od dziecka?

– Nie, od jednego faceta. Czy raczej malutkiego facecika. – Wybuchą śmiechem.

Dzisiaj zauważam więcej szczegółów. Ma na sobie ciemnozieloną koszulkę z długim rękawem, uświnioną szarą bluzę, dziurawe džinsy z jasnoniebieskim sznurem w charakterze paska. Na nogach nie ma butów, a jego stopy są ciemnobrązowe od brudu. Na dłoniach ma otarcia, a kłykcie prawej ręki pokrywają strupy. Chyba podciął brodę, w przeciwieństwie do włosów, które są jeszcze bardziej potargane i kudłate niż ostatnio. Jego ukryta pod całym tym włosiem twarz jest całkiem ładna. Gdyby Hagrid z *Harry'ego Pottera* był młodszy i urodziwszy, wyglądałby właśnie tak. Ale dzisiaj dociera do mnie także bijący od niego ostry smród.

– Jak masz właściwie na imię? – pytam.

– Ben. Przepraszam, ale nie zapamiętałem twojego imienia.

– Julia. Jesteś bezdomny?

– Tak. Ale właśnie jadę z domu, który może zajmujemy. Ja, Kobra i jeszcze kilku innych punków.

– Jesteś punkiem?

– Nie, ale pierwszego dnia w Wiedniu zgadałem się z Kobrą. Potem rozpiliśmy butelkę wódki i przedstawił mi reszcie bandy. Może pojedzie ze mną do Berlina.

– A gdzie teraz mieszkasz?

– W krzakach w Stadtparku. Ale krążą plotki, że niedługo policja wszystkich stamtąd przegoni.

Położenie Bena jest dla mnie tak fascynujące, że nie mogę się powstrzymać od zadawania pytań.

– Dlaczego jesteś bezdomny?

Ben drapie się po brodzie i chyba zastanawia.

– Hm... podróżowałem po Europie... no i skończyły mi się pieniądze.

Znów się śmieje. Jakby wszystko – on, ja, całe życie – było jednym wielkim żartem.

– Skąd pochodzisz?

– Z Kanady. Byłaś tam kiedyś?

Kręcę głową.

– Nie. Ale zawsze chciałam pojechać.

– Jedź koniecznie! To nie jest kraj z rozwiniętą kulturą. Nie tak jak Austria. Wszędzie same prostaki. Ale te góry. I powietrze! Nie ma to jak stanąć na Wreck Beach i wdychać czyste górskie powietrze. Albo pojechać pick-upem nad Bouleau Lake i sobie powędkować. *Man*, ależ ja tęsknię za Kanadą!

Chłopięcy entuzjazm tak bardzo kontrastuje z jego niemal przerażającą posturą, że nie mogę się nie uśmiechnąć.

Rozmawiamy, wędrując okalającą pierwszą dzielnicę Ringstrasse. Kupujemy sobie w imbissie po hot dogu, a w Billi butelkę czerwonego wina. Ja funduję wino, a Ben płaci za kiełbaski garścią drobniaków wygrzebanych z kieszeni dzinsów. Menele spod budki z hot dogami przyglądają się z zainteresowaniem, jak Ben przelicza na ladzie pieniądze. Kiedy okazuje się, że starcza mu kasy, oddychają z ulgą i prawie że klepią go z uznaniem po plecach.

– Ile masz lat? – pytam, nim wezmę pierwszy kęs.

– Dwadzieścia cztery.

– Co takiego?

Odwracam się do niego.

– Dwadzieścia cztery – potwierdza.

– Yyy, jesteś pewien? – wyduszam z siebie. – Sądziłam, że jesteś starszy.

– To przez tę brodę – mówi, pokazując ją palcem. – A ty?

– Mam prawie trzy... dwadzieścia dziewięć.

Ben nie tylko nocuje w krzakach. Jest poza tym brodatym dzieckiem.

– A ile masz wzrostu? – pytam znów.

– Jakieś sto dziewięćdziesiąt pięć centymetrów.

– No to opowiedz jeszcze, w jaki sposób stałeś się bezdomny. Po prostu nie rozumiem, jak to się dzieje, że ludzie zostają bez dachu nad głową. To znaczy niby rozumiem, ale nie pojmuję, jak to się może przytrafić komuś takiemu jak ty.

Ben przez chwilę milczy.

– To proste – mówi wreszcie. – Najłatwiej jest spać gdzie popadnie. Człowiek widzi trawnik i postanawia na nim przenocować.

– A zimą?

– Wtedy zajmuję jakiś pustostan.

– Nigdy się nie boisz?

– Czego? – mówi Ben i uśmiecha się. – Że ktoś mi ukradnie moją dziurawą bluzę?

– I masz zamiar przeżyć tak całe życie?

– A czemu nie? – Ben wzrusza ramionami. – Nie narzekam. Ale jedno ci powiem: najlepszym krajem dla bezdomnych jest Szwajcaria. Kiedy byliśmy z The Englishem w Genewie, w przytułkach jedliśmy trzy wystawne posiłki dziennie.

Z tego, co zrozumiałam, The English to jakiś pokręcony Szkot, którego Ben poznał w Hiszpanii i z którym pojechał potem do Francji i Szwajcarii. W Genewie do Bena i The Englisha dotarło, że mają siebie nawzajem serdecznie dosyć, i rozstali się w ten typowy dla facetów pragmatyczny sposób.

– Ale jak to możliwe, że stać cię na podróżowanie po świecie?

Ben unosi kciuk.

– Łapię stopa – wyjaśnia. – Oczywiście czasami wyląduję w jakiejś zapyziałej dzielnicy przemysłowej, jest trzydzieści pięć stopni, a na horyzoncie nie widać ani jednego samochodu. A pieniądze mam z ulicznego śpiewania albo opowiadania dowcipów.

– Naprawdę jesteś w stanie coś na tym zarobić? – dziwię się.

– No jasne. – Ben się uśmiecha. – Mieliśmy z The Englishem fajny numer, ludzie go uwielbiali. Ale któregoś razu, kiedy sobie odpoczywaliśmy, jakiś koleś wrzucił nam do pudełka pieniądze. Od razu mu je oddałem. Nie jestem żadnym żebrakiem.

– A lubisz spać w krzakach? – pytam, bo nie potrafię przestać myśleć o jego bezdomności.

– Mój krzaczek jest wporzo! – mówi Ben. – Mieszczą się tam dwie osoby, a z zewnątrz nic nie widać.

– Ale dlaczego *krzak*? Nie wolałbyś spać w pokoju? Na materacu?

Ben drapie się po brodzie. Pociągam ostatni łyk wina i wyrzucam butelkę do kosza na śmieci.

– Pewnie... czasami... – zaczyna. – Zwłaszcza teraz, kiedy wieczory znów robią się chłodne. Dlatego wkrótce będę musiał poszukać sobie jakiegoś lokum.

Ni z tego, ni z owego chwyta moją dłoń i dalej idziemy, już trzymając się za ręce. Jego dłoń jest tak duża, że niemal pochłania moją. Czuję, że serce bije mi mocniej. Pod całym tym brudem kryje się najpiękniejszy mężczyzna, jakiego

kiedykolwiek spotkałam. Bije z niego jakaś zaskakująca pewność siebie, duma i pogoda ducha. W jego obecności moje ciało przechodzą ciepłe dreszcze i nagle mam ochotę się z nim całować i kochać. Problem w tym, że bijący od niego smród przyprawia mnie o mdłości.

– Dlaczego nie nosisz butów? – pytam. – Czy chodzenie boso nie sprawia ci bólu?

– W Hiszpanii odkryłem, że moje buty są dziurawe – wyjaśnia Ben. – Najpierw okleiłem je srebrną taśmą, ale to nie pomogło, więc wyrzuciłem je do morza. Niestety zbyt późno zorientowałem się, że w Hiszpanii nie da się kupić rozmiaru czterdzieści siedem, bo wszyscy Hiszpanie mają półtora metra wzrostu. I tak zostałem bez butów. Francuzi są niewiele wyżsi, a kiedy dotarłem do Szwajcarii, przyzwyczałem się już do chodzenia boso. Powinnaś zobaczyć zgrubienia na spodzie moich stóp! Są niesamowite. Chcesz je obejrzyć?

– Nie, dzięki.

– A ty czym się zajmujesz? – pyta Ben.

– Uczę angielskiego w szkole językowej Berlitz. Właściwie to chciałabym być pisarką, ale tak się składa, że wszystkie historie, które wymyślam, zostały już napisane. Moja pamięć do zasłyszanych opowieści jest o wiele lepsza niż wyobraźnia. Wczoraj na przykład przyszedł mi do głowy genialny pomysł na powieść o gigantycznym rekinie, który terroryzuje nadmorskie miasteczko. Byłam taka podekscytowana, aż zdałam sobie sprawę, że to przecież scenariusz *Szczęk*.

– Kiedyś zostaniesz pisarką – mówi Ben. – Niektóre rzeczy wymagają więcej czasu.

– Też chciałabym być tego taka pewna – stwierdzam.

– Może powinnaś czerpać z własnych doświadczeń? – sugeruje Ben.

– Życie nauczycielki angielskiego jest niestety mało ekscytujące. Kiedyś jednak trafiła mi się uczennica, która jadła wyłącznie produkty w białym kolorze, na przykład ryż albo jogurt. To było dość dziwaczne. Pewnego razu zapytała mnie, po co nam właściwie czas przeszły ciągły, a to pytanie niemal egzystencjalne. A jeden z uczniów zrezygnował z zajęć ze mną, ponieważ żartowałam, że ilekroć mówi *informations*, zdycha jeden szczeniak, a gdy powie *peoples* ¹, mały kotek. Okazał się zagorzałym obrońcą praw zwierząt.

– Jak trafiłaś do Wiednia? – pyta Ben.

– Eee, z powodu jednego faceta... – mamroczę. – Takiego Matthiasa. Pochodzi stąd.

– Już go nienawidzę – mówi Ben.

– Kiedy zerwaliśmy, po prostu zostałam. Mieszkam tu już prawie pięć lat. Obecnie dzielę życie z Optimusem.

Po prawej stronie po raz drugi, a może i trzeci mijamy Hofburg. Spojrzawszy na duży zegar, zdaję sobie sprawę, że chodzimy tak od niemal trzech godzin. Ben jakby się nad czymś zastanawiał.

– Od jak dawna jesteś z tym Optimusem? – pyta w końcu.

– Dopiero od kilku tygodni – odpowiadam. – Ale on chyba chce to zakończyć. Pasywno-agresywnie drapie pazurami po kanapie.

Ben uśmiecha się.

– Ha! To kot! – wykrzykuje. – „Optimus” brzmi jak ksywka jakiegoś typa z Hells Angels. Oni miewają takie dziwaczne przydomki. Siekiera albo Apacz. Już sobie wyobraziłem, że będę musiał skopać mu tyłek. – Ben jeszcze mocniej ściska moją dłoń.

– Spoko – mówię. – Mój chłopak z Hells Angels posiedzi jeszcze do dwa tysiące dwudziestego ósmego roku. Z trzykrotnymi zabójcami raczej się nie patyczkują.

Ben nagle się zatrzymuje. Staje przede mną i ujmuje moją twarz w dłonie. Nie należę do niskich. Muszę jednak stanąć na palcach, żeby móc go pocałować. Ale w ostatniej chwili odwracam głowę i cofam się, nie mogąc znieść bijącego od niego smrodu.

– Za szybko? – pyta zaniepokojony.

Kiwam głową.

– Nie zapytałeś jeszcze o pozwolenie moich krewnych z Sycylii – odpowiadam. – A tak szczerze, czy mógłbyś wziąć prysznic i wyprać ubranie, jeśli znów mamy się spotkać?

– O rany, śmierdzą?

Znów kiwam głową, a Ben wybucha śmiechem.

– I to nie jest według ciebie podniecająco męskie?

Kręcę przecząco głową.

– Muszę już iść – mówię.

– Nie – prosi Ben i bierze mnie za rękę.

– Tak.

Nie skarżę się, że zaczęły mnie boleć stopy. Nawet sobie nie wyobrażałam,

że będę się tak dobrze bawić z Benem. Teraz muszę ten zaskakujący fakt przetrwać w domowym zaciszu.

– Nie chcesz pójść ze mną do mojego krzaczka? – pyta z uśmiechem. – Położyłem podłogę z kartonu.

– Podłogę z kartonu? – mówię zaintrygowana.

– I brezent, który świsnąłem z jednej restauracji – dodaje Ben.

– Podłoga z kartonu, a do tego brezent? – Kręcę głową. – Chyba jestem niespełna rozumu, odrzucając taką ofertę, ale może innym razem. A ty wracaj na Karlsplatz po rower, zanim ktoś ci go zwędzi.

Ben znów chwyta mnie za rękę.

– Co robisz jutro? – pyta. – Możemy się spotkać?

– Mam coś do załatwienia – odpowiadam.

Ben sprawia wrażenie rozczarowanego.

– W ogóle nie masz jutro czasu? – pyta. – Proszę, proszę, proszę.

– Przykro mi.

– A więc będę musiał cię porwać – mówi Ben i chwyta mnie zniemacka.

Przerzuca mnie sobie przez ramię i śmiejąc się, biegnie ulicą. Kopię go z całej siły i wymachuję rękami, aż wreszcie stawia mnie na ziemi. Twarz mi cała poczerwieniała, serce wali jak oszalałe.

– Przestań! – mówię i odpycham go. – Żadna dziewczyna nie lubi być podnoszona! A jeśli już, to jest primabaleriną w balecie Kirowa i waży dwadzieścia pięć kilogramów! Nigdy więcej tego nie rób!

Ben poważnieje.

– Co w takim razie lubisz? – pyta.

– Chodzić ramię w ramię – mówię. – Jak równy z równym.

Oboje oddychamy już normalnie, choć serce nadal bije mi szybciej.

– Okej. Przepraszam – mówi z uśmiechem. – A o której kończysz zajęcia w poniedziałek?

– O piątej.

– Berlitz na Mariahilferstrasse? To ta ulica handlowa?

Potakuję.

– Będę tam na ciebie czekał – mówi.

– Lepiej spotkajmy się pod Starbucksem na rogu – proponuję prędko.

– W porządku.

Ponownie się pochyla, żeby mnie pocałować. Zaciskam nozdrza i pochylam się ku niemu z wydętymi ustami. Ale w ostatniej chwili dociera do mnie woń

eau de clochard – bogata, owocowa kompozycja potu oraz śmieci – i zmuszona jestem odwrócić głowę.

– Przepraszam. Po prostu nie mogę.

– Okej – mówi Ben. – Obiecuję, że następnym razem nie będę cuchnął.

– Świetnie. – Uśmiecham się.

Kiedy odchodzę dwadzieścia metrów, słyszę wydzierającego się za mną Bena. Jakiś pan w kapeluszu wyprowadzający na spacer małego pieska również się odwraca.

– Weźmiemy ślub i będziemy mieć dzieci! – woła Ben.

Gapię się na rosnącą postać – teraz widzę tylko jej zarys.

– Tak do twojej wiadomości – dodaje.

Po czym odchodzi w przeciwnym kierunku. Pan w kapeluszu mruczy coś pod nosem po niemiecku i pochyla się z naciągniętym na dłoń woreczkiem. Ja patrzę na oddalającego się śmierzącego dwudziestoczterolatka z utyłanymi stopami i dumam, czy jeszcze kiedyś się spotkamy.

1. W obu rzeczownikach nieprawidłowo dodana końcówka liczby mnogiej. [\[wróć\]](#)

12

Nazajutrz gapię się przez okno w sypialni. Moje łóżko stoi tuż przy nim, więc owinięta w kołdrę siedzę i patrzę na podwórze, na którym rośnie olbrzymi dąb. Jest niedziela i poza wietrzącą pościel starszą panią na trzecim piętrze w budynku po lewej stronie nigdzie nie ma żywej duszy, więc dalej wpatruję się w drzewo. Myślę o Benie i zastanawiam się, dlaczego powiedziałam mu, że nie mam dziś czasu się z nim spotkać. W końcu dzwonię do Rebekki, żeby się dowiedzieć, co porabia. I żeby jej opowiedzieć, co ja porabiam.

– Jestem w drodze na Heldenplatz – mówi. – Jakob bierze udział w maratonie.

Wokół niej słycać gwar.

– Nie wiedziałam, że Jakob biega – dziwię się.

– Niedawno zaczął. Boi się starości. – Słycać buczenie wuwuzeli. – Wczoraj przebiegł pięć kilometrów.

– A, to w porządku. Ponoć po pierwszych pięciu kilometrach kolejne trzydzieści siedem to już pestka.

– Czekać, mam drugi telefon – mówi nagle Rebecca.

Po jakiejś minucie oddzwania.

– Jakob załamał się po dwustu metrach – dyszy. – Muszę pędzić na linię startu przy UNO-City i go stamtąd odebrać.

– Wszystko z nim w porządku?

– Zakręciło mu się w głowie i kazali mu zrezygnować.

– Jego chudziutkie jezusowe kości nie są po prostu stworzone do maratonów, tylko do robienia skrzypiec – mówię. – Mam przyjechać? Możesz udawać, że jesteś Maryją, a ja Marią Magdaleną.

– Nie, dzięki. To by zresztą oznaczało, że uprawiam seks z własnym synem. Brr! – odpowiada Rebecca. – Do zobaczenia w Berlitzu.

– Okej. Mam nadzieję, że Jakob ma się dobrze.

Przez ułamek sekundy zastanawiam się, czyby nie zadzwonić do Leonore, ale rezygnuję, bo przecież kumplujemy się tylko po to, żeby mieć z kim chodzić na imprezy, a tak naprawdę nawet się nie lubimy. Omiatam wzrokiem mieszkanie. Naraz zaczynam nienawidzić swojej samotności i siebie samej za to, że się na nią skazuję. Zrywam się, zgarniam wszystkie książki z półek i rzucam sobie potrójne wyzwanie: poustawiać je według wielkości, koloru i daty wydania. Po półtorej godzinie dokładnego dopasowywania czuję się uskrzydłona, gdy widzę, że *Started Early, Took My Dog* Kate Atkinson stoi obok *To nie jest kraj dla starych ludzi* Cormaca McCarthy'ego, a *Pokuta* Iana McEwana obok *Klejnotu koronnego* Paula Scotta.

Kiedy wszystkie książki są już na swoim miejscu, siadam na kanapie, by je popodziwiać. Obok mnie mości się Optimus. Tarmoszę mu brzuch, aż pieśzczoty przechodzą w szamotaninę. Zaskoczony kot wytrzeszcza ślepią i na przemian liże, drapie i gryzie moją rękę. Gdy w końcu zeskakuje z kanapy, zauważam, że jestem cała podrapana. Tu i ówdzie widać krew, która zostawia plamy na tapicerce.

– Wiem, że robisz to z miłości – mówię do Optimusa, który zdążył już wskoczyć na parapet i gorączkowo wylizuje sobie grzbiet.

Patrzę na zakrwawioną rękę i postanawiam związać się z Benem. Będę mieć odwagę, by zmienić swoje życie, zdobyć nowe doświadczenie i raz jeden wybrać najmniej wydeptaną ścieżkę. Albo, w tym wypadku, faceta, który najmniej ze wszystkich dba o higienę. Zasługuję na odrobinę seksu i miłości. A Ben i tak wyjeżdża do Berlina.

Przy tablicy zapominam nagle, jak się pisze *house*. Wysyłam swojemu wewnętrznemu słownikowi sygnały SOS, ale nie słyszę nic poza pustym echem. Panicznie gapię się na słowa, które już napisałam:

ANNA MIESZKA W DUŻYM

Bettina, Steffi i Hans patrzą na mnie. W sali obok rozbrzmiewa śmiech Claire i jej uczniów. Zielony marker wciąż tkwi zawieszony przed białą taflą tablicy, a ja stoję jak porażona. Haus? Huoz? Och, Anno, gdzie mieszkasz? W przypływie natchnienia zwracam się do uczniów i pytam z uśmiechem:

– Kto z was potrafi napisać *house*?

Hans powoli podnosi rękę, a ja oddaję mu mazak. Kiedy idzie w stronę tablicy, siadam na jednym z krzeseł i spoglądam na Bettinę i Steffi. Czy zauważyły, jak dziwnie się dziś zachowuję? Że nie poprawiam nawet połowy popełnianych przez nie błędów, a Hans może sobie mówić, że jest *Christ*, zamiast *Christian*, bo nic mnie to już nie obchodzi? Że cały ten dzień to jedno wielkie odliczanie do piątej i do spotkania z Benem?

– *I am afraid of dogs*¹ – powoli czyta Steffi z podręcznika.

– *Ich bin erfreut von Hunden*² – cicho przetłumacza sobie Hans i kiwa głową.

– Nie, nie, to oznacza... – Nie jestem w stanie dokończyć, ponieważ nagle zaczynam się obawiać – nie, ja to wiem – że Ben zapomniał, gdzie się w końcu umówiliśmy. Będzie czekał na mnie pod Berlitzem i wszyscy go zobaczą. Za pięć piąta jako pierwsza wypadam z sali i prawie spycham Bettinę z drogi, tak potwornie się guzdrze. Najpierw wbiegam do toalety, po czym pędzę po schodach. *Niech tylko nie czeka na mnie pod Berlitzem. Niech tylko nie czeka na mnie pod Berlitzem. Niech tylko nie czeka na mnie pod Berlitzem.* Kiedy wypadam na Mariahilferstrasse, rozglądam się po robiących zakupy ludziach. Wtedy go dostrzegam. Stoi kilka metrów dalej oparty o drzewo i pali.

Podchodzę do niego, siląc się na uśmiech.

– Cześć.

– Cześć – odpowiada. Uśmiecha się i wyrzuca skręta.

– Czy my przypadkiem nie umówiliśmy się pod Starbucksem? – pytam.

– Naprawdę? – dziwi się Ben. – Sądziłem, że mamy się spotkać o piątej pod Berlitzem.

– Nie – odpowiadam.

Z ulgą stwierdzam, że przynajmniej nie cuchnie, może dlatego, że dziś jest trochę chłodniej. Ma też na sobie inne ciuchy. Do dzinsów, które poznaję z poprzedniego spotkania, włożył granatową workowatą bluzę z kapturem. Nadal jest bez butów.

– Wziąłem prysznic w schronisku, ale nie udało mi się uprać ubrań – mówi Ben. – Na szczęście przeczesując szafę, znalazłem inne. Chyba nie śmierdzą tak jak tamte.

Z dumą obraca się, by zaprezentować swój nowy strój.

– W szafie? – pytam.

– W reklamówce – wyjaśnia Ben. – Leży ukryta pod innym krzakiem. To cud, że jeszcze nikt mi jej nie świsnął. Ładnie dziś wyglądasz.

– Dzięki – mówię i ukradkiem zerkam w stronę wejścia do Berlitzu. Właśnie wychodzi Steffi.

Zapala papierosa i szybko idzie dalej. Po chwili budynek szkoły opuszcza Bettina. Rozmawia przez telefon, rzucając nam jednocześnie zaciekawione spojrzenia. Wyjmuje z torebki paczkę papierosów.

– Wczoraj przez cały dzień o tobie myślałem – mówi Ben z szerokim uśmiechem.

– Chodźmy już – odpowiadam szybko.

Idziemy do pierwszej dzielnicy i kupujemy mnóstwo jedzenia. Siadamy na ławce w Volksgarten. Prawie wszystkie rosnące tu róże zwiędły. Ostał się tylko jeden krzaczek, który pokrywają białe, pomarszczone płatki. Rozkładam między nami jedzenie. Ben natychmiast otwiera puszkę ottakringera i wypija duszkiem jej zawartość.

– Dużo pijesz? – pytam.

Po raz pierwszy Ben jest zakłopotany.

– Wszyscy bezdomni piją – odpowiada w końcu tonem, jakby to było oczywiste. – Inaczej trudno zasnąć. Jedyne sposoby na sen pod gołym niebem to upić się na dobranoc. Wtedy człowiek nie czuje zimna.

Patrzę na białe róże i rozmyślam o dwóch światach, w których żyjemy. W tym Bena trzeba się uchlać, żeby przeżyć noc, a w moim największym dramatem dnia jest popsuta kserokopiarka albo to, że Ken wziął mój ulubiony kubek.

– Od jak dawna śpisz pod gołym niebem?

– Mniej więcej od roku – mówi Ben i otwiera kolejne piwo.

Tylko ja łakomię się na chleb, ser, salami i oliwki.

– A co wcześniej robiłeś?

– Przez jakiś czas byłem kierownicą pogotowia technicznego. Jeszcze w Kanadzie. Pomagałem też przy przeprowadzkach. A latem zbierałem dżdżownice.

– Zbierałeś dżdżownice? Nie wiedziałam, że taka praca w ogóle istnieje.

Ben kiwa głową.

– W Kanadzie to niezły biznes. Zazwyczaj nielegalny. No i najczęściej zatrudniają Pakistańczyków, Wietnamczyków albo desperatów takich jak ja.

– Jak się zbiera dżdżownice?

– Do jednej nogi przymocowuje się wiadro na dżdżownice, a do drugiej wiadro z piaskiem. Przez całą noc chodzi się pochylonym po polu. Trzeba posypywać dłonie piaskiem, żeby dobrze uchwycić robala i go nie porzrywać. Czasami nie ma ani jednej dżdżownicy, innym razem są ich tysiące, zwłaszcza w okresie godowym.

– Okropieństwo.

– To prawda – Ben przyznaje mi rację. – Imiałem się tak podłych zajęć, że czasem chciało mi się wyć. Nosilem na przykład czyjs zasikany materac za kilka marnych dolców na godzinę. To już chyba wolę swoje życie teraz. A jaka jest najgorsza praca, jaką ty wykonywałaś?

Zastanawiam się.

– Prawie każda, ponieważ wszystkie były potwornie nudne – odpowiadam.

– Kiedyś pracowałam jako asystentka pewnego architekta. Przeżył wypadek lotniczy. Miał duże wklęśnięcie w czole, w wyniku urazu stracił kawałek mózgu. Okropna robota, bo trudno było się nie gapić na jego czoło. Więc kiedy coś do mnie mówił, wpatrywałam się w chusteczkę w kieszonce na jego piersi. Chyba przez to w końcu wyleciałam z pracy.

– Ale poza tym był normalny? – pyta Ben. – Mimo braku części mózgu?

– Raczej tak – mówię. – Chociaż czasem potrafił być wredny. No i wszystkie ołówki musiały być idealnie zatemperowane. Ale może to

zbochenie wszystkich architektów?

– Muszę *natychmiast* narysować projekt wieżowca! – krzyczy Ben. – Szejk z Dubaju zamówił u mnie wieżowiec, który ma przypominać gigantycznego fiuta!

– Nie! Nie! Ołówki są nienaostrzone! Teraz moja kariera architekta *legnie w gruzach!* – odkrzykuję.

– Co z ciebie za asystentka! Ty wywłoko, to wszystko twoja wina! Gdybym miał czoło, tobym się w nie puknął!

Uśmiechamy się do siebie.

– Koniec końców Berlitz nie jest może taki najgorszy – mówię. – A czym zajmują się twoi rodzice?

Ben upija łyk piwa, zanim odpowie.

– Mama jest sprzątaczką, a tata był murarzem. Potem zaczął mieć problemy z gardłem. Teraz siedzi w domu i gapi się w telewizor.

– Masz rodzeństwo?

Ben kręci głową.

– Tylko kuzyna, który nie żyje.

– Co mu się stało?

Ben wzrusza ramionami.

– W Vancouver zaczął się zadawać z niewłaściwymi ludźmi i to by było na tyle.

Przez chwilę milczymy. Znow myślę o tym, jak różne są nasze światy. W moim i Rebekki towarzystwie „niewłaściwi ludzie” to tacy, którzy, mimo że są dorośli, nadal deklarują się, że są fanami wampira Edvarda lub wilkołaka Jacoba.

– Opowiedz coś o gościach, których poznałeś – mówię i uśmiecham się. – Po tym, jak zostałeś bezdomnym.

Ben się szczyrzy.

– Swiffer! W Amsterdamie był taki Albańczyk, na którego wszyscy wołali Swiffer. Oczywiście megaćpun. Ale Swiffer miał pewną wyjątkową cechę: uwielbiał sprzątać. Więc ludzie zapraszali go do siebie na pół grama kokainy, a on sprzątał całą noc, wciągając kreski.

Za nami na Ringstrasse dzwoni tramwaj. Ben w końcu bierze kawałek chleba i odrobinę sera.

– Był jeszcze jeden Serb, Drago. Mówiliśmy na niego Drago i Gabbana. Kradł markowe ubrania. Wchodził do butików, ukrywał ciuchy pod własnymi,

a potem sprzedawał. Nie był z niego miły koleś. Kiedyś sprzął jednego chłopaka tylko dlatego, że tamten krzywo na niego spojrział. Jak jest się bezdomnym, to mogą się człowiekowi przydarzyć cholernie nieprzyjemne rzeczy. Na przykład kiedy byłem w Genewie, jacyś gówniarze oblali benzyną jednego faceta i podpalili za to, że spał na ulicy. Dziś gość nie ma już twarzy i jest ślepy.

Milczymy przez dłuższą chwilę.

– Niezły ze mnie podrywacz, co? – mówi w końcu Ben.

– Jeszcze jedna historyjka o sprzątających Albańczykach albo poparzonych bezdomnych i jestem twoja na zawsze – odpowiadam z uśmiechem.

– Tak naprawdę jesteś moją pierwszą dziewczyną. Pierwszą i ostatnią.

Prawie dławię się oliwką.

– Nigdy nie miałeś dziewczyny?

Ben kręci głową.

– Wiadomo, spotykałem się z tą i ową, ale nigdy nie chciałem się z nikim wiązać. Chociaż laski zawsze sądzą, że zmienię zdanie, kiedy się ze sobą prześpimy. A ty ilu miałaś facetów?

– Całkiem sporo. Ale po czasie stwierdzam, że większość z nich to idioci. Naprawdę nigdy nie miałeś dziewczyny?

Ben wzrusza ramionami.

– Wiedziałem, że któregoś dnia poznam tę jedyną – mówi i bierze kawałek chleba. – No i w końcu nadszedł ten dzień. Długo ci się przyglądałem, kiedy tak siedziałaś na ławce na Karlsplatzu. Pomyślałem, że zostaniesz moją żoną i matką moich dzieci.

– Tak po prostu?

Ben kiwa głową.

– Moja mama potrafi przewidywać przyszłość – mówi. – Pewnie odziedziczyłem to po niej. Zawsze kiedy ma się wydarzyć coś złego, śni się jej psy. Na podstawie ich zachowania przeczuwa, co się stanie. Kiedy spojrzałem na ciebie, taką śliczną, to po prostu wiedziałem.

Za nami znów dzwoni tramwaj. Moje ciało nagle staje się rozgorączkowane, a podbrzusze rozżarzone.

– Chodź – mówię.

1. Ang. „Boję się psów”. [\[wróć\]](#)

2. Niem. „Cieszę się na widok psa”. [\[wróć\]](#)

14

Zaczynamy się kochać, jak tylko docieramy do mojego mieszkania. Niewiele brakuje, a zrobilibyśmy to na podłodze w przedpokoju. Na szczęście udaje mi się pokierować Bena w stronę sypialni. Całujemy się, zdzierając z siebie ubrania. Śpiący na łóżku Optimus zrywa się, z impetem wybiega z pokoju, aż traci równowagę i z hukiem uderza we framugę drzwi.

– Jesteś bardzo seksowna – mruczy Ben, całując moją szyję.

Seks jest dziki i oszałamiający, inny od wszystkich moich poprzednich razy. Jestem jednocześnie nieśmiała i odważna.

– Szaleję na twoim punkcie, wiesz – mówi Ben już po. – Przy tobie jestem jakiś rozchwiany i skołowany. Wczoraj wciąż o tobie nawijałem, aż Kobra poprosił, żebym się zamknął.

– Nigdy nie spotkałam nikogo takiego jak ty – mówię całkowicie szczerze.

Ben bierze mnie w żelazny uścisk i przytula aż do bólu.

– *Come with me if you want to live* ¹ – mówi mi do ucha głębokim głosem z austriackim akcentem.

– Arnold?

– *Terminator* część druga.

– Jesteś pewien, że to nie w Schwarzeneggerze się bujasz?

– Jak można nie kochać tego faceta? – wykrzykuje Ben z udawanym zdziwieniem. – Czyżbyś nigdy nie widziała jego uśmiechu?

– Możesz wziąć prysznic, jeżeli masz ochotę – proponuję.

Ben wstaje i po raz pierwszy widzę jego nagie ciało w całej okazałości. Chudzina z niego. Przez te wszystkie warstwy ubrań sprawiał wrażenie masywniejszego. Kości biodrowe i obojczyki wystają tak, jak wystawać nie powinny, można mu też policzyć żebra. Klatkę piersiową ma nieowłosioną, nie widzę też żadnych tatuaży. A wzięłam go za gościa, który lubuje się w pokrywaniu ciała tuszem. Idziemy razem do kuchni.

- Tu jest szampon, balsam i mydło pod prysznic – objaśniam.
- Masz jakieś nożyczki, żebym mógł ściąć brodę?
- Tak, w szafce łazienkowej.

Słyszę, jak Ben puszcza wodę i przestawia buteleczki stojące pod prysznicem.

- Będę pachniał jak mała dziewczynka – śmieje się Ben.

Gdy on bierze prysznic, ja robię kanapki i nalewam nam czerwonego wina. Wrzucam ciuchy Bena do pralki. Włączam telewizor i próbuję wywabić z kanapy Optimusa. Na wewnętrznej stronie ud zauważam niewielkie siniaki po wystających kościach biodrowych Bena. Delikatnie gładzę jasnoniebieskie ślady.

- To laminator? – woła z kuchni.

W końcu Ben wchodzi do dużego pokoju. Ma na sobie moje szare spodnie dresowe, przez ramiona przewiesił ręcznik. Z włosów kapie mu woda. Nie tylko ściął włosy, ale też się ogolił.

- Wow! – Tylko to jestem w stanie z siebie wydusić.

Po raz pierwszy naprawdę widzę jego twarz. Usta ma większe, a policzki bardziej zapadnięte, niż mi się wydawało. Nieco zażenowana głaszczę go po policzkach.

- Czuję się, jakbym był nagi – mówi. – Jak niemowlę.

– W takim razie jesteś bardzo seksownym niemowlakiem – odpowiadam i pośpiesznie dodaję: – Oczywiście nie w pedofilskim sensie. Jak dziecko... które... Nieważne. W każdym razie wyglądasz seksownie.

Ben rzuca się na mnie i znów zaczyna muskać moją szyję. Z jego włosów na twarz skapuje mi woda. Kończy się seksem, tym razem na sofie.

1. Ang. „Chodź ze mną, jeśli chcesz żyć”. [\[wróć\]](#)

Claire z Berlitzu organizuje przyjęcie pożegnalne w jednym z barów z ogródkiem w dzielnicy muzeów. W ten sposób manifestuje wszystko to, czego nienawidzę w byciu dorosłą. Nasza zgraja z Berlitzu siedzi trochę sztywno przy trzech chwiejnych metalowych stolikach. Wszyscy przyszliśmy tu tylko ze strachu przed tym, że inaczej nikt nie pojawi się na naszej imprezie pożegnalnej.

– Claire – mówi Dagmar i unosi szklaneczkę z wodą mineralną.

– Claire – powtarzamy za nią i unosimy nasze szklanki.

Claire także unosi szklankę, ale nie pije. Może ma to jakiś związek ze stojącą przy jej nogach firmową torebką z L'Occitane – pożegnalnym prezentem, na który zrzuciliśmy się tego samego popołudnia. Sklep L'Occitane sąsiaduje z Berlitzem.

– Dlaczego kończysz z uczeniem? – pyta młoda, pochodząca z Bułgarii dziewczyna Randall, którą wszyscy widzimy po raz pierwszy. Jako jedyna nie pracuje w Berlitzu, co dziwnie destabilizuje grupę. Sytuację dodatkowo pogarsza przybycie Dagmar.

– Wracam do szkoły – mówi Claire. – Do Londynu.

– Cholerna uczennica – mówi Sarah tonem, który brzmi niemal poważnie.

Wszyscy śmieją się uprzejmie.

– Dzięki, Sarah – mówi Claire.

Wszyscy znów uprzejmie się śmieją.

– Fajnie będzie znów znaleźć się po drugiej stronie – ciągnie Claire i prostuje się. – Siedzieć sobie w ławce i słuchać, jak ktoś inny się męczy.

– Tylko teraz nie zacznij wrzucać zdjęć, jak to wylegujesz się do pierwszej po południu i tym podobnych – prosi Sarah.

Znów wszyscy uprzejmie się śmieją.

– Wszystko bym dał, żeby znów zacząć studiować... – rozmarza się

Randall.

Dyskretnie spoglądam na zegarek, bo za pół godziny mam się spotkać z Benem.

– Jeszcze nie jesteś za stary – mówi Karen. – Na uniwerku mam kilku studentów starszych od ciebie.

Karen uczy jeszcze na uniwersytecie. Też bym tak chciała, zamiast tyrać dla Berlitz.

– W wieku dwudziestu siedmiu lat jeszcze nie jest za późno, żeby zacząć studiować – stwierdza bułgarska dziewczyna Randalla i czule odgarnia pukiel z jego czoła tak jak się to robi tylko na początku związku.

– Ale ty nie masz przecież dwudziestu siedmiu lat, tylko trzydzieści cztery – prostuje Dagmar. – Miałam wgląd w twoje dokumenty.

Randall purpurowieje. Wygląda, jakby był zarazem przerażony i wściekły. Jego Bułgarka wydaje się zaskoczona.

– Masz trzydzieści cztery lata? – pyta z szeroko otwartymi oczami.

– Randall, ty kłamczuszkę – mówię z uśmiechem.

Dzięki zdemaskowaniu kłamstwa Randalla wieczór od razu robi się ciekawszy.

– Dlaczego oszukiwałeś w sprawie wieku? – pyta Mike.

– Tak jakbyś ty nie oszukiwał, kiedy ubiegasz się o aktorską fuchę – odparowuje Randall.

Bułgarska dziewczyna Randalla uśmiecha się teraz bardzo niepewnie. Zauważam, że zdjęła dłoń z jego uda.

– Czy ja dobrze słyszę? Czy ty właśnie nazwałeś swoją dziewczynę „fuchą”? – pyta Mike.

– Jak mogłeś okłamać własną dziewczynę? – pyta Sarah.

– No właśnie, Randall, wyjaśnij nam to – przyłącza się Mike.

– Dobra, możemy zmienić temat? – prosi poirytowany Randall.

Gadamy o kłamstewku Randalla aż do mojego wyjścia.

Obejmuję Claire i życzę jej powodzenia na studiach.

Ponieważ nie chcę, żeby ktoś mnie zobaczył z Benem, spotykam się z nim pod Volkstheater niedaleko dzielnicy muzeów i mojego mieszkania.

Kiedy docieram na miejsce, on siedzi już na kamiennych schodach i wcina Manner Schnitten, popularny austriacki wafelek. Chyba właśnie zaczął się antrakt, bo przed teatr na papierosa wyszło mnóstwo ludzi. Niektórzy trzymają w dłoniach kieliszki szampana. Podchodzę do Bena z szerokim uśmiechem.

Całujemy się.

– Próbujesz wtopić się w tłum Austriaków? – mówię i patrzę na Manner Schnitten.

– To największe świństwo, jakie kiedykolwiek jadłem. – Ben wyrzuca niedojedzony wafelek. – A przecież zdarzyło mi się jeść psią karmę.

– Z głodu?

– Nie, jeszcze w szkole – mówi Ben. – Dla jaj.

– Kiedyś zjadłam mnóstwo jogurtu malinowego, zanim zauważyłam, że jest spleśniały.

Znów się całujemy.

– Cały dzień byłem podkręcony myślą, że znów się zobaczymy – mówi Ben i mocno chwyta mnie za pośladki.

– Nie przed kulturalną elitą Austrii – śmieję się.

– Julia? – słyszę za sobą głos.

Odwracam się i widzę Sarah z Berlitz; musiała wyjść tuż po mnie. Niech to szlag.

– Nie zamierzałam wam przeszkadzać – mówi. – Chciałam tylko sprawdzić, czy to rzeczywiście ty. Nie wiedziałam, że...

Nie kończy zdania i patrzy to na Bena, to na mnie.

– Ben – przedstawia się Ben i wyciąga dłoń. – Przepraszam, właśnie ściszałem pupcię Julii.

– Sarah – odpowiada Sarah i ignoruje wyciągniętą rękę Bena. – Chyba nie mieliśmy przyjemności się spotkać. Mieszkasz w Wiedniu?

– Taa – mówi Ben. – W krzakach w Stadtparku.

– On nie mieszka w krzakach – wyjaśniam, jakby jego słowa były żartem.

– Ależ tak – upiera się Ben.

– Czasami – mówię szybko. – Tylko czasami. Latem. Żeby sobie pobyć na świeżym powietrzu.

– Po co to robisz? – pyta Sarah.

– A dlaczego by nie? – mówi Ben i wzrusza ramionami.

– Chyba jesteś z tego dumny – mówi Sarah i naraz przypominam sobie, jaką potrafi być zdziwą.

W teatrze rozbrzmiewa dzwonek. Ludzie na schodach wyrzucają niedopałki i opróżniają kieliszki, po czym wchodzą z powrotem do środka. Wokół nas robi się spokojniej.

– A dlaczego nie miałbym być z tego dumny? – pyta Ben.

– Dziwny powód do dumy – stwierdza Sarah.

– Naprawdę? – odpowiada Ben z irytacją.

Zaczynam się obawiać, że gotów przejść do rękoczynów.

– A tak w ogóle to jak się poznaliście? – pyta Sarah.

– To długa historia. Poza tym musimy już iść – mówię. – Pa, Sarah!

Odchodzimy z Benem w kierunku Neustiftgasse, przeklinając międzynarodowy berlitzowsko-teatralny wiedeński świątek, który potrafi być jednocześnie dusząco kazirodczy i plotkarski. Wyszło szydło z worka. Sarah mieszka z Markusem, a ten jest z Ziggim, który pomaga Leonore przy rekwizytach i kostiumach. Sarah wypaple wszystko Markusowi, który z kolei powie Ziggiemu, a ten opowie Leonore, która sprzeda ten news reszcie świata. Moje krótkie, słodkie dni à la Fritzl z Benem dobiegły właśnie końca.

16

Ben prawie codziennie czeka na mnie po pracy. Ale dzięki moim drobiazgowym wskazówkom nauczył się stać trochę dalej, pod Starbucksem, chociaż po tym, jak zgolił brodę i kilka razy porządnie umył u mnie włosy, nie wygląda już jak kłoszard. Jak na radosnego dzieciaka przystało, zawsze ma ciekawy plan.

– Jedziemy na Donauinsel – mówi któregoś dnia, kiedy wcześniej kończę.

– Będziemy musieli skorzystać z metra.

Status finansowy Bena to temat, którego nigdy nie poruszamy, unikam więc sytuacji, w których pojawia się kwestia pieniędzy.

– I kupić bilet... – dodaję ostrożnie.

– Zarobiłem dziś co nieco – mówi Ben. – Przechodziłem obok sklepu, gdzie jakiś koleś zabierał się do mycia okien. Zapytałem go, czy potrzebuje pomocy, a on był wdzięczny, że go wyręczone, i zapłacił mi dwadzieścia euro. Zajęło mi to tylko kwadrans.

W drodze na tę długą, wąską wyspę na Dunaju Ben wdaje się w pogawędkę z grającym na gitarze rastafarianinem. Dyskutują na temat występów na ulicy w różnych krajach (Londyn=nie da się, Barcelona=najwięcej kasy, Amsterdam=najlepsza publiczność). Ben obiecuje, że za kilka tygodni wpadnie na imprezę rastafarianina.

– *Stay cool, man* ¹ – mówi na pożegnanie rastafarianin.

– Ty też – odpowiada Ben.

– Z każdym potrafisz znaleźć wspólny język – mówię, kiedy wychodzimy z metra. – Byłam świadkiem, jak nawiązywałeś rozmowę z co najmniej czterema obcymi osobami.

– Dla mnie to normalka – stwierdza Ben. – Nawet się nad tym nie zastanawiam. Jak inaczej miałbym poznawać nowych ludzi?

Schodzimy po schodach. Jest ciepły jesienny dzień, więc wiele osób

kieruje się w stronę wyspy albo z niej wraca. Z baru nieopodal dobiega muzyka.

– Gdyby kobieta zachowywała się w ten sposób, ludzie pomyśleliby, że albo zwariowała, albo prosi się o gwałt – mówię. – Albo jedno i drugie.

– Nieprawda – oponuje Ben.

– Niestety, tak właśnie jest.

– Nie zgadzam się z tobą – powtarza Ben. – Niby dlaczego?

– Bo... bo... – zaczynam. – Z powodów, które właśnie wymieniłam. Kobieta nie mogłaby zagaić rozmowy z nieznajomym w sposób, w jaki ty to robisz. Tobie wolno, bo jesteś facetem. Jesteś wysoki i silny.

– Bzdura. Znam wiele dziewczyn, które się tak zachowują. Jak w takim razie poznajesz nowych ludzi? Czy ty w ogóle spotykasz nowych ludzi?

– Nieustannie.

– Gdzie?

– W pracy – mówię. – I bardzo się męczę. Nowo poznani ludzie to prawdziwy koszmar.

– Wariactwo jakieś! – wykrzykuje Ben. – Z takim podejściem człowiek spotyka wciąż te same osoby.

– Może. Ale w pewnym wieku nie szuka się już przyjaciół. A jeśli ktoś myśli inaczej, to coś jest z nim nie tak.

Siadamy nad wodą niedaleko stacji metra. Wokół chłopacy z gołymi torsami. Przejeżdżają dwie osoby na rolkach. Dziewczyna rzuca do wody różową plastikową kość, po którą wskakuje jej golden retriever. Rodzice rozłożyli koc, ale dwójkę ich dzieci bardziej interesuje leżący w trawie przedmiot, który trącają patykami.

– Skoczę sobie z mostu – mówi nagle Ben.

Podrywa się i zrzuca koszulkę. Szybkim krokiem podchodzi do rozpiętego ponad rzeką mostu; pod torami metra biegnie tam chodnik dla pieszych. Patrząc na most – do wody jest jakieś piętnaście metrów. Ben przechodzi przez barierkę. Grupa młodych Turków w białych dżinsach zbiera się wokół niego; wiedzą już, co się święci. Ben macha do mnie.

– Hej! – wydziera się.

Też do niego macham, pieką mnie policzki. Ben skacze. Podciąga nogi do klatki piersiowej i obejmuje je ramionami. Wpada do wody z głuchym pluskiem, a chłopacy na moście klaszczą i gwizdzą. Podpływa do mnie czałkiem i szeroko się uśmiecha. Wychodzi z wody, otrząsając się jak pies.

– Nie bałeś się, że spadniesz na dechę? – pytam.

Ben patrzy na mnie z taką miną, jakby nigdy nie przeszło mu to przez myśl.

– Nie. Wszystko zrobiłem jak należy. Raz tylko kiedyś źle skoczyłem. Byłem wtedy pijany. Stłukłem sobie stopę.

– Może ja też powinnam skoczyć. – Spoglądam w stronę mostu.

– Nigdy bym ci na to nie pozwolił.

– Nigdy „byś mi nie pozwolił”? Jesteś moją wiktoriańską guwernantką? A niby dlaczego?

– Bo nie jesteś na to gotowa – odpowiada. – Czy raczej przygotowana.

– I tak nie chcę skakać z żadnego mostu – rzucam nieco szorstko.

Prostuję się i zwracam w jego stronę.

– Ben – zaczynam. – Lubię być zorganizowana. Lubię życie bez niespodzianek. Lubię opłacać rachunki. Uwielbiam układać puzzle. Pewnie któregoś dnia zacznę rozwiązywać krzyżówki. Potem niechybnie zacznę wyjeżdżać na targi krzyżówkowe, gdzie będę miała nadzieję spotkać innych ludzi, którzy lubią rozwiązywać krzyżówki, układać puzzle i opłacać rachunki. Powinno nas być więcej. Tego właśnie pragnę. I się nie wstydzę. Wiem, że jestem fajna. Ale nie rozumiem, dlaczego akurat ty uważasz, że akurat ja jestem fajna.

Ben patrzy na mnie.

– Bo jesteś ładna i masz ładne serce – mówi.

– A skąd ty to możesz wiedzieć? – dziwię się. – Kiedyś nie poprawiłam uczennicy, która powiedziała *vegetable* zamiast *vegetarian*, tylko dlatego że wydało mi się to zabawne. A ona wciąż pewnie opowiada wszystkim, że jest warzywem. Miły człowiek nigdy by tak nie postąpił.

– Nieprawda – mówi Ben. – Wiem, że masz dobre serce. Takie rzeczy się wie. A dlaczego ty chcesz być ze mną?

– Czy miałam wybór? – Uśmiecham się.

Ben rzuca mi nieco dziwne spojrzenie.

– Nigdy nie spotkałem kogoś takiego jak ty – mówię i wzruszam ramionami. – Do tego zawsze masz dobry humor.

– *Hell yeah!* Tak trzeba – wykrzykuje Ben i uśmiecha się. – W życiu jest tyle gówna. Należy się skupiać na pozytywach. Zawsze można znaleźć powód do radości. Nawet kiedy spałem w rowie i ssało mnie z głodu, dobry nastrój mnie nie opuszczał.

Ben kładzie się obok mnie i zamyka oczy. Przyglądam mu się i w piersiach

czuję jakieś ciepło, jakieś trzepotanie – nie miałam tak od lat. Wiem jednak, że nasz związek jest bez przyszłości. On jest dwudziestoczteroletnim włóczęgą bez wykształcenia. I bez butów. Nie chcę wchodzić w stały związek, a tym bardziej brać ślubu z kimś, kto pomaga przy przeprowadzkach albo zbiera dżdżownice i nie ma żadnych widoków na przyszłość.

– Dlaczego nie skończyłaś studiów? – pytam.

– A ma to jakieś znaczenie? – Ben robi się nieco opryskliwy.

– Nie – kłamię.

– W każdym razie dla moich starych nie miało – mówi Ben. – Według ojca „prawdziwi faceci” pracują, a nie chodzą na uniwersytet. Rodzice nigdy mi nie pomagali w lekcjach, a kiedy ich prosiłem, ojciec mruzczał tylko: „Niczego was tam nie uczą?”. Najlepszą metodą wychowawczą był według niego wiszący na ścianie pas.

– Ale może warto o tym pomyśleć – sugeruję. – O dalszej nauce. Tutaj nie trzeba za to płacić.

– Nie ma takiej możliwości – odpowiada.

Słowa Bena działają na mnie jak płachta na byka, ale wmawiam sobie, że to naprawdę nie ma żadnego znaczenia. Wkrótce on będzie kontynuował swoją włóczęgę po Europie, a ja swoje życie.

Leżymy obok siebie w milczeniu, rozkoszujemy się jesiennym słońcem i słuchamy kojącego szumu rzeki, głosów wokół nas i muzyki dobiegającej z baru – puszcza ją *What Is Love* Haddawaya. Ręka Bena znajduje moją, splatamy palce.

– Jak sądzisz, co twoi lubiący płacić rachunki ludzie robią w tej chwili? – pyta Ben.

– Wciąż wędrują przez pustynię – odpowiadam.

Kiedy się ściemnia, jedziemy metrem do mnie.

1. Ang. „Nie pękaj, stary”. [\[wróć\]](#)

Leonore umawia się ze mną na spotkanie w Café Westend na końcu Mariahilferstrasse. Kiedy docieram na miejsce, już tam na mnie czeka, co jest pierwszym sygnałem ostrzegawczym. Goście knajpy to zbieranina gorączkowo rozmawiających ze sobą młodych ludzi i zgarbionych emerytów w ślimaczym tempie rozkrajających swoje sznyce i gotowane ziemniaki. Przy jednym ze stolików siedzą trzej mężczyźni o ogorzałych twarzach, w kurtkach ze skaju. Wygląda, jakby mieli spotkanie w sprawie skradzionych audi. Gdybym nie wiedziała, że w pobliżu bez trudu można znaleźć miejsce do parkowania, zaczęłabym się zastanawiać, dlaczego Leonore wybrała takie – jak na nią – obskurne miejsce.

Gdy tylko mnie zauważa, wstaje. Witamy się cmoknięciem w policzki.

– No i co – zaczyna – przyszedł prosto z pracy?

Potakuję i odwieszam płaszcz.

– Jak było? – pyta Leonore.

– Naprawdę chcesz wiedzieć? – pytam i siadam przy stoliku.

Leonore uśmiecha się i kiwa głową. To drugi sygnał ostrzegawczy.

– Mam jednego ucznia, z którym przyjaźnię się na Facebooku i LinkedInie – zaczynam. – Dostał awans i zaktualizował swoje dane na LinkedInie. Polubiło to mnóstwo ludzi. Mój uczeń też. Ja też polubiłam informację o jego nowym stanowisku oraz to, że mój uczeń polubił swoje nowe stanowisko. Ale dzisiaj w czasie lekcji mojemu uczniowi nie spodobało się, kiedy powiedziałam, że polubiłam jego polubienie nowego stanowiska. W czasie przerwy mój uczeń odłubił swoje nowe stanowisko. – Kręcę głową. – Przyjaźń z uczniami to pole minowe. Nie należy się z nimi kumplować. Powinnam to wiedzieć. To podobnie jak z tym bożonarodzeniowym meczem piłki nożnej żołnierzy podczas pierwszej wojny światowej. W końcu i tak na powrót stali się brytyjskimi i niemieckimi żołnierzami, którzy chcieli się pozabijać. Kiedyś

miałam dwie uczennice z tej samej firmy. Nie znosiły się. Zmuszona byłam odgrywać rolę nie tylko nauczycielki, ale także mediatorki. Jeszcze wcześniej pomagałam w lekcjach pewnej piętnastolatce, która ma torebkę za dwa tysiące euro, ale wciąż nie potrafi odróżnić *could* od *would*.

Leonore w ogóle mnie nie słucha. Całą sobą wysyła sygnał, że czeka tylko na to, aż będzie mogła coś powiedzieć.

– A jak tam próby? – pytam ją.

Leonore ożywia się i podskakuje jak pajacyk.

– Ach, wczoraj aktorzy zostawili w sali prób potworny bajzel. Myślałam, że oszaleję – odpowiada. – Czy ja jestem ich służącą? A tak poza tym, czy nadal spotykasz się ze swoim bezdomnym? Sarah mi o nim powiedziała.

Nie mogę się nie uśmiechnąć.

– Leonore, to jakaś interwencja? W takim razie czy nie powinno być was więcej?

– Chcę się tylko upewnić, że wiesz, co robisz – odpowiada Leonore.

– Wiem, co robię.

– Żeby cię tylko nie wykorzystał.

– Nie wykorzysta mnie.

– Żeby cię nie zranił.

– Nie zrani mnie.

– Żeby nie skończyło się tak, że któregoś dnia wrócisz do domu, a tam nie ma ani magnetowidu, ani faceta.

– To nie rok tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty siódmy, więc nie mam magnetowidu – wyjaśniam. – I jeśli coś wyniesie, to będzie to odtwarzacz DVD.

– Julio, on jest bezdomny – mówi Leonore. – Jaka was czeka przyszłość? Czy on ma wykształcenie? Doświadczenie zawodowe? Czy on w ogóle chce pracować? Dawałaś mu pieniądze?

Po raz pierwszy nie odpowiadam, bo od jej pytań cała się spinam. Nagle mam ochotę się rozpłakać, choć tak naprawdę jestem wkurzona na Leonore.

– Chcę się tylko upewnić, że to przemyślałaś.

Staram się panować nad głosem, w przeciwnym razie zdradzi on ogarniającą mnie wściekłość i smutek.

– Miło mi, że się o mnie troszczysz, Leonore, i pragnę cię zapewnić, że wiem, co robię. To nie jest poważny związek, nie zamierzamy się pobierać. Zwłaszcza że wkrótce on i tak wyjeżdża do Berlina, a potem chyba wraca do

Kanady. A poza tym jestem dorosłą kobietą i czuję się urażona faktem, że muszę opowiadać się komuś ze swoich związków.

Prawdę mówiąc, po naszej pierwszej randce Ben nie napomynał już więcej o Berlinie i czasami mam nadzieję, że jednak zostanie w Wiedniu. Potem sama muszę sobie jednak przypominać, że to tylko krótkotrwała przygoda.

– Sarah mówiła, że zachowywał się agresywnie.

– Co takiego? – wybucham. – Ben nie był agresywny.

– Uznała w każdym razie, że zachowywał się bardzo napastliwie, kiedy zadała mu kilka prostych pytań.

– Sarah to idiotka – stwierdzam. – Jeśli ktoś był napastliwy, to ona.

– Zależy mi, abyś była szczęśliwa i zakochana – mówi Leonore. – Ale to chyba nieodpowiedni facet.

Moje ciało wciąż jest całe zeszywniałe. Nie patrzę Leonore w oczy. Przypomina mi się, jak opowiadała, że gdy tylko porzuciła karierę konsultantki w międzynarodowej firmie, życie seksualne jej i beżowego męża rozkwitło. To chyba jedna z najbardziej przygnębiających rzeczy, jakie kiedykolwiek słyszałam.

– Nie musimy o tym teraz rozmawiać – kończy Leonore. – Pomyśl jednak o tym, co ci powiedziałam. Na świecie jest pełno żądnych przygód facetów.

– Żądnych przygód? – Patrzę na nią pytająco.

– No tak. Rozumiem, że tego właśnie szukasz. Ale on nie jest jedyny.

– Nie szukam żądnych przygód facetów – mówię.

– Okej, koniec tematu – ucina.

Oddycham z ulgą, kiedy zaczynamy rozmawiać o wspólnym znajomym, który przenosi się do Dubaju, o planowanym przez Leonore remoncie kuchni, o jej nowej obsesji na punkcie *raw food* i jeszcze trochę o Leonore. Nagle Leonore macha do kogoś.

– Gernot! – woła.

W naszą stronę idzie ubrany na ciemno chłopak o melancholijnym spojrzeniu. Natychmiast domyślam się, co kombinuje Leonore, i zastanawiam się, jakie jest prawdopodobieństwo, że ją unicestwię, oblewając ją moją wiener melange.

– Chodź, przysiądź się do nas. – Leonore wygląda na uszczęśliwioną. – To moja koleżanka Julia.

Podajemy sobie z Gernotem ręce. Jest niższy ode mnie i wygląda na góra dwadzieścia dwa lata.

– Jak się masz? – pyta Leonore.

– *Not so fine* ¹ – odpowiada Gernot i kręci głową. – Znów bolą mnie oczy. Podchodzi kelner i przyjmuje od niego zamówienie.

– Powinienem posprzątać mieszkanie – kontynuuje Gernot. – Ale... to niemożliwe.

Powód, dla którego Gernot nie jest w stanie ogarnąć mieszkania, pozostaje tajemnicą.

– Kilka lat temu Gernot pomagał mi trochę przy tworzeniu mojej strony internetowej – wyjaśnia Leonore. – Tak się poznaliśmy.

– Świetnie – mówię.

Gernot gapi się pośepnie przed siebie.

– Pracuje w branży IT – ciągnie Leonore.

– Świetnie.

Nagle Leonore spogląda na swój telefon komórkowy.

– O nie! – wykrzykuje. – Muszę uciekać. Ale wy zostańcie. Ja stawiam!

Zanim któreś z nas zdąży cokolwiek powiedzieć, Leonore już nie ma. Pół minuty później dostaję od niej SMS-a: *Gernot prawie zdobył Grossglockner. Żądny przygód!!!*

Odkładam telefon i próbuję wymyślić jakiś temat do rozmowy z Gernotem, który prawie zdobył Grossglockner. Najchętniej poszłabym sobie do domu, ale Gernot wygląda tak, jakby niósł na swoich barkach wszystkie smutki tego świata. Nie chcę mu dokładać zmartwień.

– Hmm... Gernot – zaczynam. – Co lubisz robić w wolnym czasie?

Gernot się zastanawia.

– Przebywać na świeżym powietrzu, blisko natury – odpowiada.

Silę się na kolejne pytanie.

– A co lubisz robić na łonie natury?

– No, być na jej łonie.

Przez chwilę milczymy.

– A dokąd jedziesz, kiedy chcesz pobyc na świeżym powietrzu? – pytam w końcu.

– Pod Wiedeń.

– A... lubisz gotować?

– Czasami.

– Całym zdaniem – napominam go.

– Co takiego?

Czuję, że policzki robią mi się coraz cieplejsze.

– Chodzi mi o to, że lepiej odpowiadać całym zdaniem – wyjaśniam. – *Czasami lubię gotować*. Dzięki temu szybciej i skuteczniej można się nauczyć języka.

Gernot nic nie mówi.

– Jestem nauczycielką angielskiego w Berlitzu – mówię przeprasząco. – Najwyraźniej mam jakieś zboczenie zawodowe.

Naraz Gernot rozpromienia się.

– W takim razie czy możesz mi wyjaśnić, dlaczego w amerykańskich filmach mówią zawsze *What's up?*² – pyta. – O co chodzi z tym *up*? Co jest u góry? Dlaczego nie na dole?

Chrząkam, po czym odpowiadam na jego pytanie. Używam najprostszyc słów i mówię bardzo wyraźnie.

– Niektórzy twierdzą, że to skrót od *What's up with you*³, a inni, że od *What's the up-date*⁴ – wyjaśniam. – Ale to głupi slangowy zwrot i nie powinien być używany, bo trudno go zrozumieć.

Gernot jest chyba rozczarowany.

– A wiedziałeś, że prawidłową odpowiedzią na pytanie *How do you do?* jest *How do you do?* – próbuję go pocieszyć. – Odpowiada się pytaniem na pytanie. Zabawne, co? Oczywiście niewiele osób stosuje się do tej zasady. Obecnie. Może tylko w *Downtown Abbey*.

– Nigdy nie widziałem tego serialu – stwierdza Gernot. – Nie mój klimat.

– Ja też nie. Ale wyobrażam sobie, że tak tam mówią.

Znów siedzimy w milczeniu, bo oboje zdaliśmy sobie sprawę z tego, że nie mamy pojęcia, dlaczego właściwie tu siedzimy. Zerkam na facetów w kurtkach ze skaju i stwierdzam w duchu, że wolałabym siedzieć z nimi i debatować, czy możemy zaufać Aloszy. W końcu wstaję.

– Miło było cię poznać, Gernot, ale muszę już iść.

– Okej – odpowiada Gernot i brzmi jak Osiołek.

Kiedy wychodzę z Café Westend i zdążam do domu, jestem tak wściekła na Leonore, że cała się trzęsę. Mój związek z Benem wyraźnie jej przeszkadza. Próbuję zrozumieć, dlaczego jej reakcja mnie irytuje, a zarazem motywuje. Dochodzę do wniosku, że właściwie podoba mi się, iż widzi mnie w zupełnie nowym świetle.

Ben wprowadza się do mnie wraz ze swoją reklamówką. Nie ogłaszamy tego wszem i wobec. Robię mu miejsce w jednej z szuflad w komodzie i wyszukuję dla niego nieużywaną szczoteczkę do zębów i grzebień. Ben udaje, że lubi Optimusa, a Optimus obsikuje nowe buty Bena.

1. Ang. „Nie za dobrze”. [\[wróć\]](#)
2. Ang. „Co tam?”. [\[wróć\]](#)
3. Ang. „Co tam u ciebie”. [\[wróć\]](#)
4. Ang. „Co tam nowego”. [\[wróć\]](#)

Ku mojej radości Ben codziennie sprząta mieszkanie i ostrożnie obchodzi się z moimi rzeczami. Poza zaalaminowanym zdjęciem Arnolda Schwarzeneggera w roli Conana Barbarzyńcy, które pewnego dnia pojawia się na drzwiach lodówki, wszystko pozostaje na swoim miejscu. Okazuje się też, że Ben świetnie gotuje. Ponoć już jako sześciolatek pasjami oglądał programy kulinarne, a potem próbował naśladować telewizyjnych kucharzy, przybierając wszystko sałatą, co w jego przypadku oznaczało cuchnącą psim moczem trawę z chodnika przy ich domu w Burnaby.

W drodze powrotnej po moich zajęciach w Berlitzu robimy zakupy w Billi. Potem zazwyczaj siedzę w kuchni z lampką wina i przyglądam się, jak Ben sieka warzywa, doprawia dochodzące w wielkim garze chili con carne albo sos pomidorowy. Jest przerażony, kiedy odkrywa, że kroję wszystko małym, tępym nożykiem, więc wspólnie kupujemy porządny nóż kuchenny.

– Teraz, kiedy już nie wyglądam jak yeti i znów noszę buty, zamierzam poszukać pracy – mówi Ben któregoś dnia podczas przyrządzania jakiegoś dania. Na zewnątrz panują egipskie ciemności. – Poza tym niedługo dostanę kręćka od snucia się po twoim mieszkaniu. No i nigdy nie żyłem na niczyj koszt.

– Kanadyjczycy mogą chyba legalnie podejmować pracę w Austrii – mówię.

W tajemnicy posprawdzałam to i owo w Internecie. Ben kręci głową.

– Eee, trudno znaleźć jakąś normalną robotę – stwierdza. – Wolę coś na czarno. Słyszałem, że w każdy poniedziałek o siódmej rano spod polskiego kościoła w trzeciej dzielnicy zgarniają ludzi i zawożą na którąś z budów pod miastem.

– Aha. – Usiłuję ukryć rozczarowanie. Nie o takiej pracy myślałam. – A rozważasz w ogóle kontynuację nauki? – pytam. – Mógłbyś to przecież

łączyć z pracą. Interesuje cię coś konkretnego?

Ben milczy.

– Może coś związanego z motoryzacją – mówi w końcu. – Zawsze pasjonowały mnie maszyny, szybkie samochody i tym podobne.

– No widzisz. Może na Uniwersytecie Wiedeńskim są jakieś zajęcia z szybkich samochodów?

– Nie, nie, ja nie z tych, co zakuwają – mówi Ben.

– Może byś to jednak rozważył? – namawiam go.

Ben otwiera kolejne piwo. Staram się nie myśleć, ile ich dziś wypił.
Dziewięć.

– Co jadłeś, kiedy byłeś bezdomny? – pytam.

– Same pyszności – mówi Ben. – Jak już kraść, to smakołyki.

– Nigdy cię nie przyskrzynili?

Ben wybucha śmiechem. Kręci głową, krojąc seler.

– Raz, w Amsterdamie. Popełniłem ten błąd, że ukryłem pod kurtką mrożonego kurczaka. Dwie doby spędziłem w holenderskim areszcie. Ale byli mili. Przydzielali dziesięć papierosów dziennie, można było oglądać telewizję i grać w Tetris, a na obiad serwowali chleb ze słodką posypką.

Zafascynowana słucham opowieści Bena. O kierowcy ciężarówki w Hiszpanii, który zaprosił jego i The Englisha do swojego domu, a potem chciał, żeby na jego oczach uprawiali seks z grubą żoną kierowcy. O tym, jak w Genewie jakiś szalony Nigeryjczyk zażył LSD i chciał zaatakować siekierą policjanta, ale na szczęście Ben go powstrzymał. Jak kiedyś obudził się w środku nocy, bo dobierała się do niego stara bezzębna baba. Albo jak na ulicy w Lyonie znaleźli z The Englishem pięćdziesiąt euro, poszli do chińskiej restauracji ze szwedzkim bufetem, z której ich wywalili po tym, jak wszystko wyzarli. O świecie, w którym ludzie noszą ksywki Swiffer, Kobra i The English. Świecie, który istnieje równoległe do mojego, ale o którym nie miałam pojęcia. Świecie daleko od mojej ciepłej kuchni, w której zaparowały okna i gdzie rozchodzi się zapach smażonej cebuli, bazylii i czosnku.

Kiedy zauważam, że Ben nic nie czyta, postanawiam przekonać go do wspaniałego świata literatury. W tajemnicy kupuję książki, które według mnie mogą mu się spodobać i które nie będą stanowiły zbyt dużego wyzwania. Zaczynam od wczesnego Stephen Kinga i Michaela Crichtona. Potem udaję, że znalazłam je przypadkowo na półce, i niby od niechcenia sugeruję, że

mogłyby mu się spodobać. Kiedy zaczynają go wciągać, czuję się jak dumna bibliotekarka. Pierwszą książką, którą czyta od deski do deski, jest *Park jurajski* Crichtona. A ponieważ nie widział zbyt wielu filmowych klasyków, w otoczeniu jesiennych ciemności oglądamy *Człowieka, który chciał być królem*, *Fitzcarraldo* i *Nie oglądaj się teraz*. Pokazuję mu Wiedeń, którego nie znał, na przykład nieregularny w formie, ozdobiony drewnem Hundertwasserhaus, podziemia katedry św. Szczepana z ponad dziesięcioma tysiącami czaszek i dobrze skrywane mieszkanie Hitlera w szóstej dzielnicy. Prowadzę go do miejsc, w których podczas drugiej wojny światowej członkowie ruchu oporu zostawiali sobie wiadomości, „dom bez brwi” przy Michaelerplatzu i miejsce, gdzie tuż po swoim wieczorku poetyckim zmarł W.H. Auden. Ponieważ Ben odmawia przyjmowania ode mnie pieniędzy, chodzimy po ciucholandach i próbujemy znaleźć jakieś pasujące na niego rzeczy w dobrym stanie, na które sam może sobie pozwolić. Jego starym ubraniom urządzamy pewnego dnia pogrzeb i palimy je na Donauinsel. A gdy płomienie pochłaniają jego dżinsy, koszulki i stare bokserki, dukamy wymyślone cytaty biblijne. Niedaleko jakaś muzułmańska rodzina grilluje barana i przygląda się nam z zainteresowaniem. Udaje mi się to, co nigdy nie udało mi się z Matthiasem: ja jestem dla Bena profesorem Higginsem, a on moją Elizą Doolittle.

19

Chciałbym ci pokazać fragment mojego świata – któregoś dnia ni stąd, ni zowąd proponuje Ben.

– Nie musisz.

– Ale mi naprawdę na tym zależy.

Próbuję nie okazywać paniki.

– Naprawdę, Ben, nie musisz mi pokazywać swojego świata. Wolę, jak mi o nim opowiadasz. Z natury nie jestem amatorką przygód. Z jakiegoś powodu stalkuję ludzi na Facebooku, ale sama nic o sobie nie piszę.

– Facebook – prycha Ben. – Facebook jest dla idiotów. W każdym razie wiele by to dla mnie znaczyło, gdybyś poznała moich znajomych. Możemy pójść do nich teraz. Zobaczymy, co u nich słychać.

– W porządku – godzę się, a w duchu marzę, żebyśmy już byli w drodze powrotnej.

Jedziemy do dziesiątej dzielnicy. Niektóre jej ulice wyglądają tak, jakby od drugiej wojny światowej nic się tu nie zmieniło. Domy pokryte są brązową warstwą brudu, a gdzieś na rogu widać spelunkę – o wypisanej frakturą nazwie *Zur Kneipe* – w której we wszystkich oknach zaciągnięto kotary. Brakuje tylko zgrai małych chłopców w krótkich spodenkach bawiących się zardzewiałym kołem od roweru i wycia syren przeciwlotniczych.

– To ten dom, który mieliście zająć z punkami? – pytam.

Ben kręci głową.

– Nie, z tamtego nas wywalili – wyjaśnia. – W Amsterdamie sto razy łatwiej o squat. Ten budynek należy do wujasa Truskawy. Mogą tu mieszkać, dopóki nie zostanie wyburzony. To tu przeprowadziłem się z krzaków. No a potem wprowadziłem się do ciebie.

– Truskawa? – dziwię się. – Istnieje punk o ksywce Truskawa?

Ku mojemu zaskoczeniu Bena to nie bawi.

– Dlaczego nosi taki przydomek? – drązę z lekkim niepokojem. – Nie zrobił chyba niczego strasznego – różowoczerwonego albo słodkiego – żeby zasłużyć na to ironiczne przezwisko?

– Zdaję się, że po prostu lubi truskawki – odpowiada Ben. – Chyba nie ma w tym nic dziwnego?

Wchodzimy przez wielkie, metalowe, skrzypiące drzwi. W korytarzu stoją puste wiadra, a prowadzące na górę schody ogrodzono taśmą zabezpieczającą. Ben otwiera drzwi po lewej stronie. Kumple witają go serdecznie. Biorę głęboki oddech i idę za nim. W mieszkaniu tapety są ciemne, podłoga brudna, a zapach podobny do tego, który otaczał Bena na naszej pierwszej randce – może tylko słabszy. W środku jest równie zimno co na zewnątrz i domyślam się, że nie ma ogrzewania.

Zostaję przedstawiona trzem punkom: Kobra, Vichorowi i Truskawie. Mimo że w Austrii podaje się dłoń wszystkiemu, co się rusza, oni tylko kiwają głowami w moją stronę. Odpowiadam im tym samym. Ku mojemu zaskoczeniu żaden z nich nie ma neonowego zielonego irokeza ani fioletowych włosów. Kobra ufarbował się na czarno, a Vichor i Truskawa mają ogolone głowy. Wszyscy trzej ubrani są w bluzy z kapturem i dzinsy z poprzecznymi dziurami, co chyba stanowi stały element ubioru anarchistów. Zarówno Kobra, jak i Vichor są chyba starsi, niż według mnie powinny być punki.

– Gdzie się podziała twoja broda? – pyta ten, na którego wołają Truskawa.

– Nie chciałem już straszyć małych dzieci – odpowiada Ben.

– Mieszkasz teraz w Schönbrunnie albo w Belwederze? – pyta Kobra.

– Spieprzaj – rzuca ze śmiechem Ben.

– Stary, super cię znowu widzieć – mówi Vichor.

– Was też – mówi Ben.

Kobra to chyba cichy, ale niekwestionowany lider, zaraz za nim plasuje się Vichor. Z kolei Truskawa, nerwowy i rozdygotany, zachowuje się jak przyzwyczajony do razów pies, który przesadnie się cieszy, ilekroć jego pan go pogłaszcze. Kobra wali Bena w ramię.

– Słuchaj, spadamy na lotnisko – mówi. – Chcesz się z nami zabrać?

Widzę, jak Bena kusi, aby odpowiedzieć twierdząco, ale już wcześniej obiecał mi, że po spotkaniu z jego kumplami pójdziemy na zakupy. Nagle stałam się po prostu dziewczyną, która stoi na drodze tymczasowemu powrotowi Bena do jego życia singla. Aż mi skóra ścierpła. Już mam

powiedzieć Benowi, że oczywiście może iść. Chcę pokazać, jaka to jestem wyrozumiała i miła. Jednocześnie jedyne, o czym marzę, to zabrać go stąd od tych ludzi. Nie ruszam się jednak z miejsca, uśmiecham się i udaję, że mnie to wszystko interesuje.

– Niestety – odpowiada Ben. – Może innym razem.

– O co chodzi z tym lotniskiem? – pytam cicho, kiedy Kobra znika w drugim pokoju.

– On z tego żyje – wyjaśnia Ben. – Co drugi dzień przegląda tam kubły na śmieci.

– Po co?

– Mnóstwo ludzi przed odprawą wyrzuca lekarstwa. Różne rzeczy, za które mogliby zostać przyskrzynieni albo które zapomnieli zostawić w domu. Nie wyobrażasz sobie, ile można tam znaleźć woreczków z pigułkami, trawką i haszyszem. Nawet z kokainą. Zdarzają się i telefony komórkowe. Czasami robiliśmy to razem.

Ben wskazuje na jedno z pomieszczeń.

– Tu była moja sypialnia – mówi.

Zaglądam do pokoju, w którym brakuje połowy desek w podłodze. Jest tam tylko jedno krzesło i stos starych gazet.

– Mój miękki materac musi być dla ciebie torturą – mówię. – To tu spałeś na brezencie i kartonie?

– Nie, w krzakach w Stadtparku. – Ton, jakim to mówi, sugeruje, że powinnam się lepiej orientować w jego wcześniejszych miejscach pobytu. Zauważam różnicę w jego zachowaniu. Będąc znów ze starymi znajomkami, oddalił się ode mnie, a zbliżył do nich.

Siadamy na kanapie w korytarzu, tu chyba mieści się ich salon. Nie ma okien, otacza nas za to pięcioro drzwi. Kanapa ma kolor gulaszu i jest pokryta plamami, których postanawiam nie zauważać. Na suficie pali się goła żarówka. Staram się sprawiać wrażenie zrelaksowanej, tak jakbym całymi dniami okupowała wysiedziane i cuchnące sofy. Wokół panuje taki brud, że chce mi się płakać.

– Może trochę zupy? – pyta Truskawa.

– Chętnie.

Truskawa znika w małej kuchni.

– Zupy to jego specjalność – mówi Ben, po czym pochyła się do mnie i szepcze: – Bardzo często rzyga.

– Czy te dwie rzeczy są ze sobą powiązane? – szepczę w odpowiedzi.

Ben wzrusza ramionami.

– Dlaczego tak często wymiotuje?

– Nie mam pojęcia. Tak już ma.

Po chwili wraca Truskawa z trzema kubkami bladoczerwonej zupy. Mimo że jest cienka i ma dziwny metaliczny posmak, wyrażam swoje uznanie. Vichor zajmuje miejsce pod ścianą naprzeciwko nas, a Kobra siada po turecku pośrodku pokoju i zaczyna skręcać jointa.

– Wybierasz się do domu? – Ben pyta Vichora.

– Ni chuja. Pieprzone Austriaki przestały deportować ludzi. Kiedyś wystarczyło tylko rzucić kamieniem w tramwaj i fiuty od razu wysyłały mnie do Polski. Mogłem sobie uprać ciuchy i nażreć się u mamuśki. Ale teraz już się nie da i mój bilet do domu poszedł się gonić. Przecież mnie, kurde, nie stać na podróż. Cholerne palanty.

Mimo wszystkich tych przekleństw Vichor cały czas się uśmiecha. Siedzący obok mnie Ben rechocze.

– Popatrz na to – mówi Vichor i gorączkowo podwija nogawkę.

– Nie pokazuj mi tego gówna – mruczy Kobra i zaciąga się jointem.

Pochylamy się, żeby zobaczyć, co też chce nam zaprezentować. Pod kolanem Vichor ma długą na co najmniej piętnaście centymetrów ranę. Pokrywa ją zaschnięta krew zmieszana z ropą, a skóra wokół jest wściekle czerwona. Vichor patrzy na swoją goleń jak ojciec na nowo narodzonego bobasa.

– Cholera, co ci się stało? – pyta Ben.

Kobra zdejmuje z języka odrobinę tytoniu.

– Pobiłem się z jednym kutasem – mówi Vichor i wzrusza ramionami. –

Rana nie chciała się zagoić, a ja nie jestem ubezpieczony. Na szczęście za rogiem jest weterynarz. Piszą, że przyjmują „małe i duże zwierzęta”. No a ja przecież jestem, kurde, w końcu całkiem sporym zwierzem, więc poszedłem do nich. Koleś, całkiem sympatyczny jak na Austriaka, powiedział, że mógłby stracić uprawnienia, gdyby się mną zajął. Ale że jego żona to też lekarz, tyle że dla ludzi, poprosił ją, aby wypisała mi antybiotyk i oczyściła ranę.

Vichor snuje swoją opowieść, a Ben znów pęka ze śmiechu. Ja też silę się na chichot. W końcu Vichor opuszcza nogawkę.

Pół godziny później jesteśmy w drodze do siódmej dzielnicy. Kobra i Vichor wybierają się na lotnisko, a Truskawa zamierza uciąć sobie drzemkę.

Jestem dziwnie spięta. Mimo że przez cały czas Ben i jego koledzy pękali ze śmiechu, miałam wrażenie, że mieszkanie spowija niewidzialna mgiełka agresji i zgorzknienia. Poza tym strasznie przemarzłam.

– Cholera, superkolesie – mówi Ben.

Kiwam głową i uśmiecham się. Ben patrzy na mnie.

– Co tam? – pyta. – Przecież widzę, że coś jest nie tak. Masz tę swoją minę.

Nie chcę psuć nastroju, więc próbuję zachować się jak najbardziej dyplomatycznie.

– Wydawali się bardzo mili – zaczynam. – Tyle tylko, że zachowywali się, jakby mnie tam nie było.

– W jakim sensie?

– Ben, czy ty zauważyłeś, że oni nie zadali mi ani jednego pytania? Chyba nawet nie zauważyli mojej obecności. Byłam dla nich niewidocznym niepunkiem. Niektórzy uznaliby to za... nieuprzejmość.

Ben jest szczerze zaskoczony tym, co właśnie powiedziałam.

– Truskawa dał ci zupę – mówi w końcu.

– Zachowałby się chyba dość nietaktownie, gdyby dał zupę tobie, a mnie pominął – stwierdzam. – Rozumiem jednak, że są nieco podejrzliwi wobec osób, które nie zaliczają się do grona punków. I mają pracę oraz piorą swoje ubrania. Pytanie, czy Vichorowi podobała się wystawa prac Kokoschki, będzie musiało poczekać do następnego spotkania.

– Przecież on za cholere nie pójdzie na wystawę Kokoschki – rzuca poirytowany Ben.

– *Wiem* – odpowiadam, powstrzymując wściekłość. – To był żart. – Uśmiecham się, ale głos mam poważny. – No więc, Vichor, czy zgadzasz się, że według Kokoschki ucieczka od rzeczywistości nie jest drogą do wolności?

– Udaję Vichora: – Cholera, ten fiut Wittgenstein miał rację, twierdząc, że Kokoschka odsłania szkielet duchowy człowieka. Weźmy na przykład takiego Truskawę. Gdyby Kokoschka namalował Truskawę, przełożyłby jego życie duchowe na wygiętą postać na tle koloru zielonkawych rzygowin. A teraz, kurde, wybaczcie, ale muszę iść porzucać sobie kamieniami w jakieś babska.

– Przestań.

– Przepraszam. Ale naprawdę mnie ignorowali.

Wsiadamy do tramwaju i wjeżdżamy w ciemne tunele przy Matzleinsdorfer Platz.

– Nie zadawałaś im żadnych pytań – mówi naraz Ben.

– Ależ tak – kłamię. – Ben, sam przyznaj: są dziwni i nieuprzejmi.

– Nic o tych ludziach nie wiesz. Kobra *pięć lat* siedział w więzieniu – mówi Ben. – Oskarżono go o to, że rzucił w policjanta telewizorem. Ale on tego nie zrobił.

– Tak mówią wszyscy rzucający telewizorami.

– On tego nie zrobił – powtarza Ben. – A policjant jest teraz sparaliżowany od szyi w dół. Ale tacy jak Kobra nie syją. To porządni kolesie. Według ciebie jeśli ktoś nie ma wykształcenia, to jest idiotą.

– Nieprawda – oponuję. – Ale według mnie ludzie są szczęśliwsi, mogąc sobie wybrać zawód. A to właśnie daje wykształcenie. Pojawia się wtedy więcej możliwości. Na świecie jest raczej niewielu zbieraczy dżdżownic, którzy tak uwielbiają swoją robotę, że nie chcą przejść na emeryturę. Czego i tak nie mogliby zrobić, bo całe życie przepracowali na czarno.

Wjeżdżamy na stację Kliebergasse, obwieszoną plakatami reklamującymi inscenizacje oper Verdiego, przedstawienia baletowe i wystawę w Albertinie poświęconą klejnotom rosyjskiej rodziny carskiej. Pręgi brudu pokrywają plakaty, pod którymi jest tak wiele warstw, że rogi zaczęły się podwijać.

– Sądysz, że *ja* jestem idiotą? – pyta Ben.

– Oczywiście, że nie. Ale według mnie ludzie, którzy obrzucają tramwaje kamieniami, to idioci.

– Tak do twojej wiadomości, to całe życie pracowałem – mówi Ben. – Podróżowałem tylko przez ostatni rok. A kiedy już pracuję, to zawsze jestem dobry w tym, co robię.

– Niczego ci nie zarzucam. Wyluzuj.

Ben mruczy coś w odpowiedzi i już do końca dnia ma zły humor. Nie wiem, czy jego irytacja jest skierowana przeciwko mnie czy przeciwko punkom, ale to pierwszy i ostatni raz, kiedy zaproponował, byśmy ich odwiedzili.

W środę po południu mam lekcję z moją ulubioną uczennicą. Edeltraud jest po siedemdziesiątce. Postanowiła odświeżyć sobie znajomość angielskiego. Przed czterema laty zmarł jej mąż. Wtedy też zdiagnozowano u niej raka odbytnicy. Od czasu, kiedy wyzdrowiała, uczyła już bezdomne dzieci w Katmandu, opanowała grę na harfie, wytatuowała sobie na ramieniu niebieskiego motylka, a niedługo rozpoczyna naukę fińskiego.

– Jakie są twoje domowe sposoby na przeziębienie? – pytam i próbuję ukryć ziewnięcie.

Edeltraud jest na poziomie czwartym i dotarliśmy właśnie do rozdziału siódmego w podręczniku Berlitz: *Domowe sposoby na choroby*. Na Mariahilferstrasse wyje syrena policyjna.

– Osobiście preferuję dużą szklankę glenmorangie. – Edeltraud wzdycha. – Musimy przerabiać ten rozdział?

– Oczywiście, że nie – mówię i od razu się ozywiam. – Chcesz, żebyśmy się skupiły na jakimś konkretnym temacie?

Do końca lekcji oraz do mojego spotkania z Benem pozostało tylko dziesięć minut i chętnie odpuszczę sobie specjalistyczne porady dotyczące czosnku, rosołu i parowej kąpieli, od których roi się w rozdziale siódmym. Edeltraud wyjmuję z torby gazetę.

– W „New Scientist” znalazłam artykuł o ciekłym metanie na jednym z księżyców Saturna – mówi. – Nie znam wszystkich słów, ale może mogłabyś mi pomóc?

Na zewnątrz słychać kolejną syrenę. A po chwili jeszcze jedną.

– Oczywiście – odpowiadam.

Rozlega się delikatne pukanie do drzwi.

– Tak? – mówię.

Kierowniczka administracji Berlitz Dagmar wsuwa głowę do środka.

W pokoju nauczycielskim krąży plotka, że Dagmar podniecają materiały biurowe, a Mike utrzymuje, że kiedyś widział ją, jak w bardzo niestosowny sposób gładziła czerwony długopis marki Bic.

– Chciałam tylko poinformować, że wszystko w porządku – mówi. – Proszę pozostać na miejscach i kontynuować lekcję.

– Co się stało? – pytam.

– Napad.

– O nie, mam nadzieję, że nie wzięli podręczników do gramatyki? – wykrzykuję.

Dagmar patrzy na mnie pustym wzrokiem. W pokoju nauczycielskim mówią też, że w wiedeńskim szpitalu nasza administratorka poddała się długiej i skomplikowanej operacji usunięcia poczucia humoru.

– Nie tutaj – wyjaśnia. – Po drugiej stronie ulicy. Ale bez obaw. Nie przerywajcie panie lekcji. Proszę jednak nie podchodzić do okien. Niestety, musimy pozostać w budynku, póki sprawa się nie wyjaśni.

– W porządku.

Gdy tylko Dagmar zamyka za sobą drzwi, rzucamy się z Edeltraud do okna. Mariahilferstrasse jest opustoszała, poza pięcioma radiowozami stojącymi pod budynkiem, gdzie na czwartym piętrze mieszczą się lokale Berlitz. Dwudziestu ubranych na czarno mężczyzn z białym napisem COBRA na plecach okrąża Die Erste Bank po drugiej stronie ulicy. Ten sam, w którym wypełniałam kiedyś druczek do wypłaty, aby się uspokoić.

– Ciekawe, ilu jest bandytów – zastanawiam się.

Bezskutecznie staramy się coś wypatrzeć. Ubrani na czarno funkcjonariusze formują półokrąg. W głębi ulicy policjanci odganiają ciekawskich gapiów. Niektórzy próbują sfilmować tę dramatyczną scenę za pomocą telefonów komórkowych.

– Amatorzy – stwierdza Edeltraud.

– Dlaczego?

– Wszyscy wiedzą, że na bank powinno się napadać w poniedziałek rano – odpowiada Edeltraud. – Nikt się wtedy tego nie spodziewa. Austriacy są słabo rozgarnięci.

– Nieprawda. Uwielbiam Austriaków – mówię i dalej przyglądamy się wydarzeniom na ulicy. – Jasne, potrafią być aroganccy i nieprzyjemni, ale też umieją cieszyć się życiem. Lampka dobrego winka, krótszy dzień pracy w piątki, opera, teatry, dobre wypieki, jarmarki świąteczne, jogurt ryżowy

z cynamonem firmy Müller, brodate uczestniczki Eurowizji, piękna natura, podwiedeńskie winnice, lodziarnia w Tuchlauben. No i panuje tu pewna schyłkowa atmosfera, jakbyśmy mieli żyć wiecznie albo jutro umrzeć. Nie chciałabym mieszkać nigdzie indziej.

– Austriacy mają gdzieś resztę świata – podsumowuje ponuro Edeltraud.

Obie podskakujemy, kiedy rozbrzmiewa dzwonek sygnalizujący koniec lekcji. Przypominam sobie, że mam się spotkać z Benem. Co jest chwilowo niemożliwe, ponieważ nie wolno nam opuszczać budynku.

– Czy ktoś cię kiedykolwiek obrabował? – pytam Edeltraud.

– W Brazylii – unosi palce. – Trzykrotnie. Raz w restauracji, raz, kiedy pływałam w lagunie z grupą innych turystów, a za trzecim razem policja zatrzymała taksówkę, którą jechałam.

– Policja?

Edeltraud potwierdza.

– Okradli mnie policjanci. A ciebie ktoś obrabował?

– Tak, lodziarnia przy Schwedenplatzu – odpowiadam. – Zapłaciłam za trzy gałki, a dostałam dwie. Nie dali mi truskawkowej. Bandytyzm.

Nagle z banku dobiega huk wystrzałów. Policjanci natychmiast kucają, a połowa z nich przywiera do ścian okolicznych budynków. Jeden z funkcjonariuszy macha w stronę budynku, w którym się znajdujemy, byśmy odeszli od okien. Pojawia się karetka i kolejne dwa radiowozy. Ci w innych salach też zignorowali polecenie Dagmar i policjantów.

– Julia! – rozlega się nagle.

Edeltraud patrzy na mnie, ale ja nie jestem pewna, czy dobrze słyszałam.

– Julia! – słychać znowu.

– Tutaj! – odkrzykuję.

Otwierają się drzwi i do środka wchodzi Ben. Robi trzy duże kroki i już jest przy mnie. Całuje mnie długo i przytula.

– Jesteś cała i zdrowa! – wykrzykuje z ulgą.

– No jasne.

Ben potrząsa głową. Czoło ma całe spocone.

– Nie miałem o niczym pojęcia – mówi. – Szedłem akurat Mariahilferstrasse, kiedy jakiś ubrany na czarno facet z karabinem maszynowym wrzasnął do mnie, żebym się zatrzymał. Pod Berlitzem stały wozy policyjne i przestraszyłem się, że coś się stało.

– Na przykład? – mówię z uśmiechem. – Że któremuś uczniowi odbiło?

– Kto wie? Może wkurzył się z powodu czasownika albo przecinka. Czy czym tam wy się tutaj zajmujecie. Cieszę się, że nic ci nie jest. Gdyby coś ci się stało, rozwaliłbym im łby.

– Po drugiej stronie ulicy napadli na bank.

Wskazuję na gmach naprzeciwko. Ben wygląda przez okno.

– Ekstra – mówi. – Mam nadzieję, że wygrają rabusie.

Uświadamiam sobie, że obok stoi Edeltraud i gapi się na Bena.

– Edeltraud, to Ben – mówię.

– Cześć – mówi Ben. Podają sobie ręce.

Edeltraud kiwa głową w stronę ulicy.

– Jak pan się dostał do budynku? – pyta.

– Wszedłem od podwórza, a potem wspiąłem się po rynnie – wyjaśnia Ben.

– Przez chwilę sądziłem, że rynna nie wytrzyma, ale ostatecznie wszystko dobrze się skończyło. Jakaś miła kobieta na drugim piętrze wpuściła mnie, kiedy zapukałem w okno. A potem przybiegłem prosto tutaj.

– Mój ty bohaterze – mówię.

Dagmar ponownie zagląda do naszej sali. Najpierw jest trochę zaskoczona, widząc stojącego obok nas kompletnie obcego faceta. Po chwili jej twarz przybiera minę osoby, którą ona sama określiłaby pewnie jako „skuteczną, acz ugodową”.

– Zamykamy szkołę. To może potrwać kilka godzin, więc ze względów bezpieczeństwa odwołujemy zajęcia. Wyjdziemy tylnymi drzwiami – obwieszcza i wychodzi z sali.

– To jak odwołanie lekcji, kiedy pada śnieg – radośnie komentuje Edeltraud.

– Ja akurat byłam jednym z tych nielicznych dzieci, które uwielbiały szkołę – mówię.

– Tylne wyjście? – dziwi się Ben.

– Prowadzi do równoległej ulicy – wyjaśniam. – Ale o wiele bardziej podoba mi się twoja trasa po rynnie i przez prywatne mieszkania, Spidermanie.

Ben jest nieco skonsternowany, ale po chwili klaszcze w dłonie.

– No to cię przynajmniej wyniosę – mówi.

Kręcę głową.

– Wolę iść sama – oświadczam. – Ale dzięki.

– Mnie możesz wynieść – proponuje Edeltraud.

Ben porywa Edeltraud w ramiona, na co ona reaguje radosnym piskiem.

– *Spiderman, Spiderman, does whatever a spider can...*¹ – nuci Ben i wypada z sali z Edeltraud na rękach.

Z uśmiechem zgarniam książki do torby.

Na następnej lekcji Edeltraud pyta, gdzie można znaleźć takich mężczyzn jak Ben.

– W krzakach – odpowiadam. Chyba nadeszła pora, żeby moi znajomi poznali Bena. I żeby on poznał moich znajomych.

1. Ang. „Spiderman, Spiderman, robi wszystko to, co pająk...” [\[wróć\]](#)

21

Leonore przygotowuje premierę *Blizej*. Jest reżyserką i odtwórczynią jednej z głównych ról. Ona i jej trupa teatralna po raz pierwszy spotkają się z Benem. Namówiłam nawet Rebeccę, żeby na premierę przyprowadziła Jezusa-Jakoba. Ben się ogolił, wziął prysznic. Dopilnowałam też, żeby włożył swoje najlepsze ciuchy.

– Nie mógłbyś ubrać się w tę drugą kurtkę? – proszę, kiedy przychodzi kolej na odzież wierzchnią.

– Ale ja lubię tę – sprzeciwia się Ben.

– Jest trochę niemodna. Włóż tę drugą, którą wyszperaliśmy w second handzie.

– Lubię tę – stwierdza Ben tonem, który oznacza koniec rozmowy.

Kiedy zmierzamy w stronę niewielkiego budynku teatru, zaczyna padać pierwszy śnieg. Bena nie za bardzo cieszy to wyjście. Tęsknie spoziera w stronę małych drewnianych budek na Graben, w których serwują poncz pomarańczowy i Glühwein.

– Musimy zostać na całym przedstawieniu? – zastanawia się.

– Jak tylko obrzucimy aktorów zgniłymi pomidorami, zwiewamy ile sił w nogach – obiecuję.

– Naprawdę? – dziwi się Ben.

– Idiota – odpowiadam z uśmiechem. – Kto wie, może zachwycisz się tą sztuką? Pełno w niej seksu, zberezeństw i napięcia.

Chyba go nie przekonałam.

Niestety, przedstawienie jest kiepskie. W którymś momencie ni stąd, ni zowąd ze ściany spada obraz, oświetlenie jest chaotyczne, a czwórka aktorów sprawia wrażenie, jakby grała w czterech różnych sztukach. Ben wybucha śmiechem, gdy Leonore wykonuje taniec na rurze, który z założenia ma być uwodzicielski. Wszyscy odwracają się w naszą stronę i gapią się na Bena.

Leonore przydzieliła sobie rolę młodej dziewczyny, zamiast tej, którą w filmie grała Julia Roberts. I to był jej wielki błąd.

Kiedy spektakl wreszcie dobiega końca, wszyscy tłoczą się w niewielkim barze w foyer, gdzie serwują darmowego red bulla. Na metalowych tackach leżą suche koreczki i pomidorki koktajlowe nadziewane jakimś kremem w kolorze łososia. W kącie stoi beżowy i do nikogo się nie odzywa.

– Rebecca, poznaj Bena – mówię. – Ben, Rebecca.

– Miło cię poznać – mówi Rebecca.

– Mnie również – odpowiada Ben. – Powiedz, proszę, że męczyłaś się tak jak ja. Julia jest zbyt miła, by przyznać, jak okropny był ten spektakl.

– Dostyc straszny, prawda? – półszepcem mówi Rebecca i pochyla się w stronę Bena.

Wygląda na to, że go akceptuje. Ale z drugiej strony zaaprobowałyby kogokolwiek, kto nie jest Matthiasem, którego szczerze nie znosiła.

Kiedy Leonore wychodzi do nas z garderoby, wręczam jej bukiet i chwałę występ. Od kiedy Ben się do mnie wprowadził, przestałam się z nią spotykać i między nami zapanował oziębły nastrój, tak jakby mój nowy związek był dla niej osobistą zniewagą.

– Dobrze poszło, co? – pyta Leonore z godną podziwu pewnością siebie.

– Leonore, to Ben. Ben, Leonore.

Ben i Leonore podają sobie ręce. To jest nienawiść od pierwszego wejrzenia.

– A więc to ty jesteś tym bezdomnym, który się wprowadził do Julii? – mówi Leonore.

– No – odpowiada Ben. – A ty tą żalowaną aktoreczką z bogatym mężulkiem?

– Leonore, byłaś fantastyczna! – rzucam przerażona.

Wtedy pojawia się ktoś, kto chce pogratulować Leonore. Chwytam Bena za ramię i zaciągam go do kąta.

– Nie mów takich rzeczy! – szepczę. – To moja przyjaciółka. Zwariowałaś?

– Żadna z niej przyjaciółka – mówi Ben. – Dlaczego chcesz się kumplować z kimś takim?

– Bo-bo... – jąkam się. – W życiu nie można mieć tylko przyjaciół na śmierć i życie. Jak ten twój The English. Trzeba mieć też kumpli, za którymi niekoniecznie się przepada.

– Nie, wcale nie.

– Ależ tak. Inaczej człowiek ma w końcu tylko jednego przyjaciela. A kiedy

ten przyjaciel wyjedzie albo umrze, nie ma się nikogo. Połowiczni przyjaciele są potrzebni!

Ben patrzy na mnie ze złością.

– Przestań być taka szwedzka.

– Szwedzka? Co ty wiesz o Szwedach? Jestem jedyną osobą szwedzkiego pochodzenia, jaką znasz.

– Nie powinnaś być tak cholernie słaba – uściśla Ben. – Powinnaś mieć większe jaja.

– Po pierwsze, nienawidzę takiego języka – szepczę z wściekłością. – A po drugie, naprawdę nienawidzę takiego języka.

– Tacy ludzie tylko cię wykorzystują. Jesteś sto razy lepsza od tej całej Elenore.

– Leonore – poprawiam go.

– *Whatever* ¹.

– To, że spałeś na brezencie, nie oznacza, że możesz lekceważyć normy społeczne. I być jakimś głoszącym prawdę Buddą. Bo nie jesteś.

– Ty za to jesteś tchórzem.

– Tchórzem? – Zauważam, że jakaś para obok obrzuca nas spojrzeniem, i ściszam głos. – Tchórzem? – powtarzam.

– No dobra, może nie tchórzem – mówi Ben. – Złe słowo. Ale wiesz jak takie bezpieczne życie. Nigdy nie podejmujesz ryzyka.

– Teraz nagle to odkryłeś? Powiedziałam ci to już na początku, na Donauinsel: nie lubię niespodzianek. Co złego jest w tym, że nie podejmuję ryzyka? Kilka tygodni temu przeszłam przez ulicę na czerwonym świetle. I wiesz, co się stało? Nawrzeszczał na mnie jakiś stary dziad – mówię. –

Chociaż wcale nie było ruchu! Ani jednego samochodu! – Robi mi się gorąco. – Mam szczerze dosyć mitu, że ludzie lubiący przygody są lepsi od tych, którzy za nimi nie przepadają. Że jest się kimś wyjątkowym tylko dlatego, że pływało się nago w Gangesie albo pogłaskało delfina. O, spójrzcie na mnie! Upaćkałem się błotem na festiwalu, na którym nie ma toalet. Jestem taki cool!

Przez chwilę oboje milczymy. Widzę, jak beżowy z poważną miną rozmawia z kimś przez telefon. Gdybyśmy nie pokłócili się z Benem, zażartowałabym na temat kryzysu w imperium Red Bulla – skończyły się skrzydła – ale nic nie mówię.

– Jeśli coś jeszcze ci we mnie przeszkadza, powiedz to teraz – oświadczam

w końcu.

Ben patrzy na mnie.

– Masz chyba alergię na otwarte okna. W mieszkaniu zawsze panuje zaduch.

– Alergię na otwarte okna?

Ben kiwa głową.

– Najszczęśliwsza byłabyś, mieszkając w beczce.

– Świeże powietrze jest przereklamowane – mruczę.

– No i bardzo wczesnie chodzisz spać. Dorosła kobieta nie powinna się kłaść o dziewiątej wieczorem.

– Dorosła kobieta sama może decydować, o której chce się kłaść spać – syczę w odpowiedzi. – Wszyscy fajni ludzie chodzą wczesnie spać. Wiemy, że należy się porządnie wyspać. No i można poczytać przed snem. Tylko frajerzy zarywają noce.

– *Whatever* – mówi znów Ben. – Tak czy siak, Leonore to zdesperowana krowa.

– A ty byłeś śmierdzącym bezdomnym, kiedy się poznaliśmy – mówię. – Ot co.

To nasza pierwsza kłótnia. Przez kilka minut stoimy w milczeniu i sączymy nasze red bulle.

– Spadamy stąd? – pyta w końcu Ben.

Patrzę na niego.

– Naprawdę nie chcę się z tobą kłócić.

– Ani ja z tobą.

– To przedstawienie już dostatecznie zepsuło nam wieczór – stwierdza Ben.

– Idziemy – decyduję.

W drodze do domu Ben rozśmiesza mnie, parodiując na latarni ulicznej taniec na rurze Leonore. Ulice wokół nas przykryte są warstwą śniegu.

Ankieta – gorączkuję się.

Jesteśmy z Benem na świątecznym jarmarku na Spittelbergu. Z ciemnogrnatowych kubków popijamy Glühwein. Uwielbiam świąteczne jarmarki na Spittelbergu. Nie docierają tu turyści, ponieważ miejsce jest ukryte pośród wąskich uliczek w siódmej dzielnicy. Zamiast nich można tu spotkać studentów, rodziny z dziećmi i wiedeńskich hipsterów, takich, którzy przesiadują z laptopami w pustych biurach z drewnianą podłogą, gdzie jedynym elementem wyposażenia jest gigantyczna napompowana butelka heinekena albo jakaś inna postmodernistyczna ironia. Jest minus dziesięć stopni i z ust ludzi wydobywa się para. Panuje ścisk i stoimy bardzo blisko siebie. Nie mam nic przeciwko temu.

Ben jest świeżo ogolony, przez co jego oczy wydają się jeszcze większe. Nie mogę przestać patrzeć na jego twarz. Zauważam, że zezuje na niego kilka dziewczyn, i schlebia mi to. Zastanawiam się, czyby nie stworzyć serwisu randkowego dla kobiet pod trzydziestkę i kloszardów. *Braki w uzębieniu Davida doskonale rekompensuje jego talent do picia płynu chłodniczego.*

Ben przygląda się grupie gimnazjalistów z plecakami, która właśnie wtargnęła na jarmark.

– Nastolatkwie – mówi i wzdraga się. – Może oni potrafią wyjaśnić, dlaczego na świątecznym jarmarku można kupić drewniane figurki z Bali, peruwiańskie kapelusiki z wełny i kadzidełka.

– Jak na kogoś, kto jeszcze niedawno sypiał w krzakach, potrafisz być zaskakująco konserwatywny – stwierdzam. – Chcesz jeszcze jedno?

Pokazuję swój prawie pusty kubek. Właściwie grzane wino jest kwaśne i liche, ale uparłam się, żeby było dziś wesoło. Po wizycie na jarmarku wybieramy się do tureckiej restauracji Kent w szesnastej dzielnicy. Ben zaprzyjaźnił się z tamtejszym kelnerem, który zaprosił go na ślub swojego

kuzyna i zaoferował papierosy z przemytu z Ankary.

– Jasne – mówi Ben. – Ja stawiam.

Wyciąga z kieszeni kilka monet i zaczyna je przeliczać.

– Ja zapłacę. Nie ma sprawy – mówię pośpiesznie. – Chcesz to samo?

– Nie, pozwól mi zapłacić. – Ben jest nieco poirytowany.

– Daj spokój.

– Nie.

– Przestań!

– Pozwól mi zapłacić!

– Dzień dobry!

Przed nami wyrasta dwoje nastolatków, tak nagle, że oboje podskakujemy. Dziewczyna i chłopak. Chłopak ma pryszczę na policzkach, a dziewczyna długie, ułożone włosy.

– Jesteśmy uczniami międzynarodowej szkoły w Wiedniu. Czy moglibyśmy zadać państwu kilka pytań? – zagaduje nas po angielsku dziewczyna i mówi dalej, nie czekając na odpowiedź. – Pytanie pierwsze: czy pochodzą państwo z Wiednia?

– Nie – odpowiada Ben.

– Tak – mówię równocześnie.

Dziewczyna jest trochę skonsternowana. Chłopak zapisuje nasze odpowiedzi na iPadzie. Dziewczyna rzuca okiem na kolejne pytanie.

– Czy przebywają państwo w Wiedniu na urlopie?

– Nie – odpowiadam ja.

– Tak – mówi Ben.

Dziewczyna odczytuje trzecie pytanie.

– Czy aby zredukować ilość śmieci zalegających na ulicach, byłiby państwo skłonni zbierać je w charakterze wolontariuszy? – pyta.

– Nigdy w życiu – mówi Ben.

Dziewczyna i chłopak wpatrują się w niego. Policzki dziewczyny delikatnie czerwienieją.

– Ale przecież na ulicach Wiednia nie ma śmieci – mówię. – To jedno z najczystszych miast na świecie.

– To *hipotetyczne* pytania – wyjaśnia dziewczyna takim tonem, jakbym była niedorozwinięta. Już wiem, że jest z gatunku tych, co to zawsze akcentują słowa: może i Julian Assange.

Odczytuje kolejne pytanie z iPada.

– Jaki jest według państwa najlepszy sposób na zredukowanie liczby śmieci?

– Należy zwiększyć liczbę śmietni... – zaczynam.

– Trzeba grzmocić wszystkich tych, co śmiecą – proponuje Ben.

Pryszczaty chłopaczek mruczy z dezaprobatą i zapisuje odpowiedź Bena.

– Czy mają państwo pomysł, jak ulepszyć świat? – pyta dziewczyna. – A zwłaszcza środowisko naturalne?

Ben gorliwie kiwa głową.

– Przestańmy ratować pandy – mówi. – Jedynym powodem, dla którego pandy nadal żyją, jest fakt, że ludzie uważają je za słodkie. Ich ochrona pochłania miliony dolarów, mimo że z natury są słabe. Pandy mają wyginąć. Wydajmy te pieniądze na inny cel. Zapiszcie to. Dokładnie to, co powiedziałem.

Chłopak szybko notuje. Dziewczyna gapi się na Bena. Jej nastoletni świat najwyraźniej zatrzęsł się w posadach.

– Dziękuję państwu za poświęcony czas – mówi dziewczyna i odciąga chłopaka, chociaż ten jeszcze notuje.

Nastolatki znikają, a ja zwracam się do Bena:

– Zapomniałeś dodać, jak bardzo nienawidzisz małych fok i głodujących afrykańskich dzieci.

– I że jestem za rakiem – mówi z uśmiechem.

– Nie opowiadaj wszem i wobec, że należy grzmocić ludzi – napominam.

– Dlaczego nie? – dziwi się Ben.

– Zachowujesz się jak jaskiniowiec. Istnieją lepsze sposoby komunikowania się z ludźmi.

– Nie z idiotami – burzy się Ben.

Wzdycham w duchu, ale postanawiam nie ciągnąć tej dyskusji.

– Poczekaj chwilę – mówię i idę kupić Glühwein.

Na szczęście Ben nie protestuje.

Po wypiciu grzańca i ponczu pomarańczowego przestałam czuć zimno, a wszystko wokół straciło kontury. Tłum na jarmarku nieco się rozrzedził, ludzie rozeszli się do domów na kolację.

– Jeszcze jeden – mówię, unosząc kubeczek – a będziesz miał okazję obejrzeć, jak udaję Falco i śpiewam *Rock Me Amadeus*. Nikt nigdy nie chce tego oglądać. Czekał, masz na sobie tę czerwoną koszulkę?

Spod kurtki wystaje coś czerwonego. Ben przytakuje.

– Ale ona była już brudna – mówię. – Spałam w niej kilka nocy z rzędu.

– Ciuch, który miała na sobie dziewczyna, jest z automatu tydzień dłużej czysty – mówi Ben. – Nie wiedziałaś?

– Nie, ale brzmi logicznie – mówię może trochę zbyt donośnie. – Patrz, to jedna z moich uczennic.

Wskazuję na Verę, która stoi niedaleko z jakąś małą dziewczynką i ogląda fioletową świecę zapachową.

– Idź się przywitać – proponuje Ben.

Kręcę głową.

– Uczniowie są zawsze zmieszani, kiedy widzą mnie poza klasą – wyjaśniam. – Tak jakbym nie miała prawa istnieć, kiedy nie uczę. Oddam tylko kubeczki, żeby mi zwrócili kaucję. Potem ruszamy do Kenta. Wszystko jest takie... takie...

Nie kończę zdania. W ustach mam gorzki posmak. Biorę od Bena kubeczek i chwiejnym krokiem ruszam w stronę budki z grzańcem.

– Cześć, Julia!

Ktoś klepie mnie po ramieniu. To Vera.

– Vera! – witam się. I powtarzam: – Vera!

– To moja córeczka Sabine – mówi Vera. – Sabine, to Julia, moja nauczycielka angielskiego.

Podaję dłoń uczesanej w dwa warkoczyki córeczce Very. Mam tylko nadzieję, że ani Vera, ani jej córka nie dostrzegają, że z trudem utrzymuję pion, i nie czują mojego cuchnącego tanim czerwonym winem oddechu.

– Kupujecie prezenty urodzinowe? – pytam.

Smak w ustach jest coraz bardziej nieznośny. Nagle dociera do mnie nieapetyczna woń kiełbasek z curry.

– Oglądamy potencjalne prezenty *święteczne* – poprawia mnie Vera.

– A czy w ubiegłym tygodniu przysłała do was Nikolaus? – zwracam się po niemiecku do córki Very, której imienia już nie pamiętam. Szóstego grudnia niemieckie i austriackie dzieci odwiedza Nikolaus. Córka Very patrzy na mnie z kamienną twarzą.

– Przyszedł do nas Nikolaus – poprawia mnie. – Nie „przysłała”.

Mężczyzna obok nas odgryza kawałek swojego hot doga z kiełbaską z curry. Sraczkowata musztarda wypływa po drugiej stronie bułki i kiełbaski.

– Racja – mówię i z gracją puszczam pawia do niebieskiego kubeczka.

Stoję nieruchomo. Vera i jej córka także stoją nieruchomo. Wszystko

przebiegło tak szybko i sprawnie, że gdybym teraz nie trzymała w ręku kubka wypełnionego rzygowinami, sądziłabym, że to się w ogóle nie wydarzyło.

– Przepraszam – mamroczę i odwracam się. Pędzę do Bena, stawiam kubki na ulicy i wyciągam go z jarmarku, próbując powstrzymać się od płaczu. – Ben, właśnie zwymiotowałam na oczach uczennicy – mówię ze łzami w oczach.

Ben wybucha śmiechem.

– Serio?

Kiwam głową.

– Do kubka po grzańcu.

– Masz cęła – stwierdza Ben. – Tyle że teraz nie odzyskamy kaucji. Dziesięć euro poszło z dymem.

Jesteśmy na Burggasse. Deptak posypano piaskiem, mimo to trudno mi utrzymać równowagę i muszę uczeplić się Bena.

– Nie rozumiesz – mówię. – *Zwymiotowałam* na oczach uczennicy.

Ben wzrusza ramionami.

– Takie rzeczy się zdarzają. Jak się czujesz?

– Nie, coś takiego nie powinno się zdarzać! Według uczniów jesteśmy robotami. Nie mamy prawa posiadać ludzkich cech. A już na pewno nie ohydnych ludzkich cech. Kiedyś mój nauczyciel matematyki puścił w klasie bąka i musiał się przenieść do innej szkoły, bo nikt już nie traktował go poważnie. Do szkoły w *innym kraju*.

– Przestań się tak przejmować tym, co myślą o tobie inni. Kogo to obchodzi?

– Mnie. To twoja wina!

Mocno przytrzymuję się Bena, gdy idziemy w górę ulicy. Ogarnięta paranoją co chwila się oglądam, na wypadek gdyby gnała za mną Vera albo jakiś inny uczeń.

– Dlaczego moja wina? – dziwi się Ben.

Jest tak zimno, że dopiero teraz zauważam, jak poczerwieniały mu uszy.

– Bo zazwyczaj nie wlewam w siebie takich ilości grzańca – wyjaśniam. – Od kiedy się spotykamy, zaczęłam dużo pić. Jak to możliwe, że ty nie jesteś pijany?

– Potrzeba mi trochę więcej niż czterech kubków grzańca – niemal smutno mówi Ben. – Nie zapominaj, że kiedy mieszkałem na ulicy, jeszcze przed śniadaniem obalałem flaszkę czerwonego sikacza.

Bulgocze mi w brzuchu, a w ustach znów czuję smak cierpkiego wina z goździkami.

– Źle się czuję – mówię. – Wracajmy do domu.

– Jasne. – Ben jest wyraźnie rozczarowany.

W ostatniej chwili omijam psią kupę.

– Wszystkie te śmierdzące psiury w siódmej dzielnicy – jęcę. – Jezu, zaraz znów zwymiotuję. Jeszcze nawet nie zjedliśmy kolacji. A przecież zazwyczaj jemy kolację. Którą ty przygotowałeś. O Boże, czy ty jesteś jakimś *feederem*?

– A kto to taki?

– Ktoś, kogo podnieca patrzeć, kiedy inni jedzą – mówię i jestem coraz bardziej zdenerwowana. – To ktoś, kogo kręci, kiedy jego dziewczyna waży pięćset kilo i ma wałki wokół wałków. Jesteś *feederem*! I gotujesz wszystkie nasze kolacje!

– Gotuję wszystkie kolacje, bo jedyne, co ty potrafisz zrobić, to makaron z pesto – mówi Ben. – I jeszcze tę dziwną sałatkę z kozim serem. Poza tym zawsze ustawiasz najwyższą temperaturę.

– Najwyższa temperatura to jedyna dopuszczalna temperatura – mamrocę. – Pozostałe kreski na podziałce gałki są tam tylko ze względów estetycznych.

Ben otwiera drzwi wejściowe. Robi się trochę cieplej. Ciepłe powietrze sprawia, że jest mi jeszcze bardziej niedobrze. Wszystko wiruje. Kiedy wchodzimy na drugie piętro, wskazuję na drzwi po lewej stronie.

– ELFRIEDE JELINEK – szepczę.

– Nie drzyj się – mówi Ben.

Natychmiast zasłaniam dłońmi usta, po czym układam je w kształt tuby.

– Elfriede Jelinek – szepczę przez tubę.

– Nie mam pojęcia, co to za jedna.

– Je-li-nek. Laureatka Nagrody Nobla. *Pianistka. Bambiland. Amatorki*.

Ben wzrusza ramionami, co z jakiegoś powodu bardzo, bardzo mnie wkurza. W jakiejś części mózgu dokładam austriacki grzaniec do listy trunków, po których jestem bardzo, bardzo wkurzona i których powinnam unikać w przyszłości. Na liście figuruje już whisky i wino ze Skanii.

– Jesteś *takim* ignorantem – mówię z wściekłością. – Laureatka literackiej Nagrody Nobla mieszka w naszym budynku. NOBLA. W naszym domu. Pośrodku ulicy. *Our house. Was our castle and our keep*¹. Nasz dom. Noblistka. JELINEK. Ty ignoramusie.

Z wysiłkiem wspinam się po schodach, ale jak na mój gust świat za bardzo się kołysze. Boli mnie też głowa. Usta wypełnia mi gorzki, cierpki smak.

– Jest wiele rzeczy, o których ty też pewnie nie masz pojęcia – mówi Ben. – Na przykład co to jest Buick Grand National.

– Wiem dostatecznie dużo, aby wiedzieć, że nie chcę wiedzieć, co to jest Buick Grand National – odpowiadam, już na czworakach, bo taka pozycja wydaje się najbezpieczniejszym sposobem na dotarcie na górę.

– No i kto tu jest ignorantem – podsumowuje Ben. – Chodź, pomogę ci. Odpycham jego rękę.

– Nie, sama sobie poradzę – syczę i wpełzam po schodach. – Sama dotrę do mojej beczki.

Kiedy budzę się następnego ranka, na nocnym stoliku widzę szklanekę wody i dwie aspiryny. Przy łóżku Ben postawił także wiadro – dzięki Bogu jest puste. Mieszkanie jest wysprzątane, pranie rozwieszona, Optimus nakarmiony, a w toalecie pachnie odświeżaczem powietrza. Ku mojemu zaskoczeniu Ben ustawił wszystkie buty w przedpokoju według rozmiaru. Kiedy mu dziękuję, słyszę, że to nie jego dzieło. Ja to zrobiłam, kiedy już udało mi się wczołgać do mieszkania.

1. Ang. W dosłownym tłumaczeniu: „Nasz dom. Był naszym zamkiem i naszą twierdzą”. [\[wróć\]](#)

Udajemy z Benem, że jesteśmy Barysznikowem i Anną Pawłową na lodzie. Świąteczny jarmark przed ratuszem przeistoczył się w wielkie lodowisko. Z drzew zwisają plastikowe płatki śniegu, a ratusz podświetlono na fioletowo. Chociaż jest już w pół do dziesiątej wieczorem, na lodowisku wciąż przebywa mnóstwo ludzi. Z głośników sący się muzyka klasyczna, co idealnie pasuje do wymyślonych przez nas układów i piruetów.

– Muszę chwilę odpocząć – mówię, kiedy zastygamy w pełnej dramatyzmu pozie. – Potem powinniśmy poudawać Nancy Kerrigan i Tonyę Harding.

Ben uśmiecha się, po czym wyciąga lewą rękę do przodu i prawą nogę do tyłu. Próbuję dojechać do bandy, nie zderzając się przy tym ze zbyt wieloma łyżwiarzami. Wieczór jest wyjątkowy, ponieważ to Ben opłacił wstęp i wypożyczenie łyżew. Za pośrednictwem Polaków z trzeciej dzielnicy znalazł pracę. Wcześniej bez sukcesu próbował swoich sił jako sprzedawca biletów na koncerty muzyki Mozarta – tę robotę może wykonywać większość zdesperowanych i w miarę przystojnych facetów w Wiedniu. Niestety, wszystkie kostiumy były na Bena przymałe. Poza tym wciąż radził turystom, aby wybrali się na inne, lepsze w jego mniemaniu koncerty muzyki Mozarta. Po dwóch tygodniach zapłacono mu ledwie dwadzieścia euro, ponieważ jest to praca na prowizji. Ale teraz znalazł posadę szpachlarza.

– To prawdziwi krwio pijcy – mówi Ben o swoich pracodawcach. – Austriak dostałby dwadzieścia euro za godzinę. Ja mam osiemdziesiąt centów za metr kwadratowy. A więc nawet jeśli trzy razy ospachluję dom, który ma sto metrów kwadratowych ścian, i tak zarobię tylko osiemdziesiąt euro. Ale zawsze to jakaś praca.

– Jestem z ciebie bardzo dumna.

– Nie mów tak.

– Dlaczego?

– Gdybym miał pięć lat i zrobił dla ciebie ładny obrazeczek z makaronu, wtedy mogłabyś być ze mnie dumna – mówi Ben. – A to główniana praca. Ale miło będzie móc w końcu płacić za jedzenie i tak dalej.

Gdy tak stoję przy bandzie i próbuję rozruszać przemarznięte palce u nóg, spostrzegam Karen z Berlitz. Ponieważ Karen jest bardzo szczupła i blada, uczniowie nieraz pytali ją, czy nic jej nie dolega. Jeden przynosił jej nawet kanapki i pomarańcze.

– Cześć, Karen!

Teraz mnie zauważa. Podchodzi, w rękę trzyma dużą torbę.

– Już skończyłaś czy dopiero będziesz jeździć? – pytam.

– Właśnie wracam do domu – mówi Karen. – Jesteś tu sama?

Kręcę głową i wskazuję na Bena, który nie jest już tancerzem baletu. Teraz udaje robota na środku lodowiska, czym doprowadza do śmiechu dwójkę dzieciaków. Przez dłuższą chwilę obie gapimy się na niego.

– Wiesz, właściwie to zamierzałam cię o coś zapytać – mówi w końcu Karen. – Czy nie chciałabyś poprowadzić popołudniowego kursu na uniwersytecie? Zajęcia dla początkujących, na które chwilowo nie mam czasu.

– Na Uniwersytecie Wiedeńskim? – pytam. – Oczywiście!

– Świetnie – mówi Karen. – Kurs rozpoczyna się dopiero we wrześniu, ale płacą trzy razy tyle co Berlitz.

– Wow, dzięki!

– No i niedługo będę miała mnóstwo prac do sprawdzenia. Mogłabyś mi pomóc – proponuje. – Dobrze pieniądze. Niestety nie wyrabiam się.

Po odejściu Karen nie mogę przestać się uśmiechać. Praca na uniwersytecie. Dostałam też wyższą stawkę godzinową w Berlitzu, bo wypracowałam już ponad trzy tysiące lekcji. A jakby tego było mało, wpadłam dziś na pomysł opowiadania o zakazanej miłości łączącej katolickiego księdza i dziewczynę z Australii. Wiem już nawet, jak będzie miał na imię ksiądz: Ralph. Trochę dziwne, bo zawsze sądziłam, że Ralph brzmi obciachowo. Ale pisarz powinien polegać na swoim instynkcie. To będzie piękna i wzruszająca historia! Podjeżdżam do Bena.

– Ben! Będę uczyć angielskiego na uniwersytecie! – wykrzykuję.

– Chodź tu do mnie, profesorko.

Ben unosi moją prawą rękę i wykonuje piruet. Kiedy mnie puszcza, mówię:

– Raczej nie mogę mówić o sobie „profesor”, bo będę uczyć angielskiego na studiach wieczorowych. Ale to miłe.

- Szpachlarz i profesorka uniwersytetu.
- Nie wiem, czy profesorce wolno się umawiać ze szpachlarzem – drażnię się z nim.
- *Sorry, baby* – mówi Ben i unosi rękę, abym mogła wykonać piruet. – Jesteś na mnie skazana do końca życia.

Najbardziej lubię nie te zwariowane chwile z Benem, tylko naszą spokojną codzienność. Kiedy jemy wspólnie śniadanie, robimy zakupy w Billi lub Merkurze albo przesiadujemy wieczorami na kanapie; ja z lampką czerwonego wina, a on ze szklanką piwa (udało mi się go przekonać, że nie ma prawa, które mówi, że należy pić prosto z puszki) i podjadamy czekoladę Lindta ze słonym karmelem. W takich chwilach czuję radość, zadowolenie i spokój. Nigdy wcześniej się tak nie czułam. Część mnie zaczyna wierzyć, że Ben rzeczywiście zapomniał o Berlinie.

- Bubbles powinien się pozbyć tego łacha Johnny’ego – mówi Ben. – O wiele lepiej poradziłby sobie bez niego.
- Johnny pograży Bubblesa – mówię. – Mówiąc to, nie ujawniam zbyt wiele.

Ponieważ Ben nie widział wcześniej *Prawa ulicy*, zaliczamy pięć kolejnych sezonów. Nagle rozmawiamy o McNulty’u, Kimie, Omarze i Hercu, jakby byli naszymi znajomymi.

- Paweł z pracy opowiadał, że godzinę jazdy od Wiednia są świetne warunki narciarskie – ni stąd, ni zowąd oznajmia Ben.

- Wiem. W Semmeringu.
- Dlaczego nigdy o tym nie wspomniałaś?
- Bo nie interesuje mnie jazda na nartach.
- Musimy tam pojechać! – wykrzykuje Ben. – Skoro to tak blisko Wiednia. Paweł powiedział, że jego kuzyn pożyczy mi sprzęt do jazdy na snowboardzie. Milczę przez chwilę.

- Hmm, no nie wiem – odpowiadam w końcu. – Mógłbyś się za bardzo podniecić widokiem mnie zjeżdżającej ze stoku z prędkością pięciu kilometrów na godzinę. Nie wiem, czy dałbyś radę.

- Będzie ekstra. – Ben jest pełen entuzjazmu.
- W porządku – godzę się. – Pojedźmy tam w sobotę. Ale pod warunkiem, że nie wymalujesz sobie pod oczami białych krech ani nie zostawisz mnie na samej górze.

– Umowa stoi – mówi Ben.

Oglądamy jeszcze jeden odcinek *Prawa ulicy*. W trakcie mycia zębów odbywamy dyskusję na temat tego, czy D'Angelo Barksdale powinien był sypnąć Avona czy nie.

– Nie wolno sypać – upiera się Ben. – Nigdy.

– Czy to zasada obowiązująca w półświatku? – pytam niskim głosem. – *Nigdy, przenigdy nikogo nie sypnij*. Czy macie jeszcze jakieś zasady?

– Jacy my? – pyta Ben. – Ja nie należę do mafii.

Wypluwam pastę do zębów.

– No, może nie zasady – wycofuję się. – Rzeczy, które należy i których nie należy robić? W świecie bezdomnych.

Ben się zastanawia.

– Może to, że zawsze trzeba się podzielić z innymi alkoholem, nigdy nie zajmować cudzego miejsca do spania i nigdy, przenigdy nie rozmawiać z policją.

– Podobnie jest w świecie Berlitz'a – śmieję się. – Zawsze dzielimy się niebieskim podręcznikiem do gramatyki Murphy'ego, bo jest zdecydowanie najlepszy, nie podbieramy sobie uczniów i nigdy, przenigdy nie rozmawiamy z Dagmar. Podobieństwa są przerażające.

Gasimy światło i przechodzimy do sypialni.

– Co znaczy *effervescent*? – pyta Ben, kiedy czytamy w łóżku.

– Tryskający życiem – wyjaśniam. – Angielski to chyba twój język ojczysty?

– Niby tak – mówi Ben i wzdycha.

– Może gdybyś trochę bardziej wysiłał się w szkole, wiedziałbyś teraz takie rzeczy – mówię pół żartem, pół serio.

– Tak, mamo. – Ponownie wzdycha.

Staram się nie czuć dotknięta jego słowami.

– À propos mamusiek i rzeczy, które matki muszą znosić, ale ludzie tacy jak ja nie – zaczynam – to czy mógłbyś przestać rozrzucać brudne koszulki po całym mieszkaniu?

Ben po raz kolejny wzdycha.

– Tak – odpowiada po chwili i przenosi wzrok na książkę, by dać mi do zrozumienia, że mam mu już nie zawracać głowy. Chyba zamierzał dodać „mamo”, ale w ostatniej chwili się rozmyślił.

W kolejny czwartek w Berlitzu dostaję nieźle w kość. Mam samych nowych uczniów na różnych poziomach. Ta kobieta – poziom trzeci – nie może przestać gadać o mieszkaniu, które kupiła właśnie wspólnie ze swoim chłopakiem. Wiem już, że ma w łazience włoski marmur, co najmniej dwa balkony i windę, którą wjeżdża prosto do mieszkania.

– Sto dwadzieścia metrów... jak się mówi *Quadratmeter*? – pyta.

– Metrów kwadratowych – odpowiadam.

Kobieta uśmiecha się szeroko.

– Sto dwadzieścia metrów kwadratowych – mówi. – I to w pierwszej dzielnicy.

– Ale fajnie – komentuję i marzę o tym, żeby wreszcie przestała głądzić o swoim mieszkaniu.

– Mój chłopak jest zastępcą prezesa w Hewlett-Packardzie w Austrii – informuje mnie rozpromieniona.

Przez kilka sekund wyobrażam sobie, jak by to było mieć chłopaka, który jest zastępcą prezesa w Hewlett-Packardzie. I jak by to było nie musieć pokrywać większości wydatków na jedzenie, nie mówiąc już o wspólnym apartamencie.

– Pewnie dużo pracuje – próbuję doszukać się jakichś minusów.

Kobieta kręci głową.

– Nie jest tak źle. No i jeździmy na fajne wakacje. Poprzedniej zimy byliśmy na Malediwach.

– Och. – Tylko tyle mam do powiedzenia.

Ponieważ usłyszałam już wystarczająco dużo o jej fantastycznym mieszkaniu, chłopaku i urlopie, zmuszam ją do wykonania fantastycznie nudnego ćwiczenia z przysłówków.

Trzy ostatnie godziny lekcyjne spędzam z wyjątkowo niesympatycznym

rudzielcem. Mimo że jest uczniem AMS, z jakiegoś powodu ma indywidualne nauczanie. Właśnie przeczytaliśmy artykuł w „Passporcie”.

– Co to jest *Behemoth*? – pyta, wskazując na słówko w gazetce.

Przez ułamek sekundy próbuję wymodlić jakąś odpowiedź, ale jestem zbyt zmęczona. Tej nocy Ben wyjątkowo głośno chrapał. Tak się dzieje, kiedy dużo wypije. A odkąd zaczął pracować u Polaków, tankuje więcej niż zwykle.

– Przyznam się, że nie wiem – mówię. – Ale sprawdzę w przerwie.

Rudy patrzy na mnie z dezaprobatą.

– Jak to nie wiesz?

Teraz już rozumiem, dlaczego nie uczęszcza na zajęcia z innymi kursantami. Żeby nie dostać w łeb podręcznikiem Berlitza dla poziomu szóstego.

– Wnioskując z kontekstu, w jakim słowo występuje, ma ono negatywny wydźwięk – próbuję ratować sytuację. – Z pewnością nie posiada angielskiego rodowodu.

– Jesteś nauczycielką angielskiego. Jak możesz *nie wiedzieć*, co oznacza jakieś słowo? – Mężczyzna nie daje za wygraną.

Nagle nabieram ochoty, by jak najszybciej znaleźć się w swoim mieszkaniu. Jak najdalej od idiotów pokroju tego faceta. Jak najdalej od Berlitzu i reszty świata. W pustym mieszkaniu, w którym mogę pobyć sama i gdzie nie muszę się do nikogo odzywać.

– Jesteśmy tylko ludźmi – mówię i próbuję się uśmiechnąć. A następnie wypowiadam zdanie, które często powtarzam moim uczniom: – Nauczyciel to nie słownik.

– Czy to prawda, że pochodzisz ze Szwecji? – mówi rudy. – A nie z Anglii? Że angielski nie jest twoim językiem ojczystym?

– Przejdźmy do strony trzydziestej siódmej, gdzie... – zaczynam i próbuję ukryć, że głos drży mi z wściekłości.

Ale rudzielec się nie poddaje.

– Jeśli nie wiesz, co oznacza to słowo, prosiłbym o przydzielenie mi innego nauczyciela.

Mam ochotę wrzasnąć, że to nie on, tylko państwo austriackie opłaca jego lekcje, i jak w takim razie śmie mieć jakiegokolwiek wymagania.

– Bo nie wiem, co to jest *Behemoth*? – dziwię się.

– Czy Ken jest w czwartki o tej porze wolny? – dopytuje mężczyzna. – Ponoć jest niezły.

– Sprawdzę w sekretariacie – odpowiadam.

Kiedy w końcu lekcja dobiega końca, zostaję w klasie. Na szczęście nikt nie ma po mnie zajęć. Gapię się przed siebie i marzę, by pobyć dziś sama. Choćby przez kilka godzin. A może po prostu przez kilka dni. W tej chwili nie mam ochoty z nikim rozmawiać ani słuchać niczyjej paplaniny. Nawet Bena. Po dwudziestu minutach wstaję i idę do pokoju nauczycielskiego po kurtkę.

Gdy wchodzę do mieszkania, biorę głęboki oddech.

– Halo? – wołam z nadzieją, że Ben jeszcze nie wrócił z pracy.

– Tu jestem – odpowiada Ben z dużego pokoju.

Zdejmuję buty. W przedpokoju leży jego czarna skarpetka. Ta z wielką dziurą na pięcie, którą z dumą nazywa „swoją żółtą cebulką”, gdy chwali się swoją stopą. Podnoszę skarpetę i idę do dużego pokoju.

– Znalazłam ją przy butach – obwieszczam.

– Oj, przepraszam – mówi Ben. – Wrzuć ją do kosza z praniem.

Siedzi przy stole z moim laptopem. Na ekranie dostrzegam jakieś samochody wyścigowe.

– Co to takiego? – pytam.

– Znalazłem w sieci świetną grę za friko – mówi. – Można się ścigać na słynnym Nürburgringu.

Moja irytacja wzrasta dziesięciokrotnie.

– Nigdy nie mówiłam, że możesz instalować coś na moim komputerze – warczę.

– Co cię ugryzło? – pyta Ben ze złością.

– Nic. – Próbuję zapanować nad głosem. – Jestem tylko trochę zmęczona. Byłabym wdzięczna, gdybyś pytał mnie o zdanie, zanim zainstalujesz coś na moim laptopie.

Idę do sypialni, żeby wrzucić skarpetkę Bena do kosza z brudną bielizną. Chciałabym teraz siedzieć sobie sama na kanapie, na kolanach trzymać Optimusa i oglądać telewizję. Mam wrażenie, że przez Bena nie mogę oddychać. Na nocnym stoliku zauważam puszkę po ottakringerze. Chwytam ją i wparowuję do dużego pokoju.

– Musisz rozstawiać puszki po całym mieszkaniu? – pytam z wściekłością i stawiam puszkę przed laptopem.

– To tylko puszka po piwie – stwierdza Ben. – Jezu, ale masz zły humor!

– Czy nie powiedziałam dopiero co, że nie mam złego humoru? – odpowiadam. – Ale to dość obrzydliwy widok, kiedy w mieszkaniu wszędzie walają się skarpetki i puszki po piwie.

– Obrzydliwy? – powtarza Ben. – Nie udawaj, że twoje gówno nie śmierdzi.

Jego słowa sprawiają, że wpadam w furję.

– Bywasz naprawdę okropny – syczę. – To nie ja jem psią karmę bez powodu i wycieram palce o skarpetki przy jedzeniu. *O skarpetki przy jedzeniu.* Rozumiesz, jakie to ohydne? Czasami, kiedy tak na ciebie patrzę, jest mi zwyczajnie wstyd!

Ben milczy, ale jego twarz pociemniała, a spojrzenie spochmurniało.

– Czasami wydaje mi się, że kręci cię demonstrowanie, jaki to z ciebie niechluj i prostak – ciągnę. – *Nienawidzę* tego. Nie mówiąc już o tym, jak odnosisz się do moich znajomych. Zachowujesz się agresywnie i prowokacyjnie, jakbyś chciał im dać powód, żeby cię nie lubili, zanim faktycznie znajdą coś na ciebie, by cię znieubić.

– Wszyscy twoi znajomi to idioci – mówi Ben z zaciśniętymi zębami. – Poza Rebeccą.

– Jasne, bo przecież The English to profesor filozofii.

– The English faktycznie studiował filozofię. Przez cztery lata.

– Ci, co studiują filozofię, są idiotami. To wyłącznie rozrywka dla zabicia czasu, coś jak studiowanie Simpsonów. Zajęcie bez przyszłości. Nie chcę rozmawiać o The Englishu, tylko o twoim zachowaniu, które jest nie do zaakceptowania. Zasługuję na coś lepszego. Lepszego *od ciebie!*

Ben odwraca wzrok w stronę laptopa.

– Sądziłem, że jesteśmy „jak równy z równym” – mówi nieswoim głosem.

– Żartujesz? Równi? Naprawdę, tak szczerze, uważasz, że jesteśmy równi, ty i ja? To jakiś dowcip stulecia? I wiesz co? Nie lubię tego, co robisz językiem w moim tyłku. TYLKO UDAJĘ, ŻE MI SIĘ TO PODOBA!

Wpadam do sypialni, trzaskając drzwiami. Po czterdziestu pięciu minutach, spokojniejsza, otwieram drzwi. Poza tym chce mi się siku. Przez chwilę rozważałam, czyby nie załatwić się do doniczki ze skrzydłokwiatem, żebym nie musiała wychodzić z sypialni. W końcu jednak uznałam, że dojrzałam do tego, aby przeprosić Bena.

Stoi w kuchni i gotuje chili. Ma czerwone policzki – nie wiem, czy powodem jest buchająca z garnka z cebulą para czy coś innego.

– Przepraszam – mówię.

– Ja też – mówi Ben, ale jego głos jest dziwny i chłodny.

– Kocham cię – mówię.

– Ja ciebie też – odpowiada tym samym dziwnym głosem.

Powiedzieliśmy to sobie po raz pierwszy. A jednak nastrój wcale nie jest miłosny.

– A jeśli chodzi o to z językiem – zaczynam ostrożnie. – Nie zawsze udaję. Czasami mi się podoba. Czy raczej... nie mam nic przeciwko temu, że to robisz.

– W porządku – mówi Ben i skupia się na otwieraniu puszek z czerwoną fasolą. – Nigdy już tego nie zrobię.

– Nie o to mi chodziło.

– W porządku – powtarza Ben i dalej otwiera puszkę.

Stoję w drzwiach, obserwując, jak wrzuca zawartość puszek do garnka i miesza składniki.

– Boże, ależ miałam okropnego kursanta – zaczynam opowiadać o rudzielcu.

Wiem, że przez resztę wieczoru w ramach pokuty za swój wybuch muszę zgrywać głupka. W trakcie kolacji nastrój – powoli i z pomocą moich wymuszonych żarcików – nieco się poprawia. Po posiłku oglądamy dwa odcinki *Prawa ulicy* i jak zwykle pogryzamy czekoladę Lindta.

Następny dzień w Berlitzu mogę zaliczyć do udanych. Mam zajęcia tylko z trzema grupami, w tym z tą, do której uczęszczają Bettina, Steffi i Hans.

– *The homework was a bit hard you gave* ¹ – mówi Steffi.

– Trudna – poprawiam ją delikatnie. – Dlaczego sądzisz, że...

Nagle zamieram. Tak jak kilka miesięcy temu wiedziałam, że Ben będzie na mnie czekał pod Berlitzem zamiast pod Starbuckssem, tak teraz jestem pewna czegoś zgoła innego. Gdy ostatnia lekcja dobiega końca, rzucam się pędem Mariahilferstrasse, Stiftgasse, Burggasse i w końcu Neustiftgasse. W gardle mnie pali, a po plecach ścieka mi pot. Wchodzę do budynku, pędzę do góry po schodach, potykam się i ranię w kolano. Pochodzący z Serbii stróż, który właśnie myje schody, pyta mnie, czy nic mi się nie stało. Kręcę głową i odpowiadam, że to tylko draśnięcie, chociaż w kolanie czuję pulsowanie, a do oczu napływają mi łzy.

Wpadam do mieszkania, biegam po pokojach.

– Ben! – wołam niespokojnie.

Ale już wiem.

Ben odszedł.

1. Ang. „Praca domowa była ciężka, którą mi dałaś”. [\[wróć\]](#)

Co ty wyrabiasz? – pyta zaniepokojona Rebecca.

Znajduje mnie zapłakaną przy jakimś krzaku. W rękach trzyma dwie granatowe torby z podręcznikami, co oznacza, że przyszła prosto z Berlitzu i że wyszła, gdy tylko odczytała mojego SMS-a.

– Szukam Bena – mówię, ocieram łzy i wstaję, żeby zacząć przeczesywać kolejne zarośla, chociaż to niemożliwe, żeby ukrywał się tam mężczyzna, który ma sto dziewięćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu.

Zrobiło się ciemno, a śnieg przekształcił się w twarde kuleczki lodu. Pomijając latarnie uliczne, cały Stadtpark jest ciemny i nieprzyjazny. Raz po raz od strony płytkiego cuchnącego stawu pośrodku parku dobiega mnie jękliwe kwakanie. Najbardziej ze wszystkich parków w Wiedniu nie znoszę właśnie tego za kacze kupy i za przypadkowych łazęgów.

– Ale nie mogę go znaleźć – mówię łamiącym się głosem.

Wśród liści połyskuje zużyta prezerwatywa, a w krzakach cuchnie moczem i ludzkimi odchodami. Natychmiast cofam głowę. Odwracam się w stronę Rebekki.

– Nie mogę go znaleźć – powtarzam i znów wybucham płaczem.

Rebecca prowadzi mnie ostrożnie do najbliższej ławki.

– Może miał wypadek i trafił do szpitala – mówi, kiedy już siedzimy na ławce.

– Dzwoniłam do Szpitala Miejskiego. Nie ma go w ich rejestrze.

– Może został aresztowany?

– Ale wtedy pewnie by zadzwonił.

– Chyba że zrobił coś potwornego i nie chce, abyś się o tym dowiedziała.

– Na przykład?

Rebecca nie opowiada. Rzuca mi tylko spojrzenie, które sugeruje coś pomiędzy nekrofilią a zwędnieniem jajek z niespodzianką.

– Oczywiście dzwoniłaś na jego komórkę?
– On nie ma komórki – wyjaśniam. – Nie znam też jego maila, jeżeli w ogóle jakiś posiada.
– A konto na Facebooku?
– Nie ma go na Facebooku. Według niego Facebook jest dla idiotów.
– Ale ty przecież posiadasz tam konto – mówi Rebecca.
– No i co z tego?
– Nie wkurzyło cię, że nazwał wszystkich użytkowników Facebooka idiotami?
– Tak szczerze, to Facebook nie jest dla mnie na tyle ważny, żeby mi było przykro z tego powodu – odpowiadam.
– Nie chce mi się teraz gadać o Facebooku. Chcę rozmawiać tylko o Benie, bo kiedy o nim mówię, to tak, jakby ze mną był.
– Po prostu nic nie rozumiem – mówię.
– Jeśli porzucił cię z powodu tej kłótni, to na ciebie nie zasługuje – mówi Rebecca.
– Nie. – Kręcę głową. – To ja nie zasługuję na niego. Zawsze był taki dobry, wesoły i szalał na moim punkcie. A ja tylko się wstydziłam i wkurzałam. I dlaczego? Bo nie był wykształcony? Bo nie miał fajnej i prestiżowej pracy? Nasz związek był najlepszą rzeczą, jaka mnie spotkała. A ja go zniszczyłam z powodu skarpetki i puszki po piwie. Bo jestem pieprzoną snobką.
– Nie mów tak – upomina mnie surowo Rebecca.
– Teraz odszedł i to moja wina. Idiotka ze mnie.
Siedzimy w ciemności. Beczę i smarkam w płaszcz Rebekki.
– Nie jesteś idiotką, bo pragniesz czegoś lepszego – mówi Rebecca, nie wypuszczając mnie z objęć.
– Ale ze mnie idiotka – mówię znów.
Zmrożony śnieg nie przestaje padać. Słychać tylko pomruk silników samochodów na Ringu.

Rano jadę w poszukiwaniu Bena do dziesiątej dzielnicy, gdzie mieszkają Kobra, Vichor i Truskawa. Ale tam, gdzie stał dom, teraz zieje otoczona chwiejnym ogrodzeniem wielka dziura wypełniona gruzem i ceglami.

Dni mijają, a ja wymyślam kolejne wytłumaczenia nieobecności Bena. W końcu postanowił pojechać stopem do Berlina. Spotkał starego kumpla. Polacy w ostatniej chwili załatwili mu fuchę pod Wiedniem. Przygotowuje dla mnie jakąś *niesamowitą* niespodziankę! Ale wszystko to wydaje mi się niewiarygodne.

Dni przechodzą w tygodnie. Czekam. I czekam. Żyję jak robot. Idę do Berlitz, uczę, ćwiczę na siłowni, czekam na tramwaj, daję jeść Optimusowi, czyszczę uszy patyczkiem. Robię to co zazwyczaj. A jednocześnie wszystko we mnie krzyczy: GDZIE JEST BEN? Na półce w sypialni nadal leżą jego koszulki, które uprałam i pieczołowicie poskładałam. W szufladzie w kuchni na kraciastej ściereczce leży wielki nóż, który razem kupiliśmy. W umywalce wciąż widać parę ciemnych włosów, których jakoś nie potrafię wyrzucić. Na półce w dużym pokoju wała się kilka zgniecionych paragonów i trzy monety. Na nocnym stoliku leży otwarta *Nocna zmiana* Stephen Kinga. Wszystko jest tak, jak być powinno. Pomijając fakt, że nie ma ze mną Bena. Tylko Optimus jest zadowolony. Niczym wybaczący były kochanek wsuwa pyszczek w moją dłoń i nieco bardziej radośnie rozsypuje piasek, kiedy wchodzi do kuwety.

Tęsknota za Benem jest tak nieznośna, że na niczym nie potrafię się skupić. Przypominam sobie wszystkie powody, dla których go kocham: bo mnie akceptuje, bo uważa, że *Always Erasare* to najpiękniejsza piosenka na świecie, ale nigdy nie przyznałby się do tego żadnemu kumplowi, bo w jego obecności niczego nie muszę udawać, bo uważa, że wszystko, co robię, jest wspaniałe, bo tak jak ja sądzi, że halloumi jest przereklamowany, a capoeira głupia, bo jest seksowny i wysoki, bo ani trochę nie wstydzi się swojego uwielbienia dla Arnolda Schwarzeneggera, bo przypomina mi tego superkolesia z czasów szkolnych, który takie dziewczyny jak ja uważał za nudziary, bo przed kilkoma tygodniami odbyliśmy rozmowę w udawanym portugalskim, bo jest jedynym

człowiekiem, któremu każdej nocy śni się, że jest superbohaterem, bo nasz seks jest fantastyczny, ale nigdy nie trwa tak długo, bym zaczęła się zastanawiać nad tym, czy już pora przemałować sufit, bo potrafi mnie rozbawić, bo ja potrafię rozśmieszyć jego, bo uwielbia *Labirynt* tak samo jak ja i dlatego, że od kiedy go poznałam, moje życie nabrało kolorów.

Aż któregoś dnia przychodzi list.

Najpierw go nie zauważam, bo zaplątał się między ulotki z Billi, krzyczące: *Ja! Natürlich* jogurt za 0,59 euro i ser ementaler za 1,29 euro. Dostrzegam go, dopiero kiedy odkładam gazetkę w kuchni, żeby użyć jej jako wyściółki do kuwety Optimusa. Na przesyłce widnieje nazwisko Bena i jest to pierwszy list, jaki otrzymał od czasu przeprowadzki do mnie. Widzę granatowy logotyp i serce zaczyna bić mi szybciej. Rozrywam kopertę i dowiaduję się, że Ben został przyjęty na pierwszy semestr budowy maszyn na Uniwersytecie Technicznym w Wiedniu. Aplikował na kilka tygodni przed naszą kłótnią.

Znów zaczynam wychodzić na miasto z Leonore. Trwa sezon balowy. Wszędzie widać młode dziewczyny i kobiety w długich sukniach i wylakierowanych fryzurach, dygoczące na mrozie. Przez kolejne dwa miesiące główną stawą ludności Wiednia będzie prosecco i *Krapfen*, słodkie pączki z morelową marmoladą.

Jesteśmy z Leonore w barze w Metropolitan Hotel – najwyraźniej według Leonore to miejsce, w którym należy bywać. Podobnie jak Optimus, patrzy teraz na mnie przebaczącym, a zarazem wyniosłym wzrokiem.

– Zastanawiam się nad wystawieniem *Monologów waginy* – mówi. – Cały dochód przekazałabym na schronisko dla kobiet w trzynastej dzielnicy.

– Czy *Monologi waginy* nie są już trochę passé? – pytam. – Pachnie mi to latami dziewięćdziesiątymi.

– Jak walka o niezależność i wolność kobiet może być passé? – dziwi się Leonore.

Coś we mnie eksploduje.

– Walka o niezależność i wolność kobiet? – powtarzam za nią. – Nie będziesz przecież walczyła z talibami w Afganistanie, tylko przez dwie godziny stała na scenie i gadała o waginach. W sztuce, która skupia się na dość brutalnych doświadczeniach seksualnych i negatywnie odnosi do damsko-męskich intymnych relacji. I w której pojawia się niesmaczny monolog o „dobrym gwałcie” na trzynastolatce. Nienawidzę *Monologów waginy*!

Leonore patrzy na mnie i ani mrugnie. Zaskoczyłam nawet sama siebie, bo, tak po prawdzie, nie mam nic przeciwko *Monologom waginy*.

– Ty jesteś jakąś antyfeministką? – odburkuje w końcu.

– O nie, Leonore, wydało się – mówię. – Masz rację: nienawidzę wszystkich kobiet. A niech to, nasze miejsce jest w kuchni.

Ostatnią rzeczą, jakiej pragnę, jest powrót do pustego mieszkania. Dlaczego

więc psuję ten wieczór?

– Chyba czas już na nas – mówi Leonore lodowatym głosem. – Jutro muszę wcześniej wstać.

– Nie! Zostań, proszę. Przepraszam, byłam trochę opryskliwa. Oczywiście, że powinnaś wystawić to, co uważasz za stosowne. Byłabyś fantastyczną... – próbuję wypowiedzieć słowo jak najbardziej naturalnie: – ...waginę.

Leonore natychmiast się rozpromienia. Po pięciu minutach chwyta mnie za rękę.

– Słuchaj, a co się właściwie stało z tym kolesiem... jak on się zwał... tym bezdomnym?

– Simon – podpowiadam jej, choć wiem dobrze, że Leonore pamięta jego imię.

– Hm, czy aby na pewno miał na imię Simon? – zastanawia się. – Co się z nim stało?

– Musiał wyjechać na trochę do Amsterdamu.

– Aha – stwierdza Leonore i zaczyna mówić o podróży na Hawaje, w którą wybiera się wraz z beżowym i ich synem w Święta Wielkanocne.

Kiedy godzinę później stoimy w Passage'u, mam wrażenie jakiegoś potwornego *déjà vu*, którego nie potrafi zniwelować nawet ogromna ilość alkoholu, jaką w siebie wlałam. Wszystko jest jak dawniej, a zarazem nie jest. A to dlatego, że Ben znalazł się w moim życiu, a teraz z niego odszedł. Na podłodze utworzyły się brązowe kałuże z lodu, który opadł ludziom z podeszew, a w powietrzu panuje większa niż zazwyczaj wilgotność. Kupuję nam obu po drinku. Niektórzy faceci ubrani są we fraki, a włosy mają zaczesane do tyłu, co oznacza, że urwali się z jakiegoś balu w okolicy. Ktoś stuka mnie delikatnie w ramię. To aktor Mike z Berlitzu.

– Cześć, Julia.

– MIKE!

Rzucam mu się w objęcia i cmokam go w policzki. Mimo że kilka godzin wcześniej widzieliśmy się w Berlitzu i nigdy się w ten sposób nie obcałowaliśmy. Wieczór jest pełen niespodzianek.

– Często tu przychodzisz? – pyta Mike i się rozgląda.

– To twój ulubiony tekst na podryw? – pytam niskim głosem i próbuję rzucić mu uwodzicielskie spojrzenie.

– Ja... nie miałem zamiaru... – jąka się Mike.

Klepię go w ramię.

– Wyluzuj się. A tak poważnie: co mówisz, kiedy chcesz poderwać dziewczynę? Pytasz o godzinę?

Mike się zastanawia.

– Pytam ją, jak ma na imię – mówi. – Słyszałaś, że może zamkną Berlitz na Mariahilferstrasse i przeniosą w inne miejsce? Za wysoki czynsz.

– Nie, Mike! Nie! – przerywam mu ze złością. – Żadnego Berlitz. Co za niegrzeczny chłopiec! Teraz chciałabym dowiedzieć się czegoś więcej o człowieku w aktorze w nauczycielu Mike’u. Albo aktorze w człowieku Mike’u. Człowieku w człowieku Mike’u. Człowieku Mike’u: kim ty jesteś?

Mike gapi się na mnie. Czeka nas ostatnia – największa zresztą – niespodzianka. A to taka, że prześpię się z Mikiem.

Podrapałaś mnie – skarży się Mike.

Siedzi obok mnie na łóżku i maca swoje plecy. Milczę. Mam nadzieję, że jeśli tylko zamknę oczy, on zniknie. Że jeśli tylko porządnie się skoncentruję, on rozplynie się w powietrzu.

– Chyba nawet leci mi krew – ciągnie.

Jeszcze mocniej zaciskam oczy. *Daj z siebie wszystko, kobieto, no, dalej!*

– O rany, chyba nie zrobiłaś mi malinki? – niepokoji się po chwili Mike.

Zerkam na niego i widzę, jak maca się po szyi, tak jakbym zostawiła mu malinkę wyciśniętą alfabetem Braille’a.

Seks był co najwyżej przeciętny. Oboje udawaliśmy, że jesteśmy na siebie napaleni. Kiedy Mike zdjął koszulkę, zauważyłam długie, ciemne włoski rzadko porastające jego klatkę piersiową i trzy pieprzyki pod jednym sutkiem formujące kształt przypominający Pas Oriona. W końcu musiałam zamknąć oczy i udawać sama przed sobą, że to Ben.

– Byłaś zupełnie dzika – mówi osoba-która-wciąż-jest-obok-mnie. – Nigdy bym cię o to nie podejrzewał.

Zamiast sobie iść, Mike robi coś znacznie gorszego. Przysuwa się do mnie i obejmuje mnie jak jakaś małpka. Otwieram oczy i gapię się przed siebie. Muszę się naprawdę wysilić, żeby go nie odepchnąć. Najchętniej wypchnęłabym go przez okno.

– Może zjemy śniadanko w Wirr i pójdziemy na spacer po parku Schönbrunn – rozmarza się Mike. – A może kino. W Burgu jest pewnie jakiś przedpołudniowy seans. Muszę cię od razu ostrzec, że w kinie zawsze kupuję popcorn.

Wyskakuję z łóżka.

– Mike, przepraszam, ale musisz już iść – mówię i próbuję włożyć jak najwięcej ubrań w jak najkrótszym czasie. Chętnie przywdziałabym również

kurtkę, buty, szalik, czapkę, rękawiczki i wybiegła z mieszkania. Niestety, tak się składa, że jesteście u mnie.

– Jest przecież dopiero trzecia nad ranem – mówi Mike.

– Wiedeń to jedno z najbezpieczniejszych miast na świecie – stwierdzam. – Trzymaj się z daleka od mężczyzn stojących przy otwartych furgonetkach i oferujących słodycze, a nic ci nie będzie. Pewne jak w banku.

– Nawet nie wiem, czy jeździ teraz jakiś autobus. Jest zimno i zaczął padać deszcz.

– Mike, nie jesteś z cukru. Musisz już iść. Mam chłopaka. A w zasadzie narzeczonego. Pobieramy się.

Mike milczy. Zagląda pod kołdrę, pod poduszkę, a następnie za firanki. W końcu bierze z nocnego stolika leżącego tam szmacianego króliczka.

– Cześć, jestem narzeczoną Julii – mówi piskliwym głosem, unosząc maskotkę. – Mocno mnie przytula, kiedy zajadamy się czekoladą i oglądamy kolejny odcinek *Seksu w wielkim mieście*.

Nie wiem, jak zareagować. Jestem zbyt zmęczona, pijana i zniesmaczona. Jedyna konkretna refleksja, jaka przychodzi mi do głowy, to że ostatni sezon *Seksu w wielkim mieście* skończył się ponad dziesięć lat temu, więc jego złośliwość jest po prostu żenująco nie na czasie.

– Co takiego? – mówię. – Odłóż królika.

– Jeśli masz narzeczonego, to gdzie on się podziewa? – pyta. – Na Facebooku zaznaczyłaś, że jesteś singielką. Jak w takim razie możesz mieć narzeczonego?

Ben ma rację. Na Facebooku aż roi się od idiotów.

– To dlaczego się ze mną przespałaś? – ciągnie Mike.

Nie odpowiadam.

– Okropna z ciebie narzeczone.

– Oddawaj królika.

Mike rzuca maskotkę w moją stronę. Wtedy do pokoju dumnie wkracza Optimus. Bezszelestnie wskazuje na łóżko i łąsi się do Mike'a.

– A ty skąd się wzięłaś, koteczku? – mówi Mike. – Jaki słodziaczek. Śliczny kociaczek.

Optimus mości się Mike'owi na kolanach i mruczy.

– Optimus, chodź tutaj! – mówię. – Optimus.

Judasz mruczy jeszcze donośniej.

– Optimus, do nogi! DO NOGI!

Mike i Optimus dalej się mizają. W końcu podchodzę do nich i wyszarpuję Optimusa z objęć Mike'a. Miaucząc wniebogłosy, kot wyrywa mi się i wybiega z pokoju.

– Co z ciebie za człowiek? – mówi Mike, wpatrując się we mnie. – Najpierw zdradzasz narzeczonego i mnie uwodzisz. A potem znęcasz się nad kotem.

Podnoszę królika i rzucam nim w Mike'a.

– Wynocha z mojego mieszkania! – ryczę.

Mike ubiera się. Z niejaką satysfakcją stwierdzam, że podrapałam mu plecy do krwi.

– Muszę skorzystać z toalety – mamrocze Mike, stojąc przy drzwiach.

– WON! – krzyczę i wypycham go z mieszkania.

Długo nie mogę zasnąć. Ale kiedy już odpływam, śpię tak głęboko, że nie słyszę telefonu.

Gapię się na numer.

00160468530238

Ktoś dwukrotnie z niego dzwonił. Wszystkie numery komórkowe w Austrii zaczynają się od 06, a stacjonarne od 01. Ten jest za długi, a do tego na początku są dwa zera. Nagle czuję ściskanie w żołądku. Dopadam do komputera, uruchamiam go i wpisuję cyfry. 001 604 to kierunkowy do Vancouver w Kanadzie. Ktoś w pokoju nie może się pohamować i krzyczy z radości.

Przez najbliższe trzy dni nie opuszczam mieszkania. Informuję Berlitz, że mam grypę, Rebecce zaś obwieszczam stan wyjątkowy. Proszę ją o kupienie karmy dla Optimusa oraz mleka, chleba i portugalskiego wina dla mnie.

– Wiesz chyba, na czym polega działanie telefonu komórkowego? – delikatnie zagaduje mnie Rebecca. – Że można go zabrać ze sobą?

Rebecca siedzi obok mnie na kanapie. Przed nami na stoliku kawowym leży moja komórka.

– Nic nie rozumiesz.

Przez ostatnie dni nie byłam w stanie oderwać wzroku od telefonu. Chodzę z nim po mieszkaniu. Również do toalety. Istnieje ryzyko, że biorąc prysznic, mogłabym go nie usłyszeć, więc włosy mam nieumyte, a pizama zaczęła wydzielać nową, dojrzałą woń. Odkryłam także nieznaną świat popołudniowych programów telewizyjnych. Świat niemieckich telenowel o tytułach w rodzaju *Wichry miłości* i list przebojów, w których prowadzący w *Lederhosen* przechadzają się po zielonych górskich błoniach. Dowiaduję się także, że Wenche Myhre wciąż żyje, a jej kariera kwitnie w krajach niemieckojęzycznych.

– Próbowowałaś oddzwonić? – pyta Rebecca.

– Dzwonię mniej więcej co dziesięć minut, ale nikt nie odbiera – mówię. – A teraz numer jest przez cały czas zajęty.

– A jeśli to nie on?

– Nie mam żadnych znajomych w Kanadzie – mówię. – Wiem, że to on. Po prostu to wiem.

– A może Ben dał komuś z Kanady twój numer – sugeruje Rebecca. – A teraz ta osoba próbuje się z nim skontaktować.

Przez chwilę milczę.

– O tym nie pomyślałam – stwierdzam. W końcu kręcę głową. – Nie, wiem, że to był Ben. Po prostu to wiem.

Wtedy Rebecca wypowiada zakazane słowa:

– Ale skoro Ben jest, czy raczej był, bezdomny, to skąd nagle wziął pieniądze na bilet do Kanady? I dlaczego nie próbował zadzwonić ponownie?

Nie odpowiadam. W ciszy gapimy się na telefon.

Po upływie kolejnych dwóch dni muszę wyjść z mieszkania. Rebecca nie zamierza już wspierać mnie w mojej egzystencji à la Kaspar Hauser. Poza tym skończył się papier toaletowy. Moja przyszła koleżanka Elfriede Jelinek nigdy nie upadłaby tak nisko.

Z miną mordercy biegnę do Billi, kupuję jedzenie i papier toaletowy, po czym pędem wracam do domu, mimo że przez cały czas mam w kieszeni telefon. Kiedy wchodzę po schodach, dzwoni moja komórka. To Rebecca.

– Cześć – witam ją.

– Wydajesz się rozczarowana – mówi Rebecca. – Znalazłam adres.

– Jaki adres?

– Spod którego dzwonił Ben.

– Co takiego? Rebecca, dzięki, dzięki, dzięki!!! Jak tego dokonałaś? Ja dowiedziałam się tylko, że to numer w Vancouver.

– Musiałam trochę pogrzebać – mówi Rebecca. – Nie wiem, kto tam mieszka, ale ten adres to 1348 Commercial Drive w Vancouver.

1348 Commercial Drive. 1348 Commercial Drive. Commercial Drive – powtarzam.

– Możesz nawet obejrzeć sobie to miejsce na Google View – ciągnie Rebecca. – Ładnie tam.

Rebecca ma rację. Szeroka ulica, zielone drzewa, sklepy. Po prawej stronie jakaś Caffé Amici. 1348 Commercial Drive. Spływają na mnie radość

i spokój. W końcu jakiś trop prowadzący do Bena. Mam uczucie, jakby moje płuca na powrót wypełniały się powietrzem.

– Rebecca, muszę cię prosić o przysługę – mówię. – Mogłabyś się zająć Optimusem, kiedy tam pojedę?

Rebecca jest na tyle bystra, żeby nie próbować odwieść mnie od tej decyzji. Zamiast tego zadaje rzeczowe i praktyczne pytania.

– Nie byłoby lepiej i taniej poczekać, aż znów zadzwoni?

– Dłużej już nie mogę czekać. Wariuję od tego czekania.

– A co, jeśli dzwonił, żeby z tobą zerwać?

– To przynajmniej będę wiedzieć – stwierdzam. – Jadę do Kanady. Prawdę mówiąc, zawsze chciałam tam pojechać. Tyle że wcześniej nie miałam powodu. Poza tym od dawna nie byłam na wakacjach. No i stać mnie na to. A jeśli znajdę Bena, będę go mogła przeprosić za te wszystkie okropności, które wykrzyczałam, i powiedzieć mu, że wiem o jego studiach.

Sama słyszę, jak obrzydliwie desperacko brzmię. Rozsądek podpowiada mi: *nie jedź*. Ale nie chcę słuchać głosu rozsądku. To wyzwalające, móc w końcu zrobić coś konkretnego po całym tym czekaniu.

– Ale czy nie działasz trochę w stylu Glenn Close z *Fatalnego zauroczenia*? Jechać w ciemno przez pół świata? – zastanawia się Rebecca.

Milczę. *Nie jedź*.

– Pomyśl, że docierasz tam i zastajesz go z żoną i trójką dzieci. Jakąś Shanią albo Melody.

– Po pierwsze wiem, że tak się nie stanie – mówię. – Po drugie, będę przynajmniej wiedzieć, co się wydarzyło. Najpierw jednak zamorduję Shanię. Wszystko jest lepsze od niewiedzy. Coś się musiało stać. Muszę się dowiedzieć co.

Sześć dni później siedzę w samolocie linii British Airways lecącym do Vancouver.

Samolot jest wypełniony po brzegi. Podczas lotu do Londynu miałam miejsce przy oknie. Niestety, po międzylądowaniu oddzielają mnie od niego dwa fotele. Siedzenie jest twarde i wąskie. Ile bym się nie mościła, i tak jest mi niewygodnie. Na nogi pozostaje tak niewiele przestrzeni, że niemal dotykam kolanami siedzenia przed sobą. Próbuję znaleźć miejsce dla siebie, koca, słuchawek, małych skarpetek, zatyczek do uszu, menu i poduszczeni, w którą zaopatrzyły mnie British Airways, kiedy wchodziłam na pokład. W końcu mam stos gratów na kolanach, przez co trudno mi opuścić stolik. Obok mnie siedzi para pięćdziesięciolatków. Nie wypowiadają do siebie ani słowa. Ona czyta książkę, a on patrzy przed siebie. Pozostali pasażerowie założyli już słuchawki i gapią się w umieszczone na fotelach przed nimi ekrany.

– Napije się pani czegoś? – pyta jakiś bas.

Podnoszę wzrok i widzę umalowanego mężczyznę w blond peruce na pazia. Jabłko Adama zasłania niebiesko-czerwona apaszka.

– Poproszę sok pomarańczowy – mruczę w odpowiedzi.

– Proszę – mówi bas.

Obracam się ku mężczyźnie siedzącemu obok mnie, by sprawdzić, czy i on jest równie miło zaskoczony faktem, że stewardesa to transwestyta, prawdopodobnie transseksualista. Ale tamten tylko zamawia piwo, nie patrząc nawet w moją stronę.

Zapadam się w fotel. Szkoda, że nie ma ze mną Bena. Moglibyśmy przedyskutować kwestię pana stewardesa. Od kiedy Ben zniknął, codziennie rozmawiam z nim w myślach. Żeby dodać sobie otuchy, przywołuję w pamięci jego zabawne komentarze, na przykład o Tinie Turner („Chyba zawsze miała sześćdziesiąt lat?”), hipisów („Nigdy nie spotkałem hipisa, który nie byłby skąpy”), Penelope Cruz („Przypomina karalucha!”) czy zup („Zupy to przyszłość”). Takie głupkowate, trywialne rzeczy, z których się z nim śmiałam

i z których nie mogłabym się śmiać z kimś innym, właśnie dlatego, że są takie głupkowate i trywialne. Czekam na dzień, w którym nadepnę na karalucha, by móc powiedzieć Benowi, że zabiłam „jedną Penelope Cruz”. Na myśl o tym uśmiecham się sama do siebie. Ale nawet te wspominki nie są w stanie przyspieszyć upływu czasu. Włączam romantyczną komedię z Kate Hudson, ale nie da się na to patrzeć. Po ogromnym samolocie niesie się stękanie, pokasływanie, chrząkanie, sapanie, ciche rozmowy i chrapanie. Wszyscy się ożywiają, kiedy obsługa podaje pierwszy posiłek.

– Proszę – mówi bas, stawiając przede mną granatową tackę.

Widzę na niej mnóstwo jedzenia, które całkiem apetycznie się prezentuje. Nagle siedzący obok mężczyzna odwraca się do mnie.

– Niech pani tylko na to spojrzysz – mówi.

Jego żona przewraca oczami, a następnie rozpoczyna konsumpcję. Patrę na tackę.

– Wygląda całkiem apetycznie – stwierdzam.

– No ale czy widzi pani, co nam zaserwowali? – ciągnie tamten.

Ponownie spoglądam na jedzenie i próbuję rozwikłać zagadkę. Mężczyzna kieruje biały plastikowy widelczyk w stronę tacki.

– Białe pieczywo, makaron, czerwone mięso i naszpikowany cukrem deser – wyjaśnia. – To przecież produkty wywołujące zaparcie. – Przysuwa się bliżej. – Linie lotnicze robią wszystko, żebyśmy nie korzystali z toalet. Zwłaszcza jeśli chodzi o dwójkę. Takim jedzeniem fundują nam zatwardzenie. Pewnie nigdy się pani nad tym nie zastanawiała.

Mężczyzna puszcza do mnie oczko i smaruje bułeczkę masłem.

Nic sobie nie robię z zatwardzenia i pochłaniam wszystko, bardziej dla zabicia czasu niż z głodu. Po kolacji serwują kawę. Kiedy mój sąsiad otrzymuje swój kubeczek, ponownie zwraca się do mnie.

– To też powoduje zaparcie.

Uśmiecham się i unoszę ręce w geście triumfu.

– Co panią sprowadza do Kanady? – pyta po chwili.

– Przyjaciel. Pochodzą państwo z Kanady? – Kiwam głową w stronę mężczyzny i jego żony.

– *Oh yeah* – odpowiada mężczyzna. Brzmi to prawie jak szwedzkie *Åh ja*.

– Z Kelowna. Jakies trzy godziny jazdy od Vancouver.

– Byli państwo na wakacjach w Anglii?

– Nie – mówi tamten i rozmowa nagle się urywa.

Wyjmuję kupiony na Heathrow przewodnik Lonely Planet o Kolumbii Brytyjskiej. To moja pierwsza podróż do Ameryki Północnej, ale wykarmiona amerykańską telewizyjną paszą mam wrażenie, że wiodłam tam równoległy żywot. Przynajmniej w Stanach. O Kanadzie wiem mniej, ale przecież widziałam *Na lodowym szlaku*. A w dzieciństwie pochłaniałam *Anię z Zielonego Wzgórza*. Stąd moje pragnienie, by odwiedzić Kanadę i jak Ania napić się *raspberry cordial soda*, cokolwiek to jest. Przez prawie dwie godziny czytam o tym, co należy zrobić, jeśli zostanie się zaatakowanym przez niedźwiedzia, a także o miejscach o nazwach Kamloops i Banff. Podziwiam też zdjęcia pokrytych śniegiem górskich szczytów. Nadchodzi pora na kolejny posiłek. Ponieważ para obok mnie śpi, jem tylko ja. Pokonaliśmy już tyle stref czasowych, że nie mam pojęcia, czy to śniadanie, obiad czy kolacja. Próbuje zasnąć, ale bezskutecznie. Na małym ekranie pokazującym trasę widzę, że przelatujemy właśnie nad otwartym morzem. Wtedy przychodzi mi do głowy początek porywającego opowiadania, które po prostu muszę napisać: o grupie chłopców, których samolot rozbija się na bezludnej wyspie. Ale zanim rozwinę tę historię, z westchnieniem przypominam sobie, że William Golding stworzył już *Władcę much*. Ben ma rację – może powinnam napisać coś inspirowanego swoim życiem. Idę do toalety, żeby rozruszać nogi. Pod drzwiami stoi kilka osób przypominających zbiegowisko nędznych dusz z *Dawnych podróży lotniczych*. Transstewardesa i jej koleżanka po fachu przygotowują dzbanki z kawą, szepcząc coś między sobą. Gdzieś zaczyna kwilić dziecko. W samolocie panuje zaduch, a warkot silnika robi się coraz bardziej donośny. Stewardesy serwują wodę i sok pomarańczowy.

Ostatnie godziny podróży mijają mi pod znakiem ścierpniętego ciała i obolałych nóg. Podają nam jeszcze jeden posiłek. Narasta we mnie uczucie klaustrofobii. Próbuje zasnąć, ale i tym razem bezskutecznie. Mój fotel przeistacza się w miniaturowe więzienie. Przewodnik Lonely Planet zaczyna mnie nudzić. Bezmyślnie gapię się na kolejne komedie. W dolnych kończynach czuję pulsujący ból. Ta podróż nigdy się nie skończy. Aż nagle samolot zaczyna schodzić do lądowania.

Sąsiad trąca mnie łokciem i kiwa głową w stronę okna.

– Kanada – mówi, jakby cel podróży był dotąd nieznany.

Wyciągam szyję i próbuję wyjrzeć przez okno. Dostrzegam jedynie drzewa w brązowym kolorze.

– Sądziłam, że w Kanadzie rosną głównie sosny – mówię.

– To właśnie sosny – wyjaśnia kobieta i są to jej pierwsze słowa podczas całego lotu.

– Brązowe? – dziwię się.

Mężczyzna i kobieta patrzą na mnie i potakują.

– *Oh yeah* – potwierdza kobieta. *Åh ja.* – To wina korników. Przez nie uschła ponad połowa drzew w Kolumbii Brytyjskiej. Mówi się, że to największa inwazja szkodników na świecie. Zimy są obecnie zbyt ciepłe, żeby robale mogły wyginąć.

Jestem tak zszokowana, że nie potrafię nic z siebie wydusić. Na dole wciąż widać jedynie brązowe lasy.

– I wszystkie te drzewa są martwe? – pytam.

Mężczyzna i kobieta potakują.

– Ale dlaczego nikt o tym nie pisze? – dziwię się. – To przecież sensacja. Największa inwazja szkodników na świecie. Połowa drzew obumarła. *Straszne.*

Kobieta wzrusza ramionami.

– Eee, Kanada nikogo nie interesuje – mówi.

Ze złością spoglądam na przewodnik pełen zdjęć zielonych lasów. Do końca lotu nie patrzę już przez okno. Jestem w szoku i nie potrafię zaakceptować uschniętych drzew i korników w Kolumbii Brytyjskiej.

W końcu lądujemy i podobni do żywych trupów wytaczamy się z samolotu. Nogi tak mnie boją, że najchętniej wpełzłabym do rękawa lotniczego. Jest

pochmurnie, zegar na lotnisku pokazuje, że jest za dwadzieścia jedenasta. Przez chwilę stoję nieruchomo i zastanawiam się, czy to jedenasta rano czy wieczorem. Po długim locie i ponaddwudziestoczterogodzinnym braku snu czas wydaje się mętным i względным pojęciem. Na drżących nogach zaczynam poruszać się w tym samym kierunku co pozostali. Mam lekkie mdłości.

– Paszport proszę.

Podaję dokument krótko ostrzyżonemu mężczyźnie za pancerną szybą. Uśmiecham się do pierwszego poznanego w Kanadzie Kanadyjczyka. On jest jednak niewzruszony.

– Co panią sprowadza do Kanady? – pyta.

– Przyjechałam w odwiedziny do przyjaciela.

– Nazwisko i adres tej osoby?

– On... Nazywa się Ben Richards i mieszka przy 1348 Commercial Drive. Tu, w Vancouver.

Czy tylko mi się wydaje, czy mężczyzna jakoś dziwnie reaguje na słowa Commercial Drive?

– Jaka relacja łączy państwa?

Mam ochotę obrócić się do Pakistańczyka za mną i zapytać, czy temu facetowi faktycznie wolno zadawać takie pytania. Ale tylko przybliżam się do szyby, żeby nikt inny mnie nie usłyszał.

– Jesteśmy kochankami – mówię, czerwieniąc się, ale raczej z wściekłości, że zadał mi tak osobiste pytanie, niż ze wstydu.

Mężczyzna patrzy na mnie przez chwilę.

– Skąd pani przyleciała?

– Z Wiednia – odpowiadam. – Z Austrii. Miałam międzylądowanie w Londynie.

– Dlaczego leciała pani z Wiednia, skoro ma pani szwedzki paszport?

– Bo tam mieszkam.

– Czym się pani zajmuje?

– Uczę języka angielskiego.

– Czy zamierza pani podjąć w Kanadzie pracę?

– Nie – odpowiadam. – Kanadyjczycy już dobrze znają angielski, oczywiście poza tymi francuskojęzycznymi.

Od razu uświadamiam sobie, że ten żarcik był zupełnie niepotrzebny. Ostrzyżony przygląda mi się uważnie.

– To chyba dość niegrzeczny komentarz?

Energicznie potrząsam głową, policzki mnie palą.

– Przepraszam – kajam się. – Nie zamierzam podejmować pracy podczas swojego pobytu w Kanadzie. Przepraszam.

– Ile ma pani ze sobą pieniędzy?

– Dwieście dolarów kanadyjskich w gotówce – wyjąkuję. – I kartę Visa.

– Z jakiego źródła pochodzą te pieniądze?

Z handlu ludźmi w Mołdawii, mówię. W myślach. Zamiast tego odpowiadam:

– Z kursów języka angielskiego, które prowadzę. Dla firmy Berlitz. Jestem, jak wspomniałam, nauczycielką języka angielskiego.

Trzęsą mi się nogi, kiedy wreszcie dostaję pieczętkę w paszporcie i mogę pójść po walizkę. Jestem niemiłe zaskoczona tym, jak przyjęli mnie mieszkańcy Kanady. W myślach ochrzaniam Bena za to, że Kanadyjczycy wcale nie są tak uprzejmi, jak ich opisywał. Ben odpowiada, że trafiłam po prostu na idiotę, który poprawia sobie samopoczucie tym, że zachowuje się wobec innych jak dupek. Jest mi coraz bardziej niedobrze. Po odebraniu walizki wchodzę do wielkiej hali i próbuję znaleźć bezpośredni pociąg do Vancouver. Ulga i radość wywołane faktem przybycia do Kanady mieszają się ze zmęczeniem i jet lagiem, który z każdą minutą coraz bardziej mi doskwiera. Wszystko wydaje mi się nieco surrealistyczne. Jestem przekonana, że mówię w zwolnionym tempie, kiedy pytam kobietę w punkcie informacyjnym, gdzie mogę kupić bilet na pociąg. Nagle przychodzi mi do głowy przerażająca myśl. *Wszystko tu jest do góry nogami!* Vancouver leży po drugiej stronie kuli ziemskiej. Jestem wywrócona do góry nogami. Albo przewrócona na lewą stronę. A może odwrotnie. Albo i coś zupełnie innego. Wszystko. Jest. W. Złym. Miejscu. Prawie rzucam się na ziemię, żeby się jej przytrzymać. Jakimś nadludzkim wysiłkiem udaje mi się zająć miejsce na niebieskim siedzeniu w pociągu. Chociaż nigdy nie zażywałam LSD, jestem przekonana, że taki właśnie wywołuje efekt. *Jak wszyscy wokół mnie mogą udawać, że to normalne?* Kurczowo trzymam się poręczy siedzenia, żeby nie odlecieć w stronę sufitu. Albo podłogi.

Zmuszam się do tego, by podziwiać miasto – za oknem widać drapacze chmur, a w oddali ośnieżone szczyty. Jednak podczas podróży pociągiem odczuwam jedynie mdłości i przypominające halucynacje skutki jet lagu.

Kiedy wysiadam na ostatniej stacji i wchodzę na schody ruchome, zauważam go i od razu się ożywiam. Czuję dzieciinną radość i z trudem powstrzymuję się od chichotu. Mam ochotę złapać przechodzącą obok bizneswoman i pokazać palcem PRAWDZIWEGO INDIANINA. Indianina! Oni istnieją! Wiedziałam oczywiście, że w Ameryce Północnej żyją Indianie, ale co innego zobaczyć takiego na żywo. Dostrzega, że się na niego gapię, i podchodzi do mnie. Dopiero teraz widzę, jak sfatygowane jest jego ubranie i że z paska zwisają mu trzy puste plastikowe butelki. Kiedy otwiera usta, okazuje się, że brakuje mu dwóch zębów.

– Msz mże fajkę? – mamrocze.

Kręcę głową. Rozczarowany człapie w stronę najbliższego kosza na śmieci. Moja radość topnieje. Zanim opuszczę dworzec, zauważam kolejnego żebrzącego Indianina.

Jadę do hotelu Buchanan, w którym zabukowałam pokój za siedemdziesiąt dziewięć dolarów kanadyjskich za noc. Wyposażenie składa się z łóżka z kwiecistą narzutą, stołu, szafy, telewizora i małej umywalki. W oknie wiszą firanki pasujące do kapy. Łazienkę i ubikację dzielę z dwoma innymi pokojami. Wokół mnie panuje zadziwiająca cisza.

Nie wolno mi zasnąć. We wszystkich przewodnikach radzą, żeby od razu przestawić się na czas lokalny. Ponieważ nie ma jeszcze czternastej, muszę przez parę godzin wytrzymać w pozycji pionowej. Na 1348 Commercial Drive chcę pojechać dopiero wtedy, kiedy się porządnie wyśpię. Postanawiam więc pozwiedzać teraz miasto.

– Czy chce pani mapę? – pyta recepcjonista azjatyckiego pochodzenia.

Kręcę głową.

– Nie, dziękuję, mam już to – pokazuję przewodnik Lonely Planet.

Przez kilka godzin wałęsam się po mieście. W Stanley Parku podziwiam ogromny totem, a na West Endzie wysokościowce. Wszystko wydaje się dziwnie znajome. Najpierw zrzucam to na karb jet lagu, aż wreszcie zdaję sobie sprawę, że wszystkie te miejsca znam z amerykańskich filmów klasy B, do których zdjęcia robiono właśnie w Vancouver. Na przekór moim wyobrażeniom, że ludzie w Ameryce Północnej mają nadwagę, wszyscy tu wyglądają normalnie, ba, są wręcz podejrzenie wysportowani.

Niebo wciąż jest zachmurzone, w końcu zaczyna mżyć. Kupuję babeczkę i naparstek z motywem perzu, żeby być jak mieszkanka Vancouver. Stopy mnie boją, ale nie przerywam spaceru, bo wiem, że padnę, jak tylko dotrę do hotelu. Odwiedzam malownicze Gastown i zaglądam do kilku galerii z maskami wykonanymi przez rdzennych mieszkańców kraju. A potem trafiam do piekła.

Ulicę, przed którą się znalazłam, zaludniają zombie. Gdziekolwiek się obejrzę, widzę przypominające kościotrupy stworzenia, które powłóczą nogami i wędrują bez celu. Wszyscy są jacyś szarawi, a wzrok mają wlepiony w ziemię. Niektórzy pchają wózki na zakupy wypełnione plastikowymi torbami. Chorobliwie otyły mężczyzna indiańskiego pochodzenia, pierwszy otyły człowiek, jakiego tu widzę, nadjeżdża swoim elektrycznie napędzanym wózkiem inwalidzkim i gdybym w ostatniej chwili nie odskoczyła, przejechałby mi po stopach. Jednak zamiast zawrócić, idę dalej. Na każdym rogu stoi z pół tuzina osób w łachmanach. Niektórzy siedzą na kartonach, rozmawiają i częstują się papierosami. Jakiś mężczyzna w długim brudnym płaszczu zadaje mi pytanie, którego nie rozumiem. Przechodzę obok innego typu z tatuażami na czole, który właśnie wbija strzykawkę w szyję leżącej na ziemi kobiety z zamkniętymi oczami.

– O mój Boże, co jej jest? – wykrzykuję.

Mężczyzna mnie ignoruje. Odpowiada mi za to stojący obok facet w bluzie z kapturem.

– *Juggin'* – chrząka.

Koleś w bluzie przypala papierosa i podaje go temu ze strzykawką, tak aby mógł się zaciągnąć, nie przerywając wstrzykiwania płynu. Dopiero teraz widzę, że leżąca na ziemi kobieta to jeszcze nastolatka. Ma tak chude nogi, że jej kolana wydają się nieproporcjonalnie duże. Przez dziurę w brudnych dżinsach przeziera paskudna rana. Przyśpieszam kroku. Chcę stąd uciec. Do

hotelu. Nie, do Wiednia. Do mojego mieszkania i do Optimusa. Nie chcę tu być. Tyle tylko, że się zgubiłam. A w dodatku jest mi niedobrze. Oblatuje mnie strach.

Wchodzę w jakąś boczną uliczkę i zauważam chłopaka z czapeczką założoną daszkiem do tyłu. Siedzi na chodniku. Obok niego leży osmalona łyżka i zapalniczka. Strzykawką zasysa brudną wodę z kałuży. Robię zwrot w tył. Jakaś siwowłosa kobieta w brązowych dresach prawie przejeżdża mnie swoim elektrycznym wózkiem. Co to ma być? Jakaś pieprzona inwazja elektrycznych wózków inwalidzkich? Nieco dalej zajął się kubeł na śmieci. Cuchnie palonym plastikiem i nie da się oddychać. Nagle nie mogę sobie przypomnieć, z której strony przyszłam.

– Wszystko w porządku?

Prawie podskakuję, kiedy czuję, jak ktoś chwyta mnie za ramię. Wyrasta przede mną krzepka kobieta z okrągłą jak księżyc w pełni twarzą. Na jej jasnoniebieskiej wiatrówce widnieje napis *Vancouver Volunteer Corps*.

– Zabłądziłam – mówię. – Tam jest facet, który zamierza wstrzyknąć sobie wodę z kałuży. Ktoś go musi powstrzymać.

– Gdzie jest pani hotel? – pyta kobieta.

– Na West Endzie.

Kobieta bierze mnie pod ramię i prowadzi w przeciwnym kierunku.

– Znajdziemy pani taksówkę – mówi szorstko. – Ma pani pieniądze?

Przytakuję.

– Co to za miejsce?

– Downtown East Side. Zwane także Junk Town, Skid Row albo Crack Town.

– Strasznie dużo tu ćpunów – stwierdzam.

– Są niegroźni – mówi kobieta. – Przynajmniej w ciągu dnia. Uważać trzeba raczej na handlarzy narkotyków. Zresztą Skid Row wcale nie jest najgorsze. Nie była pani w Surrey.

– Ale dlaczego policja nic z tym nie robi?

Jakiś mężczyzna bez koszulki z piwnym brzuszkiem, pchający wypełniony po brzegi wózek na zakupy, wita się z moją towarzyszką.

– Cześć, Al – odpowiada mu. – Co mają zrobić? Jest ich zbyt wielu. Dlatego my im pomagamy.

Myślę o tamtym wytatuowanym mężczyźnie i kobiecie leżącej na ziemi.

– Co to takiego *juggling*?

– To wstrzykiwanie heroiny bezpośrednio w tętnicę szyjną. Liczą, że będą mieli lepszy i szybszy odlot. Zazwyczaj jednak dostają udaru albo doznają uszkodzeń mózgu. Ćpuny są raczej mało rozgarnięte. W przeciwnym razie nie byłiby ćpunami.

Kobieta macha ręką, podjeżdża taksówka. Zaczęło się ściemniać.

– West End – mówi kobieta do taksówkarza, gdy ten opuszcza szybę.

– Dziękuję za pomoc.

– Miłego pobytu w Vancouver – mówi kobieta z uśmiechem.

Po czym odwraca się i idzie w kierunku, z którego przyszłyśmy. Chyba czuje ulgę, że w końcu się mnie pozbyła.

Taksówkarz pyta, skąd przyjechałam.

– Z Wiednia – odpowiadam.

– Ach, te kanały – wzdycha z rozmarzeniem.

Pod McDonaldem na Commercial Drive stoi para młodych hipisów. Trzymają się za ręce i patrzą na ludzi w restauracji. Dziewczyna ma włosy ostrzyżone na krótko, a chłopak kitkę i dzinsy dzwony.

Nie mogę przestać się na nich gapić. W Wiedniu nie ma hipisów. A jeśli kiedykolwiek istnieli, zapewne szybko zostali wytępieni. Podobnie jak chwasty. Za pomocą operetek i *Sachertorte*. W ogóle nie mogę sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek widziałam prawdziwego hipisa. A teraz mam przed sobą aż dwójkę. Chłopak wymalował sobie nawet czarnym mazakiem na dzinsowej kurtce wielką pacyfę. Nagle zaczynają walić w okna McDonalda.

- Świnie!
- Oprawcy!
- Mordercy!
- Hipokryci!

Niektórzy z gości restauracji podnoszą wzrok, żeby sprawdzić, skąd dobiega hałas.

- Nie wiecie, co jecie?! – wrzeszczy dziewczyna.
- Jak możecie żreć w tym gównianym miejscu?! – krzyczy chłopak. – Przecież McDonald’s wycina lasy tropikalne!
- Dlaczego ze wszystkich knajp na tej ulicy wybieracie akurat tę?
- Zjadacie naszą planetę!

Wzrusza mnie ich zaangażowanie. Dla mojego pokolenia bierność to oczywista postawa, więc gdy widzę ich pasję, ich protest, łzy napływają mi do oczu. Mam ochotę dołączyć do nich, choć moje hasła byłyby zgoła odmienne.

Krzyczałabym: „Przestańcie używać hasła *I’m lovin’ it!* Nie mówi się o uczuciach w czasie teraźniejszym ciągłym, wy cholerni ignoranci językowi! Prawidłowa forma to *I love it!*”.

Jakiś siedzący w restauracji czterdziestolatek pokazuje dzieciakom

środkowy palec, po czym wraca do lektury gazety i popijania kawy z papierowego kubeczka. Pozostali goście dalej jedzą, ignorując tę dwójkę, która dalej wali w szybę i wykrzykuje swoje hasła. Młodzi odchodzą dopiero wtedy, gdy pracownik restauracji zaczyna wygrażać im miotłą, jakby byli upartymi gołębiami. Na odchodnym chłopak unosi dwa palce na znak pokoju.

Commercial Drive jest długa i szeroka. McDonald to wyjątek, pełno tu wegańskich knajp i sklepów z preparatami homeopatycznymi, a ludzie stanowią mieszaninę rozmaitych narodowości. Po ulicy przechadza się dwóch mężczyzn w odblaskowych kamizelkach i zbiera coś z ziemi specjalnymi chwytakami. Najpierw sądzę, że to po prostu śmieci. Ale nie – to zużyte strzykawki. Niebo jest równie zachmurzone co poprzedniego dnia. Wciąż jest mi niedobrze z powodu jet lagu. Mam wrażenie, że niewidzialne siły naciskają na moje ciało ze wszystkich stron.

Gdy hipisi znikają mi z oczu, kieruję się w stronę, gdzie powinien się znajdować numer 1348. Nagle wyrasta przede mną bezdomny i podnosi z chodnika papierosa. Zwraca się do mnie, prezentując swoje trofeum:

– O, fajka! Szedłem sobie i miałem nadzieję, że znajdę szluga. No i znalazłem! – Zamyka oczy i zaczyna się modlić. – Sto dolarów, sto dolarów – mamrocze.

– Powodzenia – mówię z uśmiechem.

Ruszam dalej. Pod numerem 1302 mieści się klinika akupunktury, gdzie można nabyć również chińskie leki. W sklepie siedzi Azjatka w białym fartuchu i gapi się przez okno. Pozostałe lokale to głównie domy mieszkalne. Do większości z nich prowadzą drzwi w różnych kolorach, a w jednym z okien wisi transparent z cytatem z Kena Keseya: *You're either on the bus or off the bus*¹. Pod 1324 mieści się księgarnia z literaturą LGBTQ. Serce zaczyna mi mocniej bić. Dostrzegam czarny baldachim, który widziałam na Google View. Podchodzę bliżej i zauważam, że napis *Caffé Amici* został zamalowany, choć nadal mieści się tu kawiarnia. Ciekawe, jak dawno zostało wykonane tamto zdjęcie. Do lata pozostało kilka miesięcy, więc drzewa jeszcze się nie zazieleniły. Poza tym budynki są o wiele bardziej sfatygowane niż na zdjęciu.

Serce wali mi jak szalone. Docieram pod numer 1348. Kiedyś mieściła się tu pralnia chemiczna, obecnie nieczynna. Na ścianie obok wisi automat telefoniczny, a nad nim tabliczka z napisem *Bell*. Podchodzę bliżej. Słuchawka zwisa ku ziemi, wszystko jest osmalone i pobazgrane, a klawisze

wysmarowane są jakąś kleistą mazią, której nie zamierzam się bliżej przyglądać. Ostrożnie odwieszam słuchawkę.

Przez kilka minut stoję przy telefonie. Na zdjęciu w Google View nie było pralni chemicznej ani automatu telefonicznego. Teraz jednak wydaje mi się to oczywiste. Jakaś część mnie przez cały czas wiedziała, że pod 1348 Commercial Drive nie odnajdę Bena. To był tylko jakiś sen wariata. Trzymanie się brzytwy przez tonącego. Po raz pierwszy dociera do mnie – jak uderzenie obuchem w głowę – że nigdy go już nie zobaczę i nigdy się nie dowiem, dlaczego odszedł. Coś we mnie pęka. Mam ochotę wrzasnąć: GDZIE JESTEŚ?! DLACZEGO MNIE OKŁAMAŁEŚ?! MÓWIŁEŚ PRZECIEŻ, ŻE NIE ODCZEPISZ SIĘ ODE MNIE DO KOŃCA ŻYCIA!

Nogi się pode mną uginają. Kulę się przy budce telefonicznej. Mijający mnie ludzie nie zwracają na mnie uwagi. Jestem dla nich jeszcze jednym wrakiem na Commercial Drive.

1. Ang. „Jesteś w autobusie albo poza autobusem”. [\[wróć\]](#)

Kolejne godziny mijają mi jak we śnie. Na ciężkich nogach próbuję wrócić do hotelu. Ale w pociągu zmieniam zdanie, wysiadam na przypadkowej stacji i zaczynam iść w nieznanym kierunku. Nic już nie ma znaczenia. Równie dobrze mogę pojechać do Skid Row i wstrzyknąć sobie w szyję wodę z kałuży. Przez kilka godzin włóczę się bez celu. W końcu jakimś cudem trafiam do hotelu.

Przez kolejne trzy dni opuszczam swój pokój tylko po to, żeby zrobić zakupy. Płaczę, śpię, oglądam telewizję, płaczę, gapię się na kwieciste zasłonki, jem niewymagające podgrzania potrawy i znów trochę popłakuję. Czwartego dnia – piątego w Vancouver – nie mam już siły płakać. Nie jestem też w stanie przełknąć więcej krakersów i hummusu. Z ulgą i zdziwieniem odkrywam, że minął mi jet lag. Nie mogę usiedzieć w miejscu. Samolot powrotny do Wiednia mam dopiero za siedem dni.

Na dole w recepcji proszę Azjatę o koc, bo ostatniej nocy zmarzłam.

– Oczywiście – odpowiada. – A tak przy okazji: dziś grupa gości hotelowych wyjeżdża na wycieczkę, żeby popatrzeć na wieloryby. Może jest pani zainteresowana?

Milczę przez chwilę. Myśl o konieczności przebywania z innymi ludźmi, do tego obcymi, jest dla mnie, delikatnie mówiąc, obezwładniająca. Podobnie jak o gadce szmatce, za którą płacą mi w Berlitzu. Jednocześnie chciałabym zobaczyć wieloryba, po tym jak już zaliczyłam Indian, hipisów i ćpunów.

– Jasne. – Sama siebie zaskakuję tą odpowiedzią.

Grupa składa się ze mnie, pary Australijczyków, Dave’a i Lee, oraz Cornellii, Holenderki z dredami. Recepcjonista udziela nam drobiazgowych instrukcji, a my wkładamy na siebie kilka warstw ubrań i przez ponad godzinę jedziemy podmiejskim autobusem. Dave, Lee i Cornelia prowadzą ożywioną rozmowę, ja milczę. Zmechacona lalka ze skarpetki byłaby pewnie równie

interesująca i powabna jak ja teraz. Zresztą i tak nie chce mi się wdawać w ich globtroterskie przechwałki, polegające głównie na porównywaniu miejsc, które dotychczas odwiedzili.

– A więc podróżowałaś po Azji? – pyta Lee Cornelie.

Dziewczyna kiwa głową.

– Po Wietnamie – mówi. – I Kambodży.

– Super – mówi Lee. – Też byliśmy w Wietnamie.

– Niesamowicie tam, co?

– Genialnie.

– Magiczny kraj.

– Mega.

Dave zaczyna grzebać w swoim aparacie. Przeczuję najgorsze. Zamierza pewnie pokazać zdjęcia z wyprawy do Wietnamu.

– Nigdzie nie spotkałam tak fantastycznych ludzi jak w Wietnamie – zachwyca się Cornelia.

– Mega – mówi Lee.

– Tacy *autentyczni*.

Jeszcze intensywniej wpatruję się w mijane przedmieścia. Pragnę zagłuszyć tę paplaninę. Siłą też powstrzymuję się od zaproponowania Lee tysiąca synonimów słowa „mega”.

W którymś momencie moi towarzysze zaczynają dyskutować na temat kanadyjskiej waluty.

– W Australii od prawie dwudziestu lat mamy plastikowe banknoty – mówi Dave. – Dopiero teraz reszta świata zaczyna brać z nas przykład.

– Są takie dziwaczne – mówi Cornelia i maca jasnobrązowy kanadyjski banknot studolarowy. – W porównaniu z euro. Sztuczne i gumiate.

Dave bierze od niej banknot.

– Wiedziałaś, że są nie do zdarcia? – mówi Dave i unosi studolarówkę Cornelia. A następnie rozrywa banknot na dwie części. Przez kilka sekund wszyscy się na niego gapią. Dave blednie, a Lee wybucha śmiechem. –

O Boże! O Boże! – powtarza Dave. – Tak mi przykro. Teoretycznie powinien był wytrzymać. Proszę, weź mój.

Pośpiesznie wyjmuję z portfela studolarówkę i daję ją Cornelia. Odwracam głowę do okna, ale nie mogę powstrzymać uśmiechu.

Wysiadamy w miasteczku, w którym roi się od sklepików z souvenirami, udających małe szopy rybackie. Nazwa każdego z nich zaczyna się od

„kapitan” – *Capt’n*. Płacimy za wycieczkę i wysłuchujemy dziesięciminutowej prezentacji na temat zasad zachowania na łodzi i tego, co *być może* – przewodnik nie daje żadnej gwarancji – zobaczymy. Dave i Lee uśmiechają się do siebie raz po raz, co sprawia, że tym bardziej czuję się jak mała samotna pacynka. Teraz dodatkowo odziana w czerwoną kamizelkę ratunkową.

Płyniemy między wysepkami w stronę otwartego morza. Siedzę w swojej czerwonej kamizelce i marzę o tym, żeby był tu ze mną Ben. Jaki jest sens w przeżywaniu takich chwil, skoro nie ma się nikogo, komu można byłoby powiedzieć „Pamiętasz, jak...”? Naraz na jednej z mijanych wysepek zauważam bielika amerykańskiego. Siedzi na gałęzi powalonego drzewa. Chyba tylko ja go dostrzegam. Ponieważ tkwi tam zupełnie nieruchomo, zaczynam podejrzewać, że biuro turystyczne umieściło na drzewie sztucznego ptaka. Wtedy orzeł nieznacznie przechylił głowę w lewo. Pozostali w łodzi też go dostrzegają i zaczynają robić zdjęcia. W duchu rozkoszuję się tą chwilą, kiedy byliśmy tylko ja i bielik.

W powietrzu czuć chłód, więc ogrzewam dłonie między udami. Przepływamy obok położonych nad wodą luksusowych willi. Niektóre są z drewna, inne to futurystyczne betonowe bryły. Teraz już wszyscy mają czerwone nosy. Kiedy chmury się rozpierzchają, pasażerowie grzebią w torbach w poszukiwaniu okularów przeciwsłonecznych.

– Znajdujemy się teraz na amerykańskich wodach terytorialnych – informuje przewodnik.

Jedna z kobiet natychmiast spogląda na wodę. Gdyby Ben był ze mną, pobawilibyśmy się w zgadywanie, czego tam wypatruje. Widzę trzy baraszkuje foki. Przewodnik chyba trochę niepokoi się faktem, że jeszcze nie udało nam się zobaczyć wielorybów. Mówi coś do wąsatego sternika w okularach przeciwsłonecznych, ale ten tylko wzrusza ramionami.

– Tam! – wykrzykuje ktoś nagle.

Odwracam się i wstrzymuję oddech. Jakieś trzydzieści metrów od nas płyną orki. Mężczyzna w okularach wyłącza silnik. Na łodzi zapada cisza. Nikt nie ma odwagi się poruszyć. Czarne płetwy różnej wielkości bezszelestnie unoszą się to w górę, to w dół. Nieco dalej płynie największy okaz. Dwumetrowa płetwa grzbietowa i czarny jak węgiel niekończący się grzbiet przecinają tafłę wody. Słychać głośnie sapanie, gdy orki rozwierają nozdrza, by zaczerpnąć powietrza.

Łódź zaczyna płynąć za stadem, trzymając się od niego w bezpiecznej odległości. Robi się jeszcze zimniej. Nagle słyhać głośny plusk. Wszyscy odwracają się w przeciwnym kierunku. Widzimy dwie orki. Gdy ich czarno-białe cielska wystrzeliwiają pionowo z wody, obracają się i na powrót rzucają do wody, widzimy je prawie w całej okazałości. Nieco dalej wyskakuje jeszcze jeden, trzeci okaz. Smaga wodę tylną płetwą i znika w kaskadzie wody.

– Są dziś w zabawowym nastroju – mówi przewodnik.

Wokół mnie pstrykają migawki aparatów, od czasu do czasu słyhać też radosne okrzyki.

– Niesamowite, co? – mówi Cornelia i uśmiecha się do mnie.

Dopiero wtedy zauważam, że po policzkach płyną mi łzy.

W autobusie powrotnym do Vancouver panuje cisza. Jestem wdzięczna, że nawet Mega-Lee nie chce psuć nastroju zbędną paplaniną. Po jakimś czasie zasypia na ramieniu Dave'a przeglądającego zdjęcia w aparacie.

Gdy zbliżamy się do hotelu, słyszę, jak Dave, Lee i Cornelia rozmawiają o wyprawie pod namiot i o tym, dokąd warto się wybrać. Natychmiast węższą okazję.

– Mogę jechać z wami? – pytam zniecka. – Znam jedno świetne miejsce. Odpowiada mi długie milczenie. W tym czasie starzeję się o jakieś pięć lat.

– Jasne – mówi w końcu Cornelia.

– Masz namiot? – pyta Lee.

Kręcę głową.

– Możemy korzystać z mojego – proponuje Cornelia. – Jest dwuosobowy.

– A śpiwór masz? – pyta Dave.

– Nie – odpowiadam. – Ale mogę sobie kupić.

– Facet w recepcji polecał Diamond Lake Park niedaleko Okanagan Lake – mówi Dave.

– Nie – mówię szybko. – Jedźmy nad Bouleau Lake. Tam jest o wiele fajniej. Zdecydowanie Bouleau Lake. Nie pożałujecie. Tam jest naprawdę fantastycznie.

– Byłaś tam? Myślałem, że nigdy wcześniej nie odwiedzałaś Kanady? – pyta Dave.

– Jako dorosła – wyjaśniam. – Nigdy *jako dorosła*. Wtedy byłam kimś zupełnie innym.

– Kimś innym? – powtarza Lee. – Czyżbyś urodziła się jako chłopiec?

– Chodzi mi raczej o to, że ludzie się zmieniają. Inni są jako dzieci i inni jako dorośli. Albo nastolatki – wyjaśniam lekko poirytowana. – Na przykład teraz nie jestem już skłonna oddać życia za Kevina z Backstreet Boys. Bouleau

Lake jest w każdym razie super.

Dave nie wygląda na przekonanego. Tak czy siak postanawiamy wyjechać nazajutrz o jedenastej rano.

Kiedy wracam do pokoju hotelowego, serce wali mi ze zdenerwowania i napięcia. Pojadę nad Bouleau Lake! Bouleau Lake – tam, gdzie bywał Ben. Nie mam prawa jazdy i nie byłabym w stanie dostać się tam na własną rękę. Może istnieje niewielka szansa – jakakolwiek – że uda mi się trafić na jego ślad. I nagle coś sobie uświadamiam: będę spać pod namiotem. Nigdy wcześniej tego nie doświadczyłam. Jestem typem domatorki. Nic mnie tak nie stresuje jak słoneczny, bezchmurny dzień, ponieważ wiem, że powinnam wtedy przebywać na świeżym powietrzu i robić rzeczy, które należy robić na świeżym powietrzu (Pociągnąć łyceczek z solidnej piersiówki? Rzucić okiem na kompas i zapatrzeć się w horyzont? Stwierdzić, że tu jest „prawdziwe życie”?). W moim idealnym świecie nieustannie pada deszcz. Najbliżej natury byłam chyba wtedy, kiedy z Rebeccą i Jezusem-Jakobem odbyłam pieszą wycieczkę po Lainzer Tiergarten. Żeby zaimponować im znajomością natury, prawie uśmierciłam Jezusa-Jakoba, kiedy pomyliłam konwalie z czosnkiem niedźwiedzim. A teraz wybieram się pod namiot.

Za piętnaście jedenasta wszyscy są gotowi do wyjazdu. Dave wynajął samochód z napędem na cztery koła, do którego ładujemy namioty, śpiwory, plecaki (ich), torbę (moją), siatki z prowiantem i akcesoria kempingowe. Uparłam się, że kupię jedzenie dla wszystkich. Dzięki Corneli pożyzyłam śpiwór od Włoszki z czwartego piętra. Dave i Lee siadają z przodu, a ja i Cornelia z tyłu. Dave wstukuje do GPS-u współrzędne.

– Kiedy dojedziemy? – pytam, gdy tylko Dave rusza spod hotelu.

Cornelia chichocze i mówi:

– Muszę siku.

– Dzieciaki, macie się natychmiast uspokoić, inaczej nie dostaniecie cukierków – napomina nas z przedniego siedzenia Lee.

Patrzmy po sobie z Cornelią. Milczymy przez kilka sekund.

– Kiedy dojedziemy? – mówimy prawie jednocześnie.

– Cholerne bachory – mruczy Dave.

Podczas podróży coraz bardziej się denerwuję. Z Benem przecież nigdy nie wiadomo. A co, jeśli Bouleau Lake okaże się radioaktywnym wysypiskiem

śmieci? Albo jest niedostępne dla turystów? I co właściwie mam nadzieję tam odnaleźć?

Trzy godziny później jesteśmy już prawie na miejscu. Zdążyliśmy przejechać przez pokryte śniegiem góry i teren przypominający pustynię. Niestety, widzieliśmy także ciągnące się kilometrami brązowe lasy. Ofiary zabójczego kornika. W wielu miejscach wciąż leżą zasy śniegu. Lee się wścieka, kiedy zauważa, że zjadłyśmy z Cornelią wszystkie truskawkowe twizzlery, ale poza tym podróż mija nam w miłej atmosferze. Dowiedziałam się, że Dave i Lee, oprócz tego, że są zaręczeni, są także dalekim kuzynostwem, a Cornelia ma sklep z ekologicznymi ciuchami w Rotterdamie.

– Niezłe wygwizdowo – mówi Cornelia, kiedy zjeżdżamy z głównej trasy i kierujemy się na Bouleau Lake. – Tak to wyglądało, kiedy tu ostatnio byłaś?

– Zdecydowanie tak – mówię najbardziej przekonująco, jak tylko potrafię.

Droga jest tak wyboista, że musimy się przytrzymywać w czasie jazdy. Ponad dwadzieścia minut jedziemy przez niemal dziewiczy las. Droga sprawia wrażenie, jakby od jakiegoś czasu była nieuczęszczana. Przez dłuższą chwilę suniemy wzdłuż stromego urwiska ponad niewielkim strumieniem.

– Widzieliście ten zardzewiały samochód na dole? – pytam z niepokojem.

Wygląda na to, że tylko ja go dostrzegłam. Połowa pojazdu była zarośnięta. Wyobraziłam sobie siedzące w nim cztery szkielety. Przypięte pasami, z pustymi opakowaniami po twizzlerach. Dave w milczeniu koncentruje się na drodze. Naraz skręcamy i zatrzymujemy się na otwartej przestrzeni nad jeziorem. Dotarliśmy na miejsce.

– Wow! – wykrzykuję.

Jeziro mieni się w słońcu. Wokół nas – na szczęście – wyłącznie zielone drzewa. Dave wysiada i sprawdza coś na przodzie auta. Rozprostowuję nogi i rozglądam się po okolicy. Czuję ulgę, że rzeczywiście jest tu ładnie. Na polanie o średnicy około dwudziestu metrów znajdują się trzy miejsca na ognisko. Powietrze jest chłodne i rześkie. Po zachodniej stronie leży jezioro, a z pozostałych trzech stron jesteśmy otoczeni przez las. Na drzewie ktoś przybił strzałkę z napisem *Toaleta*. Jesteśmy jedynymi gośćmi. Bena tu nie ma. Wiadomo. Ani mrówek formujących drogowskaz pokazujący, w którą stronę się udał. Wiadomo. A jednak cieszę się, że jestem w miejscu, które tak bardzo lubi.

Moi towarzysze, bardziej doświadczeni turyści, od razu zabierają się do rozstawiania namiotów. Chwytam jeden z pałaków i zaczynam wbijać go tam,

gdzie Cornelia rozłożyła płachtę namiotu.

– Co robisz? – pyta Cornelia.

– Rozbijam namiot – odpowiadam trochę niepewnie.

– Ten pałak powinien być w rogu – wyjaśnia. – Myślałam, że już wcześniej biwakowałam?

– Szwedzkie namioty są trochę inne. Nie ma w nich tylu kijków – wyjaśniam, wymachując namiotowymi akcesoriami.

– Nie ma sprawy – mówi Cornelia. – Robiłam to już tyle razy, że szybciej poradzę sobie sama.

Cieszę się, że nie muszę jej pomagać. Idę nad jezioro i sprawdzam temperaturę wody. Mam wrażenie, że zanurzam dłoń w przerębli. Na jeziorze dostrzegam ludzi w kajaku. Musieli rozbić obóz na innym kempingu. Machają do mnie. A ja im odmachuję. Znow machają. A ja ponownie im odmachuję. Czyli tak wygląda życie na kempingu, myślę, a w moim wielkomięjskim sercu topi się maleńki kawałek metalu.

Idziemy z Lee nazbierać chrustu. W słońcu jest na tyle ciepło, że można zdjąć kurtkę, w cieniu temperatura spada za to o jakieś piętnaście stopni.

– Ale super! – krzyczę.

– Co takiego? – pyta Lee.

– To. – Pokazuję na otaczający nas las. – Szukanie gałęzi!

Lee bacznie mi się przygląda.

– Okej – mówi w końcu.

Lee najwyraźniej nie jest osobą, z którą powinnam się dzielić swoją radością ze zbierania drewna.

Kilka godzin później płonie ognisko, a my przygotowujemy jedzenie. „My”, czyli Dave, Lee, Cornelia i ja tylko mu kibicujemy. Jemy pieczone ziemniaki, kukurydzę z ogniska oraz kiełbaski. Dave i Lee wypili już kilka piw, a my z Cornelią raczymy się butelką wina. Po tylu latach w Wiedniu ceny alkoholu w Kanadzie trochę mnie przerażają. Nie rozpoznałam żadnego z win, kupiłam więc to z najładniejszą etykietą. Zaczyna się ściemniać. Poza śpiewem pojedynczych ptaków wokół panuje cisza. Słyszać tylko trzask ognia.

– Przebywanie na łonie natury nie jest takie złe. – Omiatam wzrokiem jezioro.

– Prawda? – mówi Cornelia.

Dave wraca z ubikacji. Nie zapiął nawet spodni.

– Chyba słyszałam niedźwiedzia – mówi z ożywieniem.

– Po prostu *liczysz*, że zobaczymy niedźwiedzia – odpowiada Lee.

– W każdym razie trzymam w pogotowiu to – oświadcza Dave i z zawieszanej na pasku skórzanej pochwy wyjmuje nóż.

Cornelia grzebie w swoim plecaku.

– A ja mam gwizdek.

– Ja mogę go przestraszyć objaśnieniem różnicy między czasownikami przechodnimi a nieprzechodnimi – proponuję.

– Na pewno zadziała – stwierdza Dave i chowa nóż.

Otwieramy kolejną butelkę wina i grillujemy pianki cukrowe. Gadamy o piosenkach, których teksty ludzie często przekręcają. Opowiadam, jak przez kilka lat sądziłam, że Bob Marley śpiewa *No woman, no crime*¹. Z kolei Cornelia myślała, że Robert Palmer śpiewa *Might as well face it, you're a dick with a glove*².

– Wtedy jeszcze słabo znałam angielski. Ale oczywiście przekleństwa i owszem – tłumaczy się. – No i nigdy nie widziałam tytułu piosenki. Więc przez kilka lat sądziłam, że *dick in a glove* to angielskie określenie idioty. Zwłaszcza że Michael Jackson nosił jedną rękawiczkę.

– A co Robert Palmer mógłby mieć przeciwko Michaelowi Jacksonowi? – dziwi się Lee.

– Tego właśnie nigdy nie potrafiłam zrozumieć! – mówi Cornelia, potrząsając dreadami.

Śmieję się do łez. Wokół nas panuje zupełna ciemność, ale wyobrażam sobie, że w świetle z ogniska widzę siedzącego obok Bena. Patrzy na mnie i się uśmiecha. Wiem, co by sobie pomyślał. *W końcu*. Postanawiam, że jak tylko wrócę do Wiednia, odważę się zadzwonić do drzwi Elfriede Jelinek, żeby powiedzieć, jak bardzo ją podziwiam. Zapiszę się też do chóru i zacznę podróżować. Te rozmyślenia nastrajają mnie tak radośnie, że postanawiam wyznać, co naprawdę robię w Kanadzie.

– Chcecie wiedzieć, dlaczego przyjechałam do Kanady? – mówię, a wszyscy kiwają głowami. Więc opowiadam o sobie i Benie. Ale ich reakcja różni się od tej, na jaką liczyłam. Nikt nie zachwyca się romantyzmem całej sytuacji ani nie zapewnia mnie, że na pewno w końcu go znajdę. Wszyscy wydają się raczej skrepowani i milczą.

– Naprawdę nie zostawił żadnej wiadomości? – pyta w końcu Lee.

Kręcę głową. Cornelia wzrusza ramionami.

– *A good fuck is worth fighting for* ³ – mówi w rzeczowy sposób, typowy dla Holenderek z dreadami.

1. Ang. „Nie kobieto, nie przestępstwo” – błędnie zrozumiany wers piosenki Boba Marleya *No woman, no cry* („Nie, kobieto, nie płacz”). [\[wróć\]](#)
2. Ang. „Spójrz prawdzie w oczy, jesteś fiutkiem z rękawiczką” – błędnie zrozumiany wers piosenki, powinno być „*Might as well face it, you're addicted to love*” („Spójrz prawdzie w oczy, jesteś uzależniony od miłości”). [\[wróć\]](#)
3. Ang. „Warto powalczyć o dobre bzykanko”. [\[wróć\]](#)

Ni stąd, ni zowąd pojawia się furgonetka pomalowana we wzór zebry. Przez dłuższą chwilę gapimy się na to czarno-białe zjawisko. Po trzydziestu sekundach z samochodu wysiada dwóch chłopaków. Jeden z nich ma niesamowitą fryzurę na czeskiego piłkarza. Nigdy wcześniej takiej nie widziałam. U góry włosy są krótkie i sterczą jak lśniące gwoździe, po czym miękko opadają przy szyi.

– *Hej!* – krzyczy czeski piłkarz.

– Cześć! – odkrzykuje Dave.

Ten z fryzurą i drugi, nieco niższy, podchodzą do nas.

– Czy możemy się przysiąść? – pyta czeski piłkarz. – Za późno już na rozpalanie własnego ogniska.

– Pewnie – odpowiada Dave.

– Niedługo idziemy spać – mówi Lee i rzuca Dave’owi wymowne spojrzenie.

Ten z nietypową fryzurą wskazuje na siebie.

– Jestem Duffy. A to mój brachol Adam.

Adam unosi rękę.

– Jestem Dave, a to Lee.

– Julia – przedstawiam się.

– Cornelia – mówi Cornelia.

Dopiero teraz zauważam, że zarówno Duffy, jak i Adam ledwo trzymają się na nogach. Ciekawe, który z nich prowadził. Nagle, jak w rosyjskim cyrku, z samochodu wysiada trzeci facet. Duffy i Adam witają go z aplauzem.

– Pickle! Obudziłeś się! – mówi Duffy i znów odwraca się do nas. – To Pickled Mike. Dziś zostawiła go żona.

Pickled Mike przeciera oczy i ciężko siada przy ognisku. Adam idzie do furgonetki i wraca ze sfatygowaną papierową torbą. Wyjmuje z niej piwo

i rozdaje. Ja postanawiam pozostać przy winie.

– Dlaczego mówią na ciebie Pickled Mike? – pytam.

– *Fuck*, a bo ja wiem – mamrocze Pickled Mike i otwiera piwo.

– A więc jesteście tu na rybach? – pyta Duffy.

Jako jedyny z całej trójki nie usiadł. Stoi z rozstawionymi nogami z piwem w dłoni i bacznie się nam przygląda.

– Nie – odpowiada Dave. – Na biwaku.

– Dwa namioty – konstatuje Duffy i kiwa głową w kierunku namiotów.

Ponieważ nie wiadomo, czy było to pytanie czy stwierdzenie, nikt nie odpowiada. Naraz Pickled Mike wstaje, idzie do samochodu i z hukiem zasuwają drzwi.

– Dzisiaj rzuciła go żona – mówi Duffy.

– Już to mówiłeś – odpowiada Dave.

– Zdzira – konstatuje Duffy.

Nowi goście wpłynęli na atmosferę przy ognisku. Nikt z nas nie wie, jak się zachować. Zauważam, że Adam gapi się na mnie i na Cornelie. Ze stojącego obok Lee papierowego talerzyka Duffy bierze niedojedzoną kolbę kukurydzy.

– Mogę ją dokończyć? – pyta.

– Jasne – mówi Lee z uśmiechem, który właściwie nie jest uśmiechem.

Duffy zaczyna ogryzać kolbę. Adam nadal nam się przygląda. W końcu pokazuje na nas palcem i się szczyrzy.

– A więc wy jesteście... no wiecie... – zaczyna.

– Z Europy? – podpowiadam mu. – Tak.

Adam chichocze.

– Nie – mówi. – Czy wy jesteście...

Znów nie kończy pytania.

– Członkiniami jakuzy? – kończę. – Nie.

Adam coraz bardziej zanosi się od śmiechu.

– Nie.

– Miłośniczkami dobrej kuchni? – podpowiadam. – Tak. Szczerze mówiąc, jeśli nie dokończysz pytania, możemy tak do rana.

– Czy wy jesteście... no wiecie... razem?

Duffy natychmiast odwraca się w naszą stronę.

– Lesby! Są! Seksowne! – wykrzykuje. – Rzygać mi się chce, jak widzę gejów, ale lesby... – Ciamka ustami. – Chodź do tatusia!

– Nie jesteśmy razem – ucinam. – I jesteśmy hetero.

Jakąś godzinę wcześniej Cornelia powiedziała, że jest zamężna z piętnaście lat młodszym Senegalczykiem, ale zamierza się z nim rozwieść, bo nie uprawiają już seksu z powodu jego uzależnienia od trawki. Adam jednak wciąż się uśmiecha, jakby mi nie wierzył. W tym momencie rozsuwają się drzwi furgonetki i wyskakuje z niej Pickled Mike. Z szerokim uśmiechem i gitarą.

– *Fuck* – mruczy Duffy. – Ma gitarę.

Pickled Mike siada przy ognisku i po raz pierwszy patrzy na nas.

– Johnny’ego Casha aresztowano za zrywanie kwiatów – mówi i zaczyna grać.

Duffy podnosi papierową torbę.

– Co to, kurde jest, Adam! – wrzeszczy i zgniata torbę.

– Co to, kurde jest, Duffy! – odwrzaskuje Adam.

Pickled Mike gra dalej i cicho podśpiewuje. Duffy pokazuje na Adama i obraca się do nas.

– Wiecie, co on ma za pracę? – pyta. – Zgadnijcie. Zgadnijcie.

Kręcimy głowami.

– Jest kucharzem w domu starców – mówi Duffy, parskając pogardliwie.

– Przynajmniej mam pracę – odgryza się Adam. – Ty za to...

– Jestem pieprzonym zawodowym snowboardzistą – przerywa mu Duffy.

– *Byłeś* – poprawia go Adam. – Ty za to zajmujesz się głównie swoją fryzurą.

Duffy purpurowieje, po czym rzuca się na brata. Dave, Lee, Cornelia i ja podrywamy się i robimy kilka kroków do tyłu. Duffy i Adam tarzają się po ziemi i okładają pięściami. Obaj stękają z bólu i wysiłku. Pickle Mike jak gdyby nigdy nic gra na gitarze.

Postanawiam zainterweniować.

– Przestańcie! Przestańcie! – wrzeszczę. – Dave, pomóż mi!

Podbiegamy do nich i próbujemy rozdzielić. Udaje nam się bez trudu i zaczynam podejrzewać, że bójka braci to było tylko przedstawienie.

– Dupek – mamrocze Adam.

– Dupek – mamrocze Duffy.

Wszyscy siadają przy ognisku i znów zapada cisza. Słysząc tylko gitarę Pickled Mike'a i jego pomrukiwanie. Żeby podreperować nastrój, pytam przybyszy, czy mają ochotę na wino. Wszyscy odpowiadają twierdząco i Adam przynosi z samochodu kilka papierowych kubków. Pickled Mike wyrzuca z jednego niedopałek, po czym nalewa sobie wina.

– Kiedyś miałem w aucie prawdziwy kubek, który świsnąłem ze Starbucksa – mówi Adam. – Ale potem ktoś mi go ukradł na stacji benzynowej. Ja piernicę, niżej chyba nie można upaść?

– Możecie się w waszych krajach hajtać? – pyta Duffy, upiwszy trochę wina.

– Nie jesteśmy razem – wyjaśnia Cornelia. – Ale tak, w Holandii homoseksualiści mogą brać ślub. W Szwecji zresztą też.

Pickled Mike od razu obrzuca nas spojrzeniem i pyta:

– Jesteście homo? Fajnie! Dobrze macie!

Nagle pędzi do samochodu i zasuwa drzwi.

Duffy rzuca wściekłe spojrzenie w stronę furgonetki.

– Skąpy gnój – mruczy. – Nie chce się z nikim podzielić koksem. Siedzi w samochodzie i sam wciąga dwudziestą kreskę. Gdyby go dziś nie zostawiła żona, dostałby ode mnie wpierdol.

– Dlaczego go rzuciła? – pytam.

– Bo ja wiem? Zawsze była dziwna – stwierdza Duffy. – Kiedy się hajtnęli,

ona miała czterdzieści dwa lata, a Pickle dwadzieścia pięć. Pracowała w banku, porządnie się ubierała i tak dalej. Ale w wolnym czasie zadawała się z dwudziestoletnimi koleśkami. Nie miała żadnych znajomych w swoim wieku. Jaka babka po czterdziestce nie ma żadnych znajomych?

– Cholernie dziwna baba – wtrąca Adam.

– Zawsze uważaliśmy, że jest jakaś pokręcona i męcząca, ale nic nie mówiliśmy, bo Pickle był cały szczęśliwy. Jeśli ktoś kogoś powinien był rzucić, to *on ją*.

Drzwi furgonetki znów się rozsuwają i z auta wyskakuje Pickled Mike. Ma nagi tors, a oczy większe niż przed kilkoma chwilami. Bije się w piersi jak goryl.

– Pickle! – skanduje Adam. – Pickle! Pickle! Pickle!

Pickled Mike wskazuje na Adama i uśmiecha się szeroko.

– Dobrze prawisz, przyjacielu – stwierdza.

Po czym zwraca się do mnie i Corneli.

– Jeśli macie zamiar się pomiziać, możecie zacząć w dowolnym momencie – zachęca nas.

Gadka o tym, że jesteśmy z Cornelią parą, zaczyna być już trochę męcząca. Niech kanadyjscy bracia Marx kontynuują wieczór beze mnie. Wstaję z zamiarem pójścia spać. Poza tym muszę siku. Stoję i czuję, że wszystko wokół wiruje. Wypiłam więcej, niż sądziłam.

– Kładziesz się? – pyta Cornelia.

Kiwam potakująco głową.

– Też zaraz przyjdę – mówi.

Adam, Duffy i Pickled Mike uśmiechają się do siebie porozumiewawczo.

Szukanie ubikacji byłoby w tej ciemności zachowaniem samobójczym, więc idę do najbliższego krzaczka pośród drzew za naszym namiotem. Zaledwie kilka metrów od ognia jest tak zimno, że cała się trzęsę. Zdejmuję spodnie i majtki i przytrzymuję się gałęzi, żeby nie wywinąć orła. Długo nic się nie dzieje, tak jakby mój organizm w zetknięciu z zimnem odmówił wydalania.

Co to za zapach? Zanim mój mózg zdąży to rozszyfrować, ciało rejestruje napływającą ku mnie falę odoru. Jest słodki i przypomina woń suchej trawy i moczu. Patrząc w górę i jakieś pięć metrów dalej widzę niedźwiedzia. Słyszę jego wilgotny oddech i nagle przestaję mieć problemy z sikaniem. Czytałam w przewodniku Lonely Planet, jak się zachować w podobnej sytuacji, ale teraz

nic nie pamiętam. Zaskoczenie przechodzi w przerażenie. Spojrzenie niedźwiedzia jest dziwnie obojętne, a jednocześnie skupione na celu. Już nie jestem pewna, czy słyszę sapanie niedźwiedzia czy własne. A może jedno i drugie. Ten zapach. Dziwaczny, zwierzęcy zapach – to moja jedyna, śmiesznie oczywista myśl. Nagle niedźwiedź staje na tylnych łapach. Jego futro jest zakurzone i zwisa luźno, jakby było o trzy rozmiary za duże. Zwierz prychnie i otwiera pysk. Wiem, że to zły znak. Nie chcę zginąć w Kanadzie. Rozszarpana przez niedźwiedzia, do tego z gołym tyłkiem. Zawsze miałam nadzieję, że przeniosę się na łono Abrahama w czasie miłej drzemki na łące. Słysząc odgłos łamanej gałęzi. Oboje z niedźwiedziem patrzymy w tamtym kierunku. To Pickled Mike. W blasku ogniska stoi z gołym torsem i wpatruje się z wściekłością w niedźwiedzia.

– ZOSTAW LESBĘ W SPOKOJU! – ryczy.

Po czym robi trzy duże kroki do przodu i wali zwierza z prawej strony w pysk. Świat zamiera. Przez kilka chwil tylko się na siebie gapią. Następnie niedźwiedź odwraca się i znika wśród drzew. Słysząc, jak gałęzie łamią się podczas jego pośpiesznej ucieczki.

Pickled Mike unosi prawą rękę i zaczyna biegać w koło, nucąc motyw z filmu *Rocky*. Ja wciąż kurczowo trzymam się gałęzi, z portkami opuszczonymi do kolan. W końcu jakimś cudem udaje mi się ją puścić.

– *Gonna fly now* – śpiewa Pickled Mike falsetem. – *Flying high now*¹.

Wstaję i podciągam spodnie. Ręce tak bardzo mi się trzęsą, że nie jestem w stanie zapiąć spodni. Czuję ucisk w piersiach, skóra mnie pali. Pozostali przyszli sprawdzić, co się stało.

– Co to, kurde, było? – zastanawia się Duffy.

– Niedźwiedź. Ale pokazałem mu, kim jest pan Miyagi – mówi Pickled Mike i boksuje powietrze jak postacie z filmów z wczesnych lat osiemdziesiątych.

Dygoczę i Cornelia musi mnie podtrzymywać w drodze do ogniska.

– A ja go nie widziałem – mówi Dave i załamany patrzy na las.

– Jak się czujesz? – pyta Lee.

Potrząsam głową.

– Nie wierzę, że prawie zostałam zaatakowana przez niedźwiedzia grizzly – mówię.

– Przez niedźwiedzia czarnego – poprawia mnie Pickled Mike.

– Aha – mówię z nutą rozczarowania. Mimo to postanawiam, że w moich przyszłych opowieściach będzie to nie niedźwiedź czarny, lecz grizzly.

– Gdyby to był grizzly, nie siedziałabyś tu teraz – mówi Duffy.

– Nie powinniśmy się stąd wynieść? – pyta Lee. – A co, jeśli tu wróci?

Adam i Duffy siadają przy ognisku.

– Nie wróci – mówi Adam. – Nie chce mieć z nami do czynienia, a my zdecydowanie nie chcemy mieć nic wspólnego z nim.

– Skąd ta pewność?

– Nie wróci – powtarza Duffy.

– Ale skąd ta pewność? – powtarza Lee.

Duffy patrzy na Lee przeciągle.

– Gdybym cię zdzielił w pysk, tobyś wróciła? Niedźwiedzie to nie pamiętliwe Żółwie Ninja. Nie odszedł po to, żeby zaplanować zemstę. A czy tam, skąd pochodzicie, macie dużo mściwych zwierząt? Kangurów, które knują podstępne plany?

Lee nie odpowiada. Adam robi wielkie oczy i nadyma policzki.

– Jestem misiem koala i zamierzam się zemścić – mówi piskliwym głosem. – Ale najpierw zjem trochę eukaliptusa. Powolutku.

Adam, Duffy i Pickled Mike pękają ze śmiechu, udając żadne zemsty australijskie zwierzęta.

– Jest jeszcze wino? – mówi w końcu Duffy, wyciera oczy i wyciąga przed siebie nogi.

Rano doliczam się na nogach siedemdziesięciu dwóch ukąszeń muszek, mimo iż poprzedniego wieczoru miałam na sobie spodnie. Wychodzę z namiotu i widzę, że Adam jest już na nogach. Płonie ognisko. Kemping jest zacieniony, a ziemia wciąż zamrznięta. Adam uśmiecha się do mnie.

– Pickle złowił trocie – mówi.

Na pieńku przy ognisku leżą w rzędzie trzy ryby.

– Kiedy? – pytam.

Otulam się kurtką.

– Dziś rano – mówi Adam. – A ja właśnie robię jajka po benedyktyńsku.

Nad ogniem pieką się ziemniaczane krokiety, a Adam ubija w rondelku sos holenderski. Rozglądam się po kempingu i widzę, że chłopaki posprzątały wszystkie śmiecie. W drzwiach zebrowej furgonetki siedzi Duffy. Pali i macha do mnie. Musiał się kąpać w jeziorze, bo jego ufryzowane włosy są wilgotne i zwisają poskręcane w sprężynki.

– W nocy słyszałam jakiś skowyt – mówię.

– To mogły być kojoty – stwierdza Adam.

– Albo wilki – rzuca Duffy z furgonetki i odgania jakiegoś owada.

Jemy wspólnie śniadanie. Pickled Mike, Adam i Duffy radzą, co jeszcze powinniśmy zobaczyć w drodze powrotnej do Vancouver. Wiem, że to naciągane, ale jednak pytam:

– Znacie Bena? Czasem tu przyjeżdża.

– Chodzi ci o ShortNoHairLimpDickBena? – pyta Duffy.

– Nie, ten jest wysoki. Bardzo wysoki. I ma ciemne, lekko kręcone włosy.
Adam patrzy na Duffy’ego.

– Może ma na myśli Benny’ego? – zastanawia się.

– Benny przeprowadził się do Manitoby – mówi Duffy. – I się wysterylizował.

– A Big Ben? Ale on zaczął łysieć.

– Do tego nie żyje. Nie pamiętasz? Rok temu miał wypadek samochodowy.

– Cholera. Zapomniałem. A jak się zwał jego brat...

Podczas gdy oni sobie tak gadają, ja zaczynam pakować nasze rzeczy.

Gdzieś za Merritt nieopatrznie zjeżdżamy z trasy i trafiamy do rezerwatu Indian. Tutejsze zabudowania to prawie wyłącznie jednopiętrowe rudery. Wszędzie widać skorodowane samochody pozbawione jednego lub więcej kół. Jeden z domów jest chyba sklecony z cienkich płyt wiórowych, teraz poszarzałych od niepogody. Wiele okien pozabijano deskami. Niemal przed wszystkimi domami sterczą przywiązane kundle. Szczekają i rzucają się w kierunku naszego samochodu tak zaciekle, aż zaczynam się bać, że się poduszą. W rezerwacie słychać tylko ogłuszające ujadanie psów, a jedynymi ludźmi, jakich tu widzimy, są mężczyzna z łopatą i mały chłopiec. Obaj stoją nieruchomo i patrzą na nas. Ich wzrok pełen jest nienawiści. W końcu opuszczamy rezerwat i odnajdujemy drogę. Długo jedziemy w milczeniu.

1. Ang. „Teraz odleczę. Lecę wysoko”. [\[wróć\]](#)

Dave i Lee wrócili do Australii, a Cornelia pojechała dalej do Seattle. Postanowiliśmy, że pozostaniemy w kontakcie. Cornelia obiecała, że odwiedzi mnie w Wiedniu. Już brakuje mi jej ciętego dowcipu oraz luzu Lee i Dave'a. Niestety, nie udało mi się odnaleźć Bena, nawet nie trafiłam na jego trop. Ale teraz mogę się przynajmniej pochwalić, że znam kogoś w Wonglepong w Queenslandzie. I chociaż wtedy na Donauinsel nie zgadzałam się z Benem i upierałam, że w pewnym wieku nie sposób poznać nowych przyjaciół, właśnie to mi się przytrafiło. I bardzo się cieszę.

Do mojego wyjazdu pozostały trzy dni. Niczym samotny, acz ambitny obłoczek robię rundkę autobusem wycieczkowym, jem *dim sum* w chińskiej dzielnicy i gapię się na ośmiornice w akwarium w Stanley Parku. Idę do kawiarni i zamawiam *raspberry cordial soda*. Nie mają pojęcia, o co mi chodzi, więc decyduję się na kawę.

W drodze do Muzeum Antropologicznego zauważam, że w pobliżu znajduje się Wreck Beach, o której wspominał Ben, a o której zupełnie zapomniałam. Ponieważ to mój pierwszy bezchmurny dzień w Vancouver, postanawiam pojechać na plażę. Wsiadając na przystanku, pytam o drogę kierowcę autobusu.

– Tam – odpowiada i wskazuje na las. – Trzeba zejść schodami w dół. Nie zmarznie pani?

Kierowca wybuchu śmiechem. Opatuliłam się szalem i mam ze sobą rękawiczki, więc kręcę głową i nie rozumiem, dlaczego dalej chichocze.

Schodzę w dół schodkami w lesie. Czasami jest tak stromo, że muszę się przytrzymywać poręczy, innym razem odległość między stopniami jest przyjemnie mała. Wokół rosną strzeliste daglezie. Schody nie mają końca. Na jakiejś tablicy czytam, że zejście składa się z czterystu osiemdziesięciu trzech stopni. W końcu docieram na plażę. Owiewa mnie ożywcza bryza.

– Dzień dobry – mówi jakiś głos. – Co słyszeć?

Obok przechodzi około siedemdziesięcioletni mężczyzna. Nie ma na sobie nic poza neonową zieloną saszetką nerka i sandałami.

– Dob... yyy – wyduszam i gapię się na jego pomarszczone pośladki.

Poza starszym panem i mną na plaży jest jeszcze pięć osób. Sześcioro z nas nie ma na sobie ubrań. Chce mi się śmiać. Jasne, ulubiona plaża Bena to plaża nudystów. Podchodzę bliżej wody i siadam na kamieniu, żeby popodziwiać widok i nacieszyć się tym miejscem, tak jak to robił Ben. Na drugim brzegu widać zabudowania, a za nimi pokryte śniegiem szczyty North Shore. Powietrze na Wreck Beach pachnie solą i wodorostami, a także marihuaną, co przywodzi mi na myśl Matthiasa i nasz związek. Zastanawiam się, czemu właściwie tak długo byliśmy razem. Dlaczego sądziłam, że miłość to walka i że „praca” nad związkiem to coś równie naturalnego jak harówka na zmiany w rosyjskiej kopalni uranu. Z Benem wszystko było całkiem proste, naturalne i oczywiste. Do czasu, aż znikł i wszystko zgasło.

Patrzę w stronę dziadka z saszetką. Siedzi na ręczniku kawałek dalej. Mimo że zaszło słońce, chowa się pod baldachimem z batiku w liliowym kolorze. Podchodzę do niego.

– Przepraszam – mówię. – Mogłabym pana o coś zapytać?

Facet uśmiecha się. Jego policzki i brodę porasta biała, szorstka szczecina.

– Jasne. Co by pani chciała wiedzieć?

Robię wszystko, żeby nie patrzeć na jego penis, który przypomina przygnębiony serdelek ukryty pod białym puszkim nad pomarszczonymi jądrami. Temperatura na plaży wynosi nie więcej niż dziesięć stopni.

– Zastanawiam się, czy spotkał pan tu kiedyś chłopaka o imieniu Ben? – pytam. – Jest bardzo wysoki. I ma ciemne włosy. Czasami też brodę. Jest... bardzo energiczny.

Dziadek wybucha śmiechem.

– Jasne, że znam Bena – mówi.

Ledwo łapię oddech i mam ochotę się skulić.

– Wszyscy znają Benjy-Benito – ciągnie. – Zabawiał nas tu każdego lata. Razem ze swoimi kumplami. Naprawdę fajny koleś. Czasami paliliśmy razem jointy.

Nie mam odwagi zadać następnego pytania.

– Bywał tu może ostatnio? W ostatnich miesiącach?

Dziadek kręci głową i drapie się po białych włoskach porastających klatkę

piersiową. Paznokcie ma długie i poźółkłe.

– Nie, nie widziałem go od paru lat. Z tego, co wiem, wyprowadził się do TO.

Stary dalej głośno skrobie się po kłacie.

– TO.? Co to takiego?

– Toronto.

– A nie do Europy?

Kręci głową. Nie, trop nie może się urywać w tym miejscu. W końcu mężczyzna przestaje się drapać po swojej zapadłej klatce piersiowej. Z saszetki wyjmuje balsam do ust.

– Zna pan może kogoś, kto wie o nim coś więcej? Z kim mogłabym porozmawiać? – pytam.

– Z tego, co wiem, przesiadywał w Vito's na Commercial Drive – mówi w końcu. – Zawsze może pani tam popytać.

Dokładnie rozsmarowuje balsam na ustach.

– Zna pan może jego nazwisko?

– Nie. Wołaliśmy na niego Ben, Benju albo Benjy-Benito. Proszę nie pytać dlaczego. Tak czy siak, zawsze potrafił mnie rozśmieszyć.

Dziękuję staremu za pomoc i prawie biegnę w stronę schodków. Przeklinam samą siebie, że zupełnie zapomniałam o Wreck Beach. Głupota przybiera wiele form. Teraz akurat kogoś, kto musi kilka razy przystawać, żeby zaczerpnąć oddechu.

Znów jestem na Commercial Drive. Szybko odnajduję Vito's. To jakaś pomazana graffiti spelunka. Otwierają dopiero za dwie godziny. Chodzę po znajdującym się obok sklepiku. Tak długo oglądam towary, aż kasjer, Wietnamczyk, zaczyna na mnie dziwnie patrzeć. Słucham dziewczyny z przedziałkiem grającej na gitarze elektrycznej. Skręca mnie z głodu, więc kupuję kawałek pizzy z pesto w jakimś Uncle Fatih's. Chodzę w tę i z powrotem pod Vito's niczym podenerwowany pies. W końcu widzę, jak koleś z ufarbowanymi na czarno włosami otwiera bar i szybko wślizguje się do środka. Po upływie dziesięciu minut ponownie otwiera drzwi i z zakratowanych okien zaczyna zdejmować drewniane płyty. W uszach ma czarne koła, w nosie podkowę, a w każdej brwi co najmniej po trzy kolczyki.

– Przepraszam – zaczynam.

– Tak?

Prostuje się i skupia na mnie całą uwagę.

– Zastanawiam się, czy znasz może chłopaka, na którego wołają Ben, Benjy albo Benjy-Benito – mówię. – Taki wysoki brunet.

Facet wzrusza lekko ramionami.

– Przychodzi tu pewnie wielu Benów. Za dużo mamy klientów, żebym pamiętał imiona wszystkich. Niestety.

Chyba naprawdę jest mu przykro, że nie może mi pomóc, przez co zaczyna mi się zbierać na płacz.

– Jesteś pewien? Ben – powtarzam. – Zmarł mu kuzyn.

– Mamy tu mnóstwo klientów. Więc kto wie? Może i tu zagląda. *Sorry*. A dlaczego go szukasz?

– Bez konkretnego powodu – odpowiadam. – Chciałam się tylko przywitać.

Chłopak patrzy na mnie. Zauważam, że w jedną z dziurek na jego brwi wdało się zakażenie.

– Naprawdę żałuję, że nie mogę ci pomóc.

– Ja też – mówię drżącym głosem.

Naraz chłopak wyjmuje telefon komórkowy.

– Czekaaj, przedzwonię do Sherri – mówi. – Ona ma lepszą pamięć.

Chłopak przekazuje mi telefon, żebym mogła opisać Sherri swoją sprawę. W tym czasie czarnowłosa pochyła się, podnosi drewniane płyty i wnosi je do środka.

– Chyba kojarzę gościa – głos po drugiej stronie słuchawki brzmi niepewnie. – I jeśli dobrze pamiętam, ta paczka – on, jego kuzyn i pozostali – lubili przesiadywać też w Donny's w Burnaby. Zdaję się, że mieszkali gdzieś w pobliżu. Może tam sprawdzić?

Dziękuję Sherri i pytam chłopaka, jak dostać się do Donny's w Burnaby. Dowiedziawszy się, że dojadę tam pociągiem Skytrain, prawie stamtąd wybiegam.

Podczas podróży jestem spięta, zniecierpliwiona i wciąż przebieram nogami. Mam tak niewiele czasu, a jednak czuję, że jestem już blisko i wkrótce będę mogła prosić Bena o przebaczenie. Przygryzam policzek i obserwuję zmieniający się za oknem krajobraz: nędzne, rozpadające się rudery przeplatają się z bogatymi, otynkowanymi na biało domami i sklepami. Naprzeciwko mnie siada młoda dziewczyna. Włosy ma ufarbowane na blond i jest ubrana w różową bluzę z wizerunkiem Hello Kitty oraz czarne sprane dzinsy. Ma przekłuty jeden z sutków – trudno tego nie zauważyć, bo kształt kolczyka odznacza się na lewym uchu Hello Kitty. Kiedy zaczyna grzebać w torebce, zauważam jej paznokcie.

– Niezłe! – wykrzykuję.

Dziewczyna uśmiecha się i pokazuje paznokcie.

– Prawda? – W jej głosie brzmi radość.

Wysuwa dłonie, żebym mogła się lepiej przyjrzeć. Każdy paznokieć zdobi maleńkie kolorowe zdjęcie uśmiechniętych ludzi i psa.

– To moja mama, ojczym, młodszy brat, dwie przyrodnie siostry, kuzyn, trójka znajomych oraz mój pies. Teraz żałuję, że tę tutaj sobie dziabnęłam. –

Pokazuje lewy palec wskazujący, na którym widnieje wizerunek dziewczyny z długimi ciemnymi włosami. – Już się nie przyjaźnimy. Okazała się wredną zdzirą.

– To tak, jakby mieć na paznokciach album fotograficzny – stwierdzam. – Nie wiedziałam, że coś podobnego jest w ogóle możliwe.

– Teraz to hit. Robią takie na Kingsway w Burnaby – mówi dziewczyna. – Pokażesz mi swoje?

– Moje co?

– No, paznokcie – mówi dziewczyna.

Trochę zakłopotana prezentuję moje niepomalowane, obcięte na krótko paznokcie.

– Nudyści – mówię.

Dziewczyna uśmiecha się.

– W takim razie powinny się wybrać na Wreck Beach – mówi.

– Właśnie stamtąd wracam – mówię. – Ale było trochę zimno.

Zauważam, że dziewczyna ma plastikowe kolczyki z wizerunkiem bohaterów bajek Disneya. W lewym uchu Goofy’ego, a w prawym Myszkę Miki.

– Wreck Beach jest przereklamowana – mówi, przewracając oczami. – Człowiek namęczy się na tych schodach, a potem spotyka tylko śmierdzących hipisów z cyckami do pasa i piwnymi brzucholami. A na dodatek można się napatoczyć na policję kontrolującą, czy nikt nie pije alkoholu. Ostatnio kiedy tam byłam, jakiś dziad walił konia, gapiąc się na mnie i moje koleżanki. Inna sprawa, że potem dostał za to wpierdziel.

– Kiedyś w metrze w Wiedniu, gdzie mieszkam, jeden facet siedzący tylko kilka miejsc dalej ode mnie zaczął się onanizować – opowiadam. – Kiedy spostrzegł, że to widzę, stwierdził tylko, że to nie potrwa długo.

– Jakby to mogło poprawić sytuację – mówi dziewczyna.

– No właśnie. – Kiwam głową.

– Jordana jestem – przedstawia się.

– Julia.

Dziewczyna rozpromienia się.

– Twoje imię też zaczyna się na literę „J”. Ekstra!

Uśmiecham się. Ach, gdyby moje życie było tak nieskomplikowane, żeby cieszyły mnie aliteracje w imionach... Jordana przegląda się w swojej komórce. Z pokrytej brokatem tubki nakłada różowy błyszczek. Chociaż nosi się w stylu nastolatki, jest już pod trzydziestkę.

– Jadę na randkę z naprawdę fajnym kołesiem – mówi, ostrożnie wycierając okruszek mascary spod oka. – Muszę się dobrze prezentować.

– Świetnie.

– Naprawdę niezły towar. Więc żeby go zdobyć, muszę podkręcić

wzmacniacz do jedenastu. Jeśli wiesz, co mam na myśli?

– *Spinal Tap* – odpowiadam z uśmiechem.

Wstaje.

– Też tu wysiadasz? – pyta.

– Nie... dopiero na następnej stacji – mówię.

– No dobra, to miłego wieczoru.

– Tobie też. No i powodzenia.

Patrzę na Jordana i uśmiecham się sama do siebie. Rozmawiałam w pociągu z obcą osobą. Ben byłby ze mnie dumny.

Wysiadam na kolejnej stacji. Chłopakowi z baru musiało się chyba coś pokręcić, bo nigdzie nie widzę żadnego Donny's. Pytam jakiegoś przechodnia o drogę i dowiaduję się, że powinnam była wysiąść na poprzedniej stacji. Ponieważ nie wiem, kiedy odjeżdża następny pociąg, postanawiam pójść piechotą. To ładna okolica, czuć klimat małego miasteczka. Domy nie sprawiają wrażenia luksusowych, ale są schludne i zadbane. Jakaś starsza pani pieląca grządki pozdrawia mnie, a ja ją.

Pokonuję kilka kilometrów. Jest mi tak gorąco, że zdejmuję szalik i trzymam go w dłoniach. Mijam motel, który wygląda jak dekoracja amerykańskiego filmu. Jest i neon, w którym popsuły się niektóre litery, i biegnący ponad rzeką most. Po drugiej stronie widać Toma Hortonsa, Starbucksa oraz kilka knajp i sklepów. Wszystko jest bezosobowe, a jednocześnie przyjazne.

W końcu dostrzegam prostokątny budynek opatrzony czarnym szyldem „Donny's”. Przedemną rozciąga się prawie zupełnie pusty parking. Zatrzymuję się na moment, żeby zaczerpnąć oddechu. Powietrze jest ciepłe, a niebo przybrało jasnioletową barwę, taką, jaką ma tuż przed zapadnięciem zmroku. Wtedy otwierają się drzwi do baru i moim oczom ukazuje się poznana w pociągu Jordana. Obejmuje w pasie idącego obok niej chłopaka i śmieje się z czegoś, co właśnie powiedział. Tym chłopakiem jest Ben.

Natychmiast chowam się za jakimś beżowym samochodem. Eksplodujący we mnie ból sprawia, że świat ciemnieje mi przed oczami, i muszę oprzeć się o zakurzone auto. Nie, to nie może się znów wydarzyć. Historia nie może się powtórzyć. Ben i Matthias. Matthias i Ben. Matthias siedzący przy stole w kuchni i opowiadający, jak to na zajęciach oglądał aparat fotograficzny marki Mamiya, podczas gdy w rzeczywistości od miesięcy nie pojawiał się na uczelni. Ben, który powiedział, że będziemy ze sobą do końca życia, a który teraz jest z kimś innym. Nie, proszę, tylko nie to. Pali mnie całe ciało, z trudem łapię oddech. Nie sądziłam, że moje uczucia są w stanie wywołać autentyczne fizyczne cierpienie. Przechodząca obok kobieta dziwnie na mnie patrzy. Prostuję się i rzucam biegiem do pociągu. Pędzę i pędzę. Jakies nastolatki coś za mną krzyczą. Mijam Starbucksa i Tima Hortonsa.

Jestem z siebie dumna, bo w pociągu udaje mi się powstrzymać od płaczu. Nie płaczę w drodze do hotelu. Nie płaczę, kiedy witam się z recepcjonistą ani kiedy idę po schodach do pokoju. Nie płaczę, kiedy się rozbieram, biorę prysznic, wkładam piżamę i myję zęby. Pozwalam sobie na to dopiero wtedy, kiedy wciskam się między nocny stolik i łóżko.

To ostatnia lekcja Bettiny, Steffi i Hansa. Steffi wręcza mi czekoladki Merci.

– Dziękuję – mówię.

Bettina, cała purpurowa, mamrocze coś i podaje mi plik zszytych kartek ze zdjęciami, które przedstawiają Bettinę, jej rodzinę oraz dwa koty. Każdą fotografię opatrzyła krótkim podpisem po angielsku. Na ostatniej stronie widnieje zdjęcie uśmiechniętej Bettiny z lampką prosecco w dłoni i te słowa:

Kochana Julio! Jesteś najlepszą nauczycielką! Twoje lekcje były moim szczęściem. Byłaś bardzo przydatna. Dziękuję! Bettina.

Długo przytulam Bettinę i próbuję się nie rozpłakać. Steffi wydaje się poirytowana faktem, że jej koleżanka z kursu obdarowała mnie tak osobistym prezentem. Hans przygląda się zdjęciu Bettiny z kieliszkiem. Po czym wskazuje na mnie.

– Bettina została przez ciebie... alkohol... – mówi, ale nie potrafi znaleźć właściwego słowa.

– Bettina została przeze mnie *alkoholiczką*? – kończę za niego. – Mam taką nadzieję. Byleby tylko potrafiła mówić po angielsku.

Hans podaje mi dłoń, po czym trójka byłych uczniów na zawsze znika z mojego życia. Hans jako jedyny znalazł pracę. Steffi i Bettina dalej będą się błąkać po bezładnym bagnie bezrobocia.

Wyglądam przez okna pokryte smugami brudu i sprawdzam, czy zanoszą się na długo wyczekiwany deszcz. Jednak niebo wciąż jest błękitne. Na parapecie leży zgnieciona kartka i kilka spinaczy. Ostrożnie wkładam do torby pudełko czekoladek i prezent od Bettiny.

Nie ma nic nudniejszego niż człowiek ze złamanym sercem. Ponieważ to tyczy się także mnie, od powrotu z Kanady unikam ludzi. Po lekcjach chodzę na siłownię, spędzam czas ze swoim towarzyszem Netflixem, czytam i śpię. Bardzo dużo śpię. A kiedy nie śpię, rozmyślam głównie o tym, jak to

przyjemnie będzie móc zasnąć.

Dziś jednak postanawiam zrobić coś, co już dawno powinnam była zrobić: po zajęciach idę kupić azalię w doniczce. Letni upał przepędził z ulic tubylców, a na ich miejsce przyciągnął jedzących lody turystów o pełnych udręki spojrzeniach. Jest tak gorąco, że można się poruszać jedynie w zwolnionym tempie. Na szczęście budynki w siódmej dzielnicy są dość wysokie i rzucają przyjemny cień, ale wszędzie jest pełno kurzu. Zdecydowanym krokiem wchodzę na drugie piętro i naciskam dzwonek przy mieszkaniu, którego okna wyglądają na ulicę. Jakaś część mnie ma nadzieję, że nikogo nie zastanę. Jednak za matową szybą od razu dostrzegam cień. Ktoś przekręca dwa zamki i otwiera drzwi.

– *Grüss Gott* – mówię. – Przepraszam, że przeszkadzam. Mam na imię Julia i mieszkam na czwartym piętrze. Chciałam tylko to pani podarować i powiedzieć, że bardzo panią podziwiam.

Podaję jej doniczkę zawiniętą w biały, przewiązany zieloną wstążeczką papier. Elfriede Jelinek jest drobna i elegancka. Ma umalowane oczy, a usta pociągnięte jasnoczerwoną szminką.

– Dziękuję – mówi, uradowana, a jednocześnie zaskoczona.

Po czym zamyka drzwi.

Stoję tam jak palant. Nie zrozumiała mojego niemieckiego? A może sądziła, że jestem z poczty kwiatowej? Czy nie wpadła na to, że powinna zaprosić mnie do swojego mieszkania, abyśmy się lepiej poznały? Nie musimy się przecież od razu zaprzyjaźniać, ale mogłaby mi opowiedzieć, jak to jest być pisarką, coś o życiu albo o mężczyznach, którzy odmienią mój los. Wzburzona jej okrucieństwem, już, już zamierzam ponownie zadzwonić do jej drzwi i zmusić ją, by powiedziała mi coś głębokiego. Słyszę, jak ktoś otwiera drzwi do budynku od strony ulicy. W końcu odchodzę spod drzwi zdrajczyni Jelinek i wdrapuję się na swoje piętro.

Nagle na klatce schodowej doznaję objawienia. Wiem już, o czym napiszę. W końcu wszystko staje się jasne. Elfriede mi jednak pomogła. Moja opowieść będzie o nauczycielce angielskiego. Pewnego razu siada sobie na ławce na Karlsplatzu. Wtem ktoś się do niej przysiadł i odtąd nic w jej życiu nie będzie już takie samo.

Kiedy wchodzę do mieszkania, zauważam, że coś jest nie tak. Po pierwsze, Optimus nie czeka na mnie w przedpokoju. Po drugie, w środku inaczej pachnie. Wchodzę do sypialni i staję jak wryta. W moim łóżku śpi Ben.

Sterczę tak przez dłuższą chwilę i tylko mu się przyglądam. Podciął włosy i przytył parę kilogramów od czasu, kiedy widziałam go w Kanadzie. Pod ścianą stoi jego plecak, na drzwiach do sypialni wisi wilgotny ręcznik.

– Ben – mówię.

Żadnej reakcji.

– Ben – powtarzam trochę głośniej.

W końcu otwiera oczy i uśmiecha się.

– Cześć.

Podciąga się na łóżku i opiera o ścianę.

– Lot do Bratysławy był opóźniony – mówi, ziewając. – Nie jeździły już autobusy do Wiednia, więc musiałem się przespać na lotnisku i poczekać na pierwszy autobus. Niestety, po drodze się popsuł, więc musieliśmy wysiąść i poczekać na inny.

Stoję nieruchomo. Ben podnosi kołdrę.

– Chodź tu do mnie. – Uśmiecha się. – O rany, ale się za tobą stęskniłem.

– Wynoś się.

W jego oczach dostrzegam panikę.

– Wynoś się z mojego mieszkania – powtarzam. – Nie zamierzam tego robić. Udawać, że przez ostatnie miesiące nic się nie wydarzyło. Wynocha! Wynoś się z mojego mieszkania i z mojego życia.

Ben siada.

– Dzwoniłem. – Jest zdenerwowany. – I to kilka razy. Ale ty nigdy nie odbierałaś.

– Dzwoniłeś raz – mówię.

Ben się zastanawia.

– Jestem pewien, że kilka razy.

– Jestem pewna, że nie.

Gdy go widzę, powraca ból, który od czasu Kanady bardzo skutecznie zagłuszałam.

– Dlaczego znikłeś? – pytam. – Z powodu tamtej kłótni?

Ben przez chwilę milczy.

– Tak! To znaczy początkowo z tego powodu – odpowiada wreszcie. – Wiadomo, byłem wkurzony. Kto by nie był? Przez jakiś czas pomieszkiwałem u Pawła z pracy. A potem wróciłem do Kanady.

– Skąd miałeś pieniądze? Ze szpachlowania ścian?

– Jasne, że nie – syczy Ben. – Ojciec mi pożyczył. I nie był tym faktem zachwycony. Ale już spłaciłem dług.

– Sądziłam, że nie żyjesz! Albo że jesteś w więzieniu. Albo w szpitalu. Albo jeszcze coś innego, do cholery! – wrzeszczę.

– Zwiąłem do Kanady dla ciebie! – mówi Ben. – Dla ciebie!

Czekam na ciąg dalszy.

– Nie masz pojęcia, jakie to uczucie być bez kasy – ciągnie Ben. – Co z tego, że jest się w jednym z najpiękniejszych miast na świecie, skoro na nic nie można sobie pozwolić? Wyjechałem do Kanady, żeby zarobić. Na nas. Tu, w Wiedniu, miałem szansę tylko na gówniane fuchy. Jako clown w przebraniu Mozarta albo u Polaków niepłacących za połowę roboty.

– Ale to przecież twoja wina! To ty wyruszyłeś na włóczęgę po świecie. To ty nie chciałeś nic robić ze swoim życiem. No i co? Czy w Kanadzie znalazłeś jakąś fantastyczną i dobrze płatną posadę?

– W każdym razie mogłem tam szybko dużo zarobić. Dość miałem tego, że ciągle za mnie płacisz.

Jestem tak wściekła, że z trudem łapię oddech.

– Jak śmiesz obwiniać mnie o to, że pracuję i zarabiam? – mówię. – Po stokroć przepraszam, że za ciebie płaciłam i chciałam, żebyśmy się dobrze bawili. Tyle że zabawa *kosztuje*! Jedynym powodem, dla którego cię to drażni, jest fakt, że jestem kobietą, prawda? Ale wiesz co? Mnie to nie przeszkadzało! Dlaczego nie skontaktowałeś się ze mną albo chociaż nie zostawiłeś jakiejś wiadomości? Normalni ludzie tak się nie zachowują! Tak postępują tylko dupki!

– Nie rób tego! – mówi Ben. – Nie przekreślaj moich słów. Przepraszam, że się nie odzywałem. Chciałem, ale... postanowiłem poczekać, aż coś zarobię. Aby ci udowodnić, że potrafię o nas zadbać. Myślisz, że nie zauważyłem, jak ci przeszkadza utrzymywanie mnie? Chociaż temu zaprzeczasz? Kanada to nie

była bajka.

Myślę o Jordanie. Ale nawet podczas najokrutniejszych tortur nie przyznałabym się do tego, że byłam w Kanadzie i że go z nią widziałam.

– Chcesz, żebym mówił o swoich uczuciach – ciągnie Ben. – I żeby wszyscy zachowywali się tak, jak tego oczekujesz. Najlepiej pisz dla nas krótkie scenariusze. Wtedy będziemy wiedzieć, co mamy mówić i robić.

Przez chwilę oboje milczymy. Burza między nami nieco ucichła.

– Całkiem niezły pomysł – mówię w końcu. – Może wtedy ludzie przestaną mnie wciąż rozczarowywać.

– Dorośnij – mówi Ben. W jego głosie nie słychać już złości. – Tak naprawdę nie chcesz być z kimś takim jak ja, tylko z jakimś austriackim bankierem.

– Z austriackim *bankierem*?

– Sama tak mówiłaś. Zaczęłaś się ze mną spotykać z braku laku. Pamiętam, jak to powiedziałaś, gdy byliśmy na Donauinsel. Po prostu tykał twój biologiczny zegar.

Otwieram usta ze zdziwienia.

– Ben – mówię. – Nie to miałam na myśli. I nigdy nie wspominałam nic o swoim zegarze biologicznym. Niewiarygodne, że przez cały czas sądziłaś, iż jestem z tobą z powodu mojego wieku. Przecież ja nawet nie jestem stara!

Ben chyba przetrawia to, co właśnie powiedziałam. Oboje milczymy.

– Przejechałem dla ciebie pół świata – mówi w końcu. – Rozumiesz? Dla ciebie zostawiłem rodzinę. Właściwie to nawet nie lubię Wiednia. A jednak tu jestem. Dla ciebie.

Ja też przeleciałam dla ciebie pół świata, myślę.

– Czy w Kanadzie byłeś mi chociaż wierny? – pytam.

Ben milczy.

– Kręciło się koło mnie kilka dziewczyn, ale ja przez cały czas myślałem tylko o tobie – mówi w końcu. – Naprawdę chciałem najpierw trochę zarobić. Dla nas.

– Ale dlaczego się ze mną nie skontaktowałeś? Tak jak to robią normalni ludzie? Sądziłaś, że nie będę się niepokoić? Że będę na ciebie wiecznie czekać? Nie pojmuję twojej logiki. Proszę cię, Ben, pomóż mi to zrozumieć.

– Zamierzałem wrócić! Przez cały czas zamierzałem do ciebie wrócić! Nie chcę już przesiadywać z kumplami na the Drive i w Donny's. Wszyscy robią dokładnie to samo i biorą te same dragi co przed moim wyjazdem do Europy.

Stewie nadal przedawkowuje co weekend, a Gruby Reggie wszczyna po pijaku kłótnie z nieznajomymi. – Wzdycha. – Nie wiem, dlaczego nie próbowałem się z tobą kontaktować. W głowie mam mnóstwo wyjaśnień, ale teraz wydają mi się idiotyczne. Naprawdę wyjechałem, by ci pokazać, że potrafię zarobić i nie być pasożytem. Jesteś jedyną osobą, która kiedykolwiek we mnie wierzyła. Która twierdziła, że mogę być kimś.

Potrząsam głową.

– Ale już nie wierzę – mówię. – Jesteś nieudacznikiem, który nigdy do niczego nie dojdzie. Wrednym draniem. Tak jak Matthias.

Gdy tylko wspominam o Matthiasie, Ben się najeża.

– Nie porównuj mnie z tym dupkiem – mówi z wściekłością. – Nie jestem taki jak on.

– Jesteś dokładnie taki jak on – mówię. – Wynocha. Z. Mojego. Mieszkania.

Na Kirchengasse otwarto pierwsze w mieście centrum pobierania osocza. Mieści się na trasie między moim mieszkaniem a Berlitzem. Z ekscytacją patrzyłam na banery informujące o dacie otwarcia. Wkraczam tam już pierwszego dnia.

– Witamy w Centrum Baxter – mówi dziewczyna za białym kontuarem. – Czy chciałaby pani oddać osocze?

Kiwam głową i uśmiecham się. Wszystko wokół – podłoga, meble i sufit – jest białe. Ale jedną ścianę pomalowano na pomarańczowo, a meble posiadają elementy w tym kolorze. W donicach stoją wielkie palmy. Wszystko jest schludne i futurystyczne.

– Czy oddawała już pani osocze? – pyta dziewczyna, wręczając mi formularz do wypełnienia.

– Nie – odpowiadam.

Recepcjonistce chyba ulżyło. Trochę mnie to zbija z tropu.

Prawdę mówiąc, nie jestem nawet pewna, co to za substancja, oprócz tego, że ma jakiś związek z krwią. Ale ponieważ Centrum Baxter płaci aż pięćdziesiąt euro za jednokrotne oddanie osocza i dwadzieścia za każdy następny raz, postanawiam nie zaprzętać sobie tym głowy. Z folderu reklamowego dowiedziałam się, że osocze można oddawać do pięćdziesięciu razy w roku, co oznacza, że będąc gorliwą dawczynią, mam szansę zarobić ponad tysiąc euro rocznie.

Siadam na jednym z pomarańczowych krzeseł. Czytam, że osocze to coś, co pozostaje po usunięciu z krwi, zanim ta zakrzepnie, wszystkich krwinek. Ma ponoć wiele istotnych zastosowań. Wypełniam formularz, po czym podaję go dziewczynie wraz z dowodem osobistym i kopią *Meldezettel*, poświadczenia zameldowania. Natychmiast prowadzą mnie do innej sali, tak jakby się obawiali, że zmienię zdanie. Kładę się na wygodnym, przechylonym do tyłu

plastikowym fotelu. W pomieszczeniu jest jeszcze z tuzin innych osób. Ubrana na biało kobieta wkłupa mi w rękę igłę. Zafascynowana patrzę, jak moja krew przepływa przez plastikową tubkę i w stojącej obok wirującej maszynie przemienia się w żółtawą ciecz. Leżąc tam, przypominam sobie ogłoszenie o naborze do chóru w kościele na Kaiserstrasse. Muszę wysłać do nich maila ze swoją kandydaturą.

Pobieranie osocza trwa prawie półtorej godziny. Czytam gazety i zerkam na ludzi wokół. Kiedy jest po wszystkim, ktoś nakleja mi w zgięciu łokcia plaster, wręcza czekoladowy herbatnik i nowiutki pięćdziesięcioeurowy banknot. Myślę sobie, że jako dawczyni osocza i przyszła chórzystka mam przed sobą świetlaną przyszłość.

Kiedy kilka dni później wychodzę z Berlitz, słyszę czyjś głos:

– Dałaby pani parę groszy bezdomnemu?

Odwracam się i widzę siedzącego pod ścianą pobliskiego budynku Bena. W rękę trzyma papierowy kubeczek z McDonalda. Nic nie odpowiadam. Cieszę się na jego widok bardziej, niżbym się sama przed sobą chciała przyznać.

– Nie należy dawać pieniędzy żebrakom – mówię w końcu. – Bo potem nie dadzą sobie rady w bezludnej leśnej głuszy.

Zauważam, że ma na sobie czyste, niepołatanе ciuchy. Nigdy wcześniej ich nie widziałam.

– Dlaczego wciąż jesteś w Wiedniu? – pytam.

– Mieszkam tu, czy tego chcesz, czy nie – mówi. – Zapisalem się na zajęcia z budowy maszyn.

Postanawiam przemilczeć fakt, że wiem, iż przyjęli go już ponad pół roku wcześniej.

– Zamierzasz zostać inżynierem? – mówię trochę sarkastycznym tonem, którego od razu żałuję, bo brzmię jak trzynastolatka.

– No – odpowiada Ben. – Byłem już parę razy na zajęciach. Pozostali studenci właśnie przeszli mutację, więc traktują mnie jak swojego dziadka. Ale wykładowcy są naprawdę w porządku.

– Co sprawiło, że przeszedłeś na drugą stronę? Sądziłam, że wystarczyło ci szpachlowanie ścian, zbieranie dżdżownic i pobyt na świeżym powietrzu.

Ben przez chwilę się zastanawia.

– Śmierzące stopy – mówi w końcu. – Nie chcę wracać z pracy ze śmierzącymi stopami. To dowód na to, że ma się gównianą robotę. A i ty też się do tego trochę przyczyniłaś.

– Z czego będziesz żył podczas studiów?

– Pomagam trochę na uczelni – odpowiada. – Okazuje się, że wciąż muszą przenosić ławki, krzesła i książki między różnymi wydziałami. Legalna praca. Będę nawet płacił podatki.

– I jeszcze nie dostałeś kręćka? A gdzie mieszkasz? – pytam.

– W każdym razie nie w krzakach w Stadtparku – śmieje się Ben. – Wynajmuję pokój w czternastej dzielnicy od faceta, który, tak przynajmniej sądziłem, ma na imię Bogdan. Po jakimś miesiącu zagadał do mnie – tu Ben zaczyna mówić z bałkańskim akcentem: „Przestań zwracać się do mnie Bogdan. Mam na imię Bora”. A ja na sto procent byłem pewien, że Bogdan. Naprawdę chciałbym, żeby miał na imię Bogdan. Powinien mieć na imię Bogdan.

– Wszyscy potrzebują jakiegoś Bogdana – stwierdzam.

Oboje się uśmiechamy i nic nie mówimy. Nagle Ben zaczyna grzebać w kieszeni.

– Mam nawet telefon komórkowy. Zapisz sobie mój numer.

Z grzeczności wbijam jego numer do komórki. Znów milkniemy.

– Muszę już iść – stwierdzam w końcu.

– Wybierasz się do swojego austriackiego bankiera? – pyta Ben.

– Jest zbyt zajęty wyzyskiwaniem biedoty. Ale jeździ bmw i codziennie kupuje mi futra z owczych płodów.

– I na pewno nie ma żadnego Bogdana.

Kręcę głową z uśmiechem.

– A tak poważnie, to dokąd się wybierasz?

– Będę śpiewać w chórze – odpowiadam i rozkładam ręce. – Ta-da: poznaję nowych ludzi.

– Mogę pójść z tobą?

– Też chciałbyś śpiewać w chórze?

– Boże broń – mówi Ben. – Ale chyba mogę na ciebie poczekać?

Moje serce staje się nagle dwa razy cięższe.

– To raczej nie jest dobry pomysł.

Ben się prostuje.

– Chciałbym cię przeprosić – mówi. – Za to, że nie kontaktowałem się z tobą, kiedy byłem w Kanadzie. Głupio zrobiłem. Zrozumiałem, jak bardzo cię skrzywdziłem. Przepraszam.

– Dziękuję – odpowiadam.

– Ale mam gdzieś to, jak bardzo jesteś na mnie zła – ciągnie Ben. – Będę na

ciebie czekał. Tak łatwo się mnie nie pozbędziesz.

Przed oczami mam Jordanę i Bena przed Donny's.

– Ben – zaczynam. – Już nigdy nie będę potrafiła ci zaufać. Dlatego nasz związek nie ma sensu. Muszę ufać swojemu partnerowi.

Ben zaciska zęby. Nie jestem w stanie patrzeć mu prosto w oczy.

– Nie mów „partner” – prosi przygnębiony. – Jakbyśmy byli jakimiś kowbojami.

– Cześć – mówię i odchodzę.

Usiłuję się pozbierać. Pocieszam się myślą o próbie chóru. Za pół godziny nie tylko poznam wielu ciekawych ludzi, ale również pośpiewam wspaniałe pieśni i wzbogacę się duchowo. W Kanadzie myliłam się. Nie muszę z nikim dzielić pięknych przeżyć.

Okazuje się, że jestem tu jedyną osobą w wieku poniżej siedemdziesięciu pięciu lat. W wychłodzonym katolickim kościele Zum Göttlichen Heiland wyraźnie odstaję w masie zmarszczek, plam wątrobowych i zaćm. Jestem co najmniej czterdzieści lat młodsza od najmłodszego chórzysty. Na dodatek jestem Szwedką i właściwie protestantką.

– *O, ein neues Chormitglied!* ¹ – wykrzykuje ten i ów na mój widok. Chyba od dawna nie mieli tu nikogo nowego.

Przez chwilę chórzyci taksują mnie wzrokiem, po czym cmokają się na powitanie i zdejmują płaszcze. Wszyscy są elegancko ubrani czy wręcz wystrojeni. Jakiś starszy pan ma nawet fular, a niektóre panie eleganckie szale i okazałych rozmiarów naszyjniki. Kościół – jak na katolicką świątynię przystało – wypełniają ciężkie, połączane dekoracje i figury świętych o pustym spojrzeniu i ściągniętych ustach. Całość spowita jest wonią kurzu, perfum i kadzidła.

– Jest pani altem czy sopranem? – pyta dyrygent.

– Nie mam pojęcia – przyznaję. – Czy mogę zostać poddana jakiemuś testowi, by to zweryfikować?

W odpowiedzi dyrygent wskazuje mi tylko miejsce gdzieś w środku między altami a sopranami. W kościele jest tak zimno, że z ust leci para, więc postanawiam nie zdejmować kurtki. Gdy wszyscy są już w komplecie, przez dziesięć minut robimy krótką rozgrzewkę dla głosu i ciała, po czym dyrygent staje przy pianinie i zaczyna przeglądać stos papierów.

– Dziś zabierzemy się do nowej pieśni – ogłasza. – Kto chciałby zaśpiewać

solo?

– Ja! – wykrzykuję i podnoszę rękę.

Spojrzenia wszystkich kierują się na mnie.

– Żartowałam – wyjaśniam pośpiesznie. – Nawet nie wiem, czym jestem.

Zapominam dodać, że chodzi mi o rodzaj głosu. Śmieje się tylko jakiś bas, postanawiam więc milczeć i skupiać się wyłącznie na śpiewie.

– *Der gute Hirte leidet für die Schafe...*² – zaczyna dyrygent, a my się przyłączamy.

Śpiewanie w chórze okazuje się o wiele trudniejsze, niż sądziłam. Po pierwsze nie znam nut, więc muszę uważnie przysłuchiwać się pozostałym chórzystom, a po drugie potrzeba do tego nie lada krzepy. Już po półgodzinie boli mnie szczeka. No i śpiewanie o aniołkach przy zachowaniu śmiertelnej powagi wydaje mi się dość głupkowate. Inni chórzyci patrzą na mnie z ciekawości.

– Co za śliczna młoda dama – mówi jeden z panów po próbie i gładzi moją rękę.

Dłoń ma potwornie suchą, a ponieważ szkła jego okularów są centymetrowej grubości, zastanawiam się, na ile poważnie mogę traktować jego komplement.

– Skąd pani pochodzi? – pyta staruszek.

– Ze Szwecji – odpowiadam, a wszyscy wokół nas wydają z siebie krótkie „ach”, jakbym była Chrystusem zmartwychwstałym.

– A co pani robi tutaj? – pyta jedna z pań.

– Na próbie chóru? – pytam trochę nerwowo. – Przecież jestem katoliczką – kłamię.

– W Wiedniu – uściśla kobieta.

– Uwielbiam Wiedeń – mówię i znów czuję akceptację całej gromadki.

Gdyby moi nowi koledzy nie cierpieli na bóle pleców, unieśliby mnie pewnie i radośnie ze mną poparadowali, tak bardzo cieszy ich pojawienie się nowego, a na dodatek młodego, członka chóru. Zamiast tego wspólnie człapiemy ku wyjściu. Już cieszę się na kolejną próbę.

W drodze powrotnej zastanawiam się, jakich jeszcze zajęć dla emerytów powinnam spróbować i czy wszyscy ci starsi ludzie nie mogliby zostać moimi nowymi przyjaciółmi.

– Byłam na wojnie. – Słuchałabym ich opowieści ze łzami w oczach.

– Ja też – odpowiadałabym. – Czy raczej widziałam dużo filmów wojennych.

– Zmarnowane młode żywoty – mówiliby.

– Zgadza się – powiedziałabym. – Jaki właściwie jest sens życia?

Oni zaś próbowaliby mi udzielić odpowiedzi na to pytanie.

Kiedy jestem już blisko domu, przed zawsze zamkniętym sklepem z artykułami krawieckimi zaczepia mnie jakiś starszy pan. Ubrany jest w sfatygowaną brudną marynarkę.

– Przepraszam, czy ma pani może kota? – pyta.

– Tak – odpowiadam.

Starszy pan niezdarnie wręcza mi jakąś siatkę. Biorę ją od niego zdziwiona.

– Mój właśnie zdechł – mówi. – Proszę to wziąć.

W siatce zauważam kocią karmę i kilka zabawek.

– Ale... – zaczynam. – Nie zamierza pan sprawić sobie nowego?

Mężczyzna wyciera oczy.

– Nie – odpowiada.

Dziadek odchodzi Kaiserstrasse, ocierając łzy. Znów zaglądam do siatki; widzę tanią karmę i podniszczone zabawki. Widzę też samotność starego człowieka i okrutną rzeczywistość.

– Optimus, spróbuj chociaż – proszę.

Ale Optimus nie chce jeść karmy po kocie starszego pana, nie interesuje się też jego zabawkami.

1. Niem. „O, nowa chórzystka”. [\[wróć\]](#)

2. Niem. „Dobry pasterz cierpi za owce...”. [\[wróć\]](#)

Dziś prowadzę pierwsze zajęcia na wieczorowym kursie uniwersyteckim. Wprawdzie sama musiałam się wykosztować na mazaki, ale jestem pod wrażeniem nowoczesnego lokalu, a przede wszystkim swojej stawki godzinowej. Witam wszystkich kursantów uściskiem dłoni. Wszyscy szeroko się uśmiechają, a ja staram się zapamiętać jak najwięcej imion: Özlem, Zsofia, Agi, Sunita, Fuat, Ahmed i tak dalej.

– Julia. – Wyciągam rękę do nieco starszej pary. Oboje są niskiego wzrostu, ona nosi hidżab.

Kobieta nieśmiało wybąkuje coś, co brzmi jak Bahar, po czym pośpiesznie i delikatnie podaje mi dłoń. Kiedy zwracam się do mężczyzny, ten się uśmiecha.

– Rahim – przedstawia się.

Wciąż trzymam wyciągniętą w jego stronę rękę i myślę sobie, że Rahim jej po prostu nie zauważył.

– Jestem muzułmaninem – wyjaśnia po niemiecku.

Wciąż nic nie pojmuję, a po kilku krępujących sekundach Rahim wysuwa przed siebie telefon komórkowy. Zamiast jego dłoni ściskam więc trzymaną przez niego komórkę. Ponieważ chwilę wcześniej podałam rękę dwóm Turkom, zupełnie wyleciało mi z głowy, że niektórzy muzułmanie nie witają się w ten sposób z osobnikami płci przeciwnej i niemuzułmanami. Oboje z Rahimem jesteśmy wyraźnie zakłopotani. Na szczęście do sali wchodzi kolejny student.

– Mam-na-imię-Julia – mówię wyraźnie, kiedy wszyscy uczniowie są już na miejscu i gdy już sprawdziłam obecność. – A-ty-jak-masz-na-imię?

Dwadzieścia jeden twarzy patrzy na mnie wielkimi oczami, szeroko się uśmiechając. To grupa A1, początkująca. Plecy mają jeszcze wyprostowane i są jednym wielkim skupieniem. Po trzech tygodniach – wiem to

z doświadczenia – zacznie ono słabnąć. Podchodzę do pierwszej uczennicy, Słowenki z grzywką.

– Mam na imię Julia. A ty jak masz na imię? – pytam ją.

– Mam na imię Agi – odpowiada.

Pokazuję palcem na siebie, sugerując jej, że teraz ona powinna zadać mi to samo pytanie.

– Jak masz na imię? – pyta mnie Agi.

– Mam na imię Julia – odpowiadam i zwracam się do kolejnego ucznia. – Jak masz na imię?

Powoli chodzę po sali, tak aby wszyscy mieli szansę się przedstawić. Przez kolejne dwie i pół godziny przyswajamy angielski alfabet, dni tygodnia, dowiadujemy się także wieku poszczególnych uczniów i tego, z których krajów pochodzą. Ręka zaczyna mnie boleć od pisania na tablicy, a stopy od stania. Kończymy o dziewiątej. Większość z opuszczających salę uczniów sprawia wrażenie zmęczonych, wszyscy jednak uśmiechają się i uprzejmie ze mną żegnają.

Gaszę światło, zamykam drzwi na klucz i idę na tramwaj. Dzwonię do Rebekki, aby powiedzieć jej, że po raz pierwszy w życiu podałam rękę telefonowi komórkowemu. Niestety, nie odbiera. Gdy tak siedzę w prawie pustym tramwaju, ze smutkiem stwierdzam, że nie mam komu o tym opowiedzieć.

Do widzenia – mówi dziewczyna za białym kontuarem.

– Do zobaczenia – odpowiadam z uśmiechem.

W ręku trzymam aż dwa herbatniki czekoladowe, co tłumaczę sobie swoim wysokim statusem w gronie dawców osocza.

Pocieram miejsce po wkluciu i czuję, że muszę na chwilę przystanąć. Ostatnio oddawałam osocze średnio raz w tygodniu i zauważyłam, że mam mniej sił i jestem chyba bledsza. Teraz na siłowni męczę się znacznie szybciej, a wchodzenie po schodach zabiera mi więcej czasu. Któregoś dnia jakaś stara babcia dotarła na górę szybciej ode mnie. To jednak niewielka cena za ratowanie świata i możliwość kupowania droższego sera w Billi.

Patrzę na zegarek – jest dopiero wpół do piątej. Za wcześnie, by wracać do domu. W kinie nie grają nic ciekawego, nie ma też żadnych wystaw, które miałabym ochotę zobaczyć. Wtedy przypominam sobie, że w dziewiątej dzielnicy widziałam zakład optyczny, gdzie wykonują bezpłatne badanie wzroku. Natychmiast kieruję tam swoje kroki.

Ale przed wejściem zmieniam zdanie. Ile właściwie badań wzroku mam jeszcze wykonać? Ile testów słuchu? Ile osocza mam jeszcze oddać? Ile razy będę jeszcze przekładać książki na półkach dla zabicia czasu? Czy tak chcę spędzić resztę życia? Długo stoję z dłonią na kłamce, aż łysy facet w białym fartuchu macha do mnie zapraszająco. Kręcę głową i odchodzę.

Po raz pierwszy wylądowałyśmy z Leonore nie w Passage'u, a w jakimś znajdującym się w piwnicy ciemnym klubie w pierwszej dzielnicy. Jest tu i bar, i minimalistyczny parkiet. Nie przepadam za miejscami, gdzie klientelę stanowią starsi faceci kupujący szampana chichoczącym nastolatkom. Ale dziś mam to gdzieś. Dziś chcę się upić i potańczyć.

Leonore rozmawia przy barze z jakimś facetem, a ja tańczę na parkiecie. Obok mnie podrygują dwie czterdziestolatki w nadziei, że ktoś je zauważy. Ale facetów interesują tylko młode dupeczki. DJ gra *Relight My Fire Take That*. Ktoś zaczyna tańczyć obok mnie. Włosy ma zaczesane do tyłu na żel. Chyba jest włoskiego pochodzenia.

– Podoba ci się ta piosenka? – wrzeszczy mi do ucha po niemiecku.

– No jasne! – odkrzykuję. – Take That są strasznie niedoceniani.

Koleś unosi kciuk. Tańczymy dalej.

– Jak masz na imię? – pyta.

– Julia. A ty?

– Bastian.

– Jak Schweinsteiger?

– Co?

– Jak Schweinsteiger, ten piłkarz?

Chłopak kiwa głową i unosi kciuk. DJ puszcza *Born To Be Alive*. Tańczymy teraz bliżej siebie. Przez chwilę przytrzymuje rękę na moim brzuchu, co mi się właściwie nie podoba, lecz nie oponuję.

– Chodź. – Odciąga mnie.

Spoceni siadamy przy barze, ale chłopak od razu wstaje.

– Kibelek – wyjaśnia.

– Jasne.

Znika, a ja zdaję sobie sprawę, że Leonore już poszła i zostawiła mnie tu

samą. Czekam na swojego towarzysza, ale ten jakoś nie wraca. Czekam i czekam, aż zapomnę, na kogo czekam. Piję kolejne wódki z tonikiem i dalej czekam. Mam nadzieję, że jeśli będę czekać dostatecznie długo, to ten, na którego czekam, w końcu się pojawi.

Nagle zdaję sobie sprawę, na kogo od zawsze czekałam. Wyjmuję telefon i wysyłam SMS-a. Biorę kurtkę z szatni, wychodzę z klubu i biegnę na najbliższą stację metra. Podczas trwającej dwadzieścia minut podróży patrzę na wyglądające zza dachów słońce witające nowy dzień i myślę o mężczyźnie, który ocierał łzy po stracie kota. Przypomina mi się ciepły jesienny dzień, kiedy dwoje ludzi leżało ze splecionymi palcami nad Dunajem i śmiało się z żartów, które śmieszyły tylko ich.

Jestem jedyną osobą, która wysiada na Neue Donau. Poza dwoma mężczyznami śpiącymi w trawie nad rzeką i jakimś facetem wyprowadzającym psa, na Donauinsel panują pustki. Na kładce dostrzegam Bena. Pali papierosa i wygląda na rozjuszonego, ale wiem, że wyraz jego twarzy zmieni się, jak tylko mnie zobaczy. W chwili, kiedy wchodzę na most, na wyspie z delikatnym westchnieniem gasną latarnie. Wschodzące słońce zmienia kolor nieba z liliowego na jasnoniebieski.

– Ben.

Odwraca się w moją stronę.

– Cześć – mówię.

– Cześć – odpowiada.

Kiwam głową w stronę przerdzewiałego niebieskiego roweru opartego o poręcz.

– Twój?

– Tak. Niebieski Bandyta, stary rower Bogdana.

– Co się stało z tamtym dziecięcym rowerkiem?

Ben poważnieje.

– Zapomniałaś, że teraz jestem dorosły?

– Ukradli ci go, co?

Śmieje się i potakuje. Przez chwilę milczymy. Niedaleko nas skrzeczą mewy.

– Kiedy mówiłam, że nie miałam wyboru, kiedy cię poznałam – zaczynam – chodziło mi o to, że jesteś najbardziej niesamowitym i wyjątkowym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek spotkałam. Mimo że śmierdziałeś, byłeś bezdomny i cuchnęły ci nogi. Nie chcę być z nikim innym.

Ben się nie odzywa, tylko na mnie patrzy.

– Jestem gotowa – mówię. – A ty?

– Zawsze – odpowiada Ben i uśmiecha się.

Zdejmujemy buty i przechodzimy przez barierkę. Stoimy na małym występie zabrudzonym ptasimi odchodami. Tafla wody wydaje się bardzo odległa. Czuję, jak mnie ściska w żołądku, i mocniej chwytam się poręczy za sobą. Od rzeki napływa rześkie powietrze. Ben spogląda na mnie.

– Naprawdę chcesz to zrobić? – pyta.

Patrzę na niego i kiwam głową.

– Tak.

– Okej, ale obiecaj, że nigdy więcej nie zaciągniesz mnie do teatru – prosi.

– I nie będziesz namawiać do obejrzenia *Harolda i Maude*. To naprawdę ohydny film. Powinni go zabronić. Ani żadnego szwedzkiego filmu.

– Obiecuję – mówię. – A ty nie będziesz mnie zmuszał do górskich wędrówek, zwłaszcza do sportów, które w nazwie mają „ekstremalny”. Do żadnego sportu.

– Obiecuję – mówi Ben.

Puszczam poręcz i wyciągam rękę do Bena. Pod nami szumi Dunaj.

– Z tym sobie na pewno poradzimy – mówię.

– Jasne, że tak – odpowiada Ben i chwyta moją dłoń.

I skaczemy. Razem.

Spis treści

Tytuł oryginału: *Hur man förlskar sig i en man som bor i en buske*

Copyright © Emmy Abrahamson 2016

First published by Albert Bonniers Förlag, Stockholm, Sweden

Published in the Polish language by arrangement with Bonnier Rights, Stockholm, Sweden and Macadamia Literary Agency, Warsaw, Poland

Copyright © for the Polish translation and e-book edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2016

Informacja o zabezpieczeniach

W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

Redaktor: Lech Staszkiel

Projekt i opracowanie graficzne okładki: Izabella Marcinowska

Fotografie na okładce

© Fisher Photostudio / Shutterstock

© Nomad_Soul / Shutterstock

Wydanie I e-book (opracowane na podstawie wydania książkowego: *Jak się zakochać w facecie, który mieszka w krzakach*, wyd. I, Poznań 2017)

ISBN 978-83-8062-838-0

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.

ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań

tel.: 61 867 81 40, 61 867 47 08

fax: 61 867 37 74

e-mail: rebis@rebis.com.pl

www.rebis.com.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**